

1966 - N 18 - 24 - (0) B.D.I.C

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

January 1966

Price 3/6

Cena 3/6

\$ 0.50; 2.50 F.



ORZEŁ BIAŁY SYRENA

STYCZEŃ

1966

Nr 18/1165

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



NAJSTARSZY RYSUNEK PORTRETOWY PRZEDSTAWIAJĄCY POLAKA, JEST NIM KRÓL MIESZKO II., KTÓRY KORONOWAŁ SIĘ OBJAWSZY TRON PO BOLESŁAWIE CHROBRYM

Rysunek zdobi księgę liturgiczną ofiarowaną mu przez Matyldę, żonę księcia Fryderyka lotaryńskiego. Napis głosi: Hunc librum Regi Mahtielt donat Misegoni... Tę księgę daje królowi Mieszkowi Matylda, której ojcem jest sławny książę Swenów, Heriman.

FP 2156

Nazwiska Autorów, których prace ogłoszone były w „Orle Białym“ w 1964—1965 roku

Jan Adamski, Teresa Affeltowicz, Władysław Anders.

Juliusz Kaden-Bandrowski, Stefan Baran, Stefan Benedykt, Tadeusz S. Bielski, Ludwik Biskupski, Stanisław Błaszczak, Ludwik Bojczuk, Kazimierz C. Boreczak, Tadeusz Bornholtz, Aleksander Bregman, Alfons Bronarski.

Andrzej J. Chilecki, Waclaw Chocianowicz, Michał Chmielowiec, Adam Ciołkosz, Jan Claude, Claudine, Alicja Cybulska, Maciej Cybulski, Emeryk Czapski, Józef Czapski, Marian Czarnecki, M. Czoeh, Antoni Czulowski.

Czesław Dobek, Jerzy Drobnik, W. Drozdowski.

Ewa D'Ervarth, Klara Evans.

Aleksander Gabszewicz, Michał Gamarnikow, Leopold Gadzina, Józef Garliński, Kazimierz Głabisz, Jan Gniazdowski, Zbigniew Grabowski, Roman Gronowski.

Franciszek Hądzal, Paweł Hęciak, Eugeniusz Hinterhof.

Bohdan Janikowski, Hilda Jankowska, Czesław Jeśman, M. Jurkiewicz, „J. P. H.“.

Olgierd Kajetanowicz, Stanisław J. Karolus, Zofia Kasprzycka, Tadeusz Kasprzycki, Maria Kastarska, Tytus Komarnicki, Tadeusz Bór-Komorowski, Henryk Konas, Stefania Konowska, Stefan Korgul, Stanisław Kotwicz, Jan Kowalewski, Tadeusz Krasoń, Stanisław Krawski, Feliks Królikowski, Tadeusz Krychowski, Romuald Kubisz, Jan Kunert.

Stefan Legeżyński, Witold Leitgeber, Bolesław Lesiecki, T. J. Lewandowska, W. Lewandowski, Stanisław Lis, Mieczysław Lisiewicz, Teodozja Lisiewicz.

Józef Łobodowski, Ludwik Łubieński.

Stanisław Maczek, Ludwik Magierski, Barbara Męcarska, Stefan Męcarski, Janina Miedzińska, ks. Jerzy Mirewicz, Adam Morbitzer, Dr Michał.

Tadeusz Norwid.

Antoni Onyszkiewicz, W. Opaliński, Władysław Opolski, Stefan Osiecki, Jan Ostrowski.

Stanisław Paczyński, Mieczysław Paszkiewicz, Jerzy Krok-Paszkowski, Michał K. Pawlikowski, Stanisław Piekut, Józef Płoski, Tadeusz Podgórski, Jerzy Pospolny, Józef Poniatowski, Antoni Pospieszalski, Paula Powileńska, Feliks i Irena Przebiegły, Zdzisław Przyjałkowski.

Edward Raczynski, Tadeusz Radwański, Janusz Rakowski, K. Ratajczyk, Rawicz, Jerzy Rojan, Stanisław Różycki, Zygmunt Rudnicki.

Bohdan Samborski, Irena Sas, Napoleon Sadek, Kazimierz Schleyen, Stanisław Skwarczyński, A. S. Sokołowski, Zdzisław Stahl, Aleksander Stamborski, Wojciech Stefański, Zygmunt Stermiński, Juliusz Stepień, Bogumił Strenk, Wiesław Strzałkowski, Andrzej Stypułkowski, Andrzej J. Światopełk, Artur M. Swinarski, Stanisław Sęp-Szarzyński, Zygmunt Szyszko-Bohusz.

Jan Tokarski, Andrzej Tomicki.

Kazimierz F. Vincenz.

Damian S. Wandycz, Janusz Wielhorski, Józef Wiatr, A. Wojtyna, Maksymilian Wołoszyn, Stefan Wóycicki, Waclaw Wybraniec.

Jerzy Zaremba, Paweł Zaremba, M. Zakrzewski, Ryszard Zakrzewski, Antoni Zieliński, W. Żurakowska, Helena Żurkowska.

Wnioski statystyczne: W porównaniu do 1963 roku liczba współpracujących powiększyła się z 119 do 145, z tym że przybyło ok. 90 nowych nazwisk. Nie uwzględniono skrótów literowych A. B., B. S., A. S. M., T. P., E. S., K. Z.

W NUMERZE :

Tysiąclecie — artykuł redakcyjny	1
Z. S. — Przegląd polityki międzynarodowej	4
Marian Czarnecki — De Gaulle na siedem dalszych lat	6
W. Opolski — Nowy model kierownictwa przemysłu w Polsce	9
Tadeusz Norwid — Epilog sprawy Pieńkowskiego	11
Kuźma Wołk — Zajazd poetyckich niewolników na Paryż	13
Czesław Jeśman — Diariusz generała Knoxa	15
Zbigniew Grabowski — Oblicze zachodnich Niemiec	17
Kazimierz Głabisz — Śp. płk Jan Kowalewski	22
Zygmunt Nowakowski — „Słońce sławy“	23
Jan Ostrowski — „Tango“ Mrożka w teatrze emigracyjnym	26
Dr Michał — Gawędy lekarskie: Ślepa kiszka	27
W. Lewandowski — Rola człowieka w kosmosie	28
Z życia polskiego w świecie	29
Życie kulturalne polskiego Londynu	30
Milenijny Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego	32
Klara Evans — Drzewo Hepzibah	33
S. Wóycicki — Somerset Maugham	36
Stanisław Piekut — Włochy w hołdzie Dantemu	37
Czesław Dobek — Z notatnika sztydery	39
Paweł Zaremba — Rzetelne świadectwo	45
Bogdan Podoski — Wspomnienie o Michale Grażyńskim	46
Krzyżówka, Listy do redakcji, Spis autorów z 1965 roku.	

fraszki

Uzasadniony optymizm

*Życie dobrze usposabia
Tego, kto nieźle zarabia.*

Unikat

*Okaz najrzadszy:
W telewizor nie patrzy.*

Argument za kontrolą urodzin

*Człowieka z dużą rodziną
Czasami nie stać na kino.*

Mądrość natury

*Dobrze, że nikt się nigdy sam sobie nie znudzi,
Bo na świecie zabrakłoby szczęśliwych ludzi.*

Wszystkim Organizacjom, Przyjaciółom i Kolegom składam tą drogą serdeczne podziękowanie za nadesłane życzenia świąteczne i noworoczne.

Gen. Władysław ANDERS

RAWICZ



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 18/1165

STYCZEŃ 1966

Rok XXVI

TYSIĄCLECIE

Rozpoczęliśmy tysięczny rok od daty chrztu pierwszego historycznego władcy Polski, Mieszka I. Jest to rok Milenijny i znaczyć go będą uroczyste obchody, pod egidą przede wszystkim Kościoła Katolickiego. W Polsce, punktem kulminacyjnym będzie obchód na Jasnej Górze, zbiegający się z tegorocznym świętem 3 Maja. Poza Polską uroczystości odbędą się we wszystkich ósrodkach osiedlenia Polaków, przede wszystkim zaś w Rzymie w dniach 12 do 16 maja, łącząc się w ten sposób z tradycyjnym obchodem bitwy o Monte Cassino. Do Rzymu na uroczystości przybędzie Prymas Polski.

W akcji przygotowawczej, która między innymi poszczycić się może długim szeregiem prac naukowych i popularnych, wydanych lub przygotowanych do wydania dla uczczenia Wielkiej Rocznic, podkreśla się ze szczególnym naciskiem, że chodzi o tysiąclecie Polski chrześcijańskiej. Tak się złożyło w naszych dziejach, że historyczne przyjęcie chrześcijaństwa przez Mieszka I zbiega się, z różnicą trzech lat zaledwie, z pierwszymi dokumentarnymi wiadomościami o państwie polskim. Dwie rocznice zatem łączą się ze sobą, co posiada szczególne znaczenie dla naszej świadomości narodowej i kulturalnej,

★ ★ ★
W roku ubiegłym udało nam się pokonać niejedną trudność redakcyjną i przybliżyć się do celu jakim jest wydawanie polskiego miesięcznika poświęconego zagadnieniom współczesnym. Oczywiście daleko nam od zadowolenia z samych siebie. Wielu planów nie udało nam się przeprowadzić. Nie znaczy to byśmy z nich mieli zrezygnować.

Zwłaszcza, że życzliwa ocena Czytelników stanowi cenną zachętę. Pochwałom towarzyszyły krytyki. Z tych uczymy się więcej, choć nikt nie zaprzeczy, że pochwał słucha się chętnie!

Z błędów, które nam wytknięto, zatrzymajmy się nad jednym. Wytknięto nam, że pominięcie milczeniem rocznicy 11 Listopada nie licuje z tradycją naszego pisma. Tłumaczenie nasze, że unikamy artykułów okolicznościowych, jeśli nie wnoszą nic nowego do tematu, nikogo nie zadowoliło a niejednego oburzyło. Nie wyczuliśmy potrzeb Czytelników w tym wypadku.

Dziękujemy p. J. Olechnowiczowi, dyrektorowi firmy wydawniczej „Orbis“ za użyczenie nam klisz z wydawnictwa „Polska i jej dorobek dziejowy“.

W roku milenijnym poświęcimy wiele miejsca historii Polski.

Jako ciekawostkę podajemy, że materiał ogłoszony w „Orle“ w ubiegłym roku, gdyby go zmieścić w wydanie książkowe, stanowiłby tom objętości 1.800 stron...

Wszystkim, którzy nadesłali nam życzenia świąteczne i noworoczne składamy serdeczne podziękowania.

...matris germanensis. 7 maiori et libelle sic legit: utiq; carollay maru
laxerancus palati. 7 sic in alio tomo sub iobe. xy. pp. dagome uidec
et ore senatrix. 7 fili: ocy: mificā 7 labo: neltio cubo genat hominet
puzo aut fakdo fuisse. qm ipis. a m. uidecib; regunt. legunt bēp.?

...enulle una ciuitate inueregro. quā ooc schynclanc. cūtib; il puzomis. infra
ho affinet. Itati incip apno late longū mare. fūc bruzze. uib; inlotū q dā
rulle. et fūc rulle exardente uq; in craccoa. et ab ipis craccoa. usq; ad flumē
odde. recte ilocū qdā alimure. et ab ipis alimura. usq; in rā miltze. rē
et in ipis odde. 7 qm deducente uirta flumē odde. usq; in pūctā cui
rē schne. gbe. sic in alio tomo legit locata fuisse apatno

Dokument zwany „Dagome Judex“, w którym Mieszko I wraz z żoną Odą i dwoma synami Mieszkim i Lambertem (Bolesław jest pominięty) ofiarowuje św. Piotrowi, tj. papieżowi swą stolicę Gniezno i cały kraj. Jest to najstarszy dokument dyplomatyczny polski, tym ważniejszy, że określa w sposób dość wyraźny granice ówczesnego państwa polskiego. Tekst z „Collectio Deuseddit“ z roku 1087 jest odpisem czy wyciągiem z oryginału

Reprodukcja ta, jak i na następnych stronach, za zezwoleniem księgarni „Orbis“ w Londynie z wydanej przez nią książki: „Polska i jej Dorobek Dziejowy“

Thema *Sicut enim ubi est pax et concordia... (The Latin text is a medieval manuscript snippet, partially illegible due to fading and bleed-through from the reverse side. It appears to be a continuation of a text discussing religious or political matters, mentioning 'pax', 'concordia', and 'infidelium').*

**POCZĄTKOWA STRONA TRAKTATU
PAWŁA WŁODKOWICA**

„DE POTESTATE PAPAЕ ET IMPERATORIS RESPECTU INFIDELIUM“ (O WŁADZY PAPIEŻA I CESARZA W STOSUNKU DO POGAN). Rekopis z XV w.

Tłumaczenie z łaciny:

„Ponieważ niegdyś srozyle się przeciw Polakom chrześcijanom niewierzący wówczas Prusowie i inni, zostali przyjęci w Polsce przez książąt polskich na pomoc Krzyżacy, którzy zwać się Braćmi Najświętszej Maryi Panny Szpitala Jerozolimskiego Narodowości Niemieckiej; im udzielają i darowują książęta polscy pewne posiadłości naprzeciw granic wymienionych pogan...”

A choć już po ujarzmieniu pod swą władzę Prusów dawno przestali krwiożerczy poganie napadać na chrześcijan. Krzyżacy ci jednak nie zaprzestali aż do niedawna napadać na łagodnych nawet i spokojnych pogan i najeżdzać ich krain i państw...

Tak błąd przeszedł w zwyczaj, ponieważ wyznawcy Chrystusa, wierząc, że spełniają powinność Bożą, tłumnie się tam zbiegają dla żołnierki i z racji krzewienia katolicyzmu krwawo jest napadany spokojny lud pogański. Wynikają stąd zabójstwa, wierni z niewiernymi narażają się na jednakie niebezpieczeństwo potępienia, dzieją się rabunki i inne nieskończone niegodzowości...

Wreszcie Duch Boży, który gdzie chce, technie, odwołał najpotężniejszych książąt pogańskich od błędu pogaństwa do poznania prawdziwej wiary i doprowadził ich za pośrednictwem Polaków do obmycia się wodą Chrztu świętego. Jeden z nich objął władzę w Królestwie Polskim, drugi zaś pozostał administratorem Litwy i innych krajów sąsiednich, tak schizmatycznych jak pogańskich...”

gdziej podkreśla współzależność dziejów Polski z chrześcijaństwem w obrządku łacińskim i tym samym z kulturą zachodnią.

Wysiłki reżymu komunistycznego by pomniejszyć znaczenie daty „966“ na korzyść daty „963“, i tym sposobem wyolbrzymić różnicę między tysiącleciem państwa polskiego i tysiącleciem chrześcijaństwa w Polsce, zbyt jaskrawymi były szyte niemi. Nikogo nie przekonały a co najwyżej zbudziły politowanie dla „historii kierowanej“, obecnie w Polsce obowiązującej.

Gdyż nie chodzi tu bynajmniej o ścisłość kalendarzową rocznic czy rocznicy. Chrześcijaństwo w Polsce istniało na długo przed chrztem Mieszka, jeśli nie na ziemi Polan, to na pewno na ziemi Wiślan. Bezpiecznie można by tu przyjąć przesunięcie dat o co najmniej lat sto. Także państwo polskie nie rozpoczęło swego istnienia od daty bitwy w dorzeczu Odry, w której Mieszko poniósł zresztą klęskę z rąk wieleckich pobratymców. Istniało zapewne długo przed tym w swym ośrodku nad Wartą a legendarne rzekomo imiona poprzedników Mieszka wcale legendarnymi nie były. Istotnym dla historii narodu jest zatem fakt, że w szóstym dziesiątku dziesiątego wieku jego przodkowie weszli w orbitę cywilizacji zachodniej, reprezentowanej przez kościół podlegający władzy biskupa rzymskiego, by w orbicie tej pozostać, świadomie i celowo, do dziś i na życie przyszłych pokoleń. Na wschodniej naszej granicy, gdziekolwiek by ona w tym czy innym okresie przyszłych dziejów przebiegać miała, zaznaczyła się i zaznacza do dziś linia podziału między Zachodem i Wschodem, między wiarą w godność i wolność człowieka a koncepcją poddaństwa duchowego.

Nie ma w tym niczyjej „winy“ i niczyjej nie ma „zasługi“. Jest tylko fakt historyczny, czyli prawda. Tak było, tak się stało i ciąg dalszy historii nie tylko Polski, lecz i całej Europy środkowo-wschodniej, był faktu tego następstwem na wszystkich odcinkach życia i działalności ludzkiej.

Historia nie jest antykwariatem, nie jest zbiorem ciekawostek z dawno minionych czasów. Nie jest też, względnie być nie powinna, służką doktryny politycznej w danej chwili obowiązującej — nie jest środkiem propagandowym. Jeśli wzbudza dumę i gdy wzbudza smętną zadumę, to uczucia te nie powinny wpływać z takiej lub innej „interpretacji“ lub „naświetleń“. Powinny płynąć szczerym strumieniem ze znajomości i świadomości wszystkiego czym żyli i nad czym pracowali nasi dziadowie. Nie wolno, nie można, odżegnywać się od własnej historii, lub w krótkowzrocznej zarozumiałości potępiać czegokolwiek, co się w historii stało. Można z niej czerpać naukę by uniknąć błędów i natchnienie by zdobywać się na wysiłek co najmniej równy wysiłkowi, jaki był potrzebny dla powstania faktu z którego pokolenie dziś żyjące może być zadowolone. Lecz fakt nie jest ani zły ani dobry, jest po prostu faktem. A suma wszystkich faktów, które w naszym wypadku zaistniały w ciągu lat tysiąca, dała w wyniku nas samych: dała naszą psychikę, nasze upodobania, nasze wartości i nasze wady, nasze zasługi i nasze narodowe grzechy.

Jesteśmy tym czym jesteśmy i tacy jacy jesteśmy nie z wypadku ani ze zbiegu okoliczności ostatnich lat kilkudziesięciu, lecz w wyniku tysiąca lat naszej historii.

Nie wypływa z tego wcale byśmy potulnie znosić mieli przeciwności życia narodowego i „nie sprzeciwiali się złu“, jak tego chce obca nam na przykładzie tysiąclecia filozofia obecnych zaborców naszego Kraju i policjantów naszej duszy. Przeciwnie. Historia uczy i zachęca nie do kwietyzmu, lecz do czynnego działania. Każe nam wszystko co robimy robić pod kątem przyszłości. Bo historia jest częścią chwili obecnej i podstawą czasów, które nadejdą.

Dziś, bardziej niż kiedykolwiek, chcemy jako naród wytrwać przy tej kulturze, w której orbitę wprowadził nas Mieszko I, obojętnie czy czynił to z przekonania, czy z przypadku czy dla doraźnego interesu.

Jesteśmy, tak jak byliśmy za jego czasów i jak byliśmy przez przeważną część naszych dziejów, w wyjątkowo trudnym położeniu. Związek nasz z kulturą zachodnią wymagał często wysiłku wprost bohaterskiego. Od źródeł kultury zachodniej oddzielał nas teren zajęty przez Niemcy, wrogie politycznie, zaborcze, obce dla nas, „nieme“, gdyż nie było z nimi wspólnego języka.

Stąd, gdy to tylko było możliwe, szlak naszych kontaktów z kolebką kultury starał się Niemcy wymijać. Był to szlak trudny, często u celu znajdowaliśmy niezrozumienie i niewiedzę o nas, znajdowaliśmy obojętność, zamiast pomocy, oschłość zamiast przyjaźni. Nie tylko geografii w tym winna i nie tylko na Zachodzie winnych szukać należy, bo winą obłożyć możemy także siebie samych. Polityka nasza była często polityką zaprzeczonych okazji — nasz wysiłek kulturalny często rozplywał się w leniwym zadowoleniu z siebie samych — na wschód od naszych granic etnicznych wynieśliśmy więcej wspomnień sławy niż potrafilismy zaskarbić uczuć wdzięczności.

Dziś, jak często pozostawieni samym sobie w swej wierze w lepsze jutro, mamy może mniej ambicji i mniej pychy w sercu. Lecz historyk

(Dokończenie na stronie 48)

(Okt. de S. Mar. 1791. 155 28)

Ustawa Rządowa.

W Imię Boga w Trojcy Świętej Jedynego
Stanisław August z Bożey Łaski y Woli Narodu
Krol Polski Wielki Kiazę Litewski Ruskie
Pruski, Mazowiecki, Lwowski, Kijowski, Wołyński
Podolski, Podlaski, Inflancki Smoleński, Siewierski
y Czerniechowski wraz z Stanami Konfederowanemi
w liczbie podwoynney Narod Polski reprezentującemi

Uznając iż Nas wszystkich do ugruntowania y uwydatnienia
Konstytucyi Narodowej jedynie zawiści, Stugim doradczeniem pozna
wzory rządowiane Krasu Naszego władcy, a chcąc korzystać z pomocy
w zakresie Europa znaydującej, y z tey dogorywającej chwili, która Nas
Samym sobie wrocila, wolni do hanbiących Obcy przemocny nakazów
cenias drożey nad życie, nad swobodność woliasta, czysto polityczną
niepodleglosć równostronną y radności równostronną Narodu, którego los
w ręce nasze, jest powierzony, chcąc wrac na błogotamnistwo, na
wzajemności współpracujących y przystępych pokoleń zastąpić, mimo proce
orków, które w Nas namiestności sprawować mogą, dla dobra państwa
chcemy, dla ugruntowania wolności, dla ucalenia Bycyrczy Państwa y
icy granic z najwyższą statecnością, dla niniejszą Konstytucyę, uchwa
lamy, y tą całkowicie za Świata, za niezawisłą, seklaryzacyjną, dopokity
Narodu w czasie królowej przepisany, wyrażamy, Wola nasza, nie
uważa potrzeby demienienia w niej jakiego artykuła. Do którego
to Konstytucyi, dalsze Ustawy Sęmyi traktujemy, we wszystkich
stosować się mając.

PIERWSZA STRONA KONSTYTUCJI 3 MAJA

T A D E U S Z K O S C I U S Z K O
 NAYWYŻSZY NACZELNIK SIŁY ZBROJNEY NARODOWEY.

DO KOMISYI PORZĄDKOWEY WSZYSTKICH ZIEM I POWIATOW.

Nigdyby Polakom broń Ich Nieprzyaciół straszną nie była, gdyby sami pomiędzy sobą zgodni znali swą siłę, i całej tey siły użyć umieli, nigdyby mówią orężem Polaków pokonać nie można, gdyby chytry nieprzyaciół przewrotnością, zdradą i podstępami nie niszczył i chęci i sposobów odporu. Cały ciąg Tyranii Moskiewskiej w Polsce jest dowodem do jakiego stopnia ta przemoc miotała losem Naszym, używając koleją przekupstwa, zwodniczych przyrzeczeń, podchlebiania przesądom, glaskania namiętności, burzenia iednych przeciwko drugim, czernienia u obcych, wszystkiego słowem co złość piekielna z chytrością nayprzewrotniejszą połączone wymyślić może.

W tylekrotnych zderzeniach w których Polacy do broni, przeciw niey się porywali, może ten Rod Rozbojników liczyć iedno nad niemi prawdziwe zwycięstwo? a przecież zawsze koniec śmiałości Polskiej był ten, że zwyciężony nieprzyaciół wracał na karki Zwycięzców iarżmo na moment ulżone. Zkąd więc pochodzi taki Rzeczy Polskich obrot? czemu ten Naród ięczał bez sposobu wydobycia się? oto ztąd że chytrósć Moskiewskich Intryg mocniejsza niż broń, gubila zawsze Polaków samemi Polakami.

UNIERSAŁ POŁANIECKI

Tadeusz Kościuszko, naywyższy naczelnik siły zbrojney narodowey do Kommissy Porządkowych wszystkich ziem i powiatow

Nigdyby Polakom broń Ich Nieprzyaciół straszną nie była, gdyby sami pomiędzy sobą zgodni znali swą siłę, i całej tey siły użyć umieli, nigdyby mówią orężem Polaków pokonać nie można, gdyby chytry nieprzyaciół przewrotnością, zdradą i podstępami nie niszczył i chęci i sposobów odporu. Cały ciąg Tyranii Moskiewskiej w Polsce jest dowodem do jakiego stopnia ta przemoc miotała losem Naszym, używając koleją przekupstwa, zwodniczych przyrzeczeń, podchlebiania przesądom, glaskania namiętności, burzenia iednych przeciwko drugim, czernienia u obcych, wszystkiego słowem co złość piekielna z chytrością nayprzewrotniejszą połączone wymyślić może.

W tylekrotnych zderzeniach w których Polacy do broni, przeciw niey się porywali, może ten Rod Rozbojników liczyć iedno nad niemi prawdziwe zwycięstwo? a przecież zawsze koniec śmiałości Polskiej był ten, że zwyciężony nieprzyaciół wracał na karki Zwycięzców iarżmo na moment ulżone. Zkąd więc pochodzi taki Rzeczy Polskich obrot? czemu ten Naród ięczał bez sposobu wydobycia się? oto ztąd że chytrósć Moskiewskich Intryg mocniejsza niż broń, gubila zawsze Polaków samemi Polakami.

UBIEGŁY rok 1965 rozpoczął się pod znakiem orędzia prez. L. B. Johnsona, w którym zawarty był obraz pokoju międzynarodowego i głównych wysiłków rządu Stanów Zjedn., skierowanych na wewnątrz, celem budowy Wielkiego Społeczeństwa, które to hasło miało odegrać rolę Nowej Granicy, z jakim wystąpił poprzednio Kennedy. Wbrew tej noworocznej zapowiedzi, rok 1965 stał się dla Ameryki okresem bezpośredniego i postępującego wciąż zaangażowania się w wojnę, czyli początkowe nadzieje zostały przez rzeczywistość przekreślone. Na Nowy Rok 1966 słyszymy znów słowa o pokoju, mianowicie przedstawiciele dyplomatycznej inicjatywy pokojowej prezydenta Stanów Zjednoczonych, którą poprowadził on z isticie amerykańskim rozmachem.

Wiceprezydent Humphrey wysłany został do Japonii, na Koreę, Formozę i Filipiny; ambasador do zleceń specjalnych, A. Harriman — do Warszawy, Belgradu, N. Delhi, Karaczi i Teheranu; Artur Goldberg, delegat Stanów Zjedn. w ONZ udał się do Papieża, prez. de Gaulle'a i — co zdecydowano dopiero w ostatniej chwili — do Londynu, dokąd na gwałt z wywczasów ściągnięto na tę intencję premiera Wilsona. Równocześnie, G. Bundy poleciał do Kanady, a mniej znane osobistości, M. Williams skierowany został do Afryki, a T. Mann — do Meksyku. W całym wreszcie świecie dyplomatyczni reprezentanci Waszyngtonu otrzymali instrukcje wyjaśniające pokojowe zamiary Prezydenta.

ODMOWA HANOI I MAŁE SZANSE POKOJU

Inicjatywa L. B. Johnsona, która jest bez wątpienia również echem politycznym moralnego apelu Pawła VI i rezultatem wielu nacisków, wewnętrznych i międzynarodowych na Biały Dom, nie zawiera elementów nowych i jest w swojej treści dość ogólnikowa. Przedstawiciele prezydenta Stanów Zjedn. oświadczają mianowicie, nie po raz pierwszy, że rząd amerykański gotów

NOWY ROK ZNOWU POD ZNAKIEM

jest zasiąść w każdej chwili za stołem konferencji pokojowej, w Genewie czy przed jakimkolwiek forum, oraz że konflikt wietnamski winien być możliwie najrychlej zażegnany środkami pokojowymi. Z drugiej strony wiadomo, że komuniści z Hanoi uważają za wstępny warunek pokojowych rokowań i zaprzestania swojej dywersji na obszarze Wietnamu Południowego — całkowitą ewakuację tego kraju przez siły zbrojne amerykańskie, co jest, oczywiście, dla Waszyngtonu nie do przyjęcia. Określili też inicjatywę amerykańską, jako podstęp i chwyt propagandowy.

W rezultacie, noworoczne inicjatywy pokojowe rządów wyglądają bardziej na posunięcia propagandowe i taktyczne, niż na kroki, które by rzeczywiście prowadziły do zawieszenia walk i do rozpoczęcia rokowań. Nawet, kontynuacja świątecznej przerwy bombardowań pñ. Wietnamu przez lotnictwo amerykańskie robi dotąd wrażenie raczej chwilowego akompaniamentu do dyplomacji, niż istotnego zwrotu w prowadzeniu wojny. Toteż, ostateczny wniosek, jaki się nasuwa z okazji tegorocznej inicjatywy pokojowej, to sceptycyzm mocno wsparty przez doświadczenie. Podobnie, jak różowy obraz przyszłości świata, namalowany w orędziu prezydenckim z 4 stycznia 1965, określiliśmy na tym miejscu przed rokiem, jako zbyt optymistyczny, teraz nie widzimy również wystarczających podstaw do ukończenia wietnamskiej wojny. Konflikt między światem wolnym a komunizmem i jego reżymami jest głęboki i powszechny, niemożliwy do zażegnania przez taktyczne, regionalne zabiegi.

ALTERNATYWA WZMOŻONEJ WOJNY I MISJA SZELIEPINA

Według prawdopodobnych komentarzy niektórych pism, inicjatywa pokojowa przez Johnsona ma swoją alternatywę wręcz odwrotną. Waszyngton, na — przewidywany zresztą — wypadek odrzucenia przez Hanoi i stojące za nim główne stolice komunistyczne, noworocznych kroków jego dyplomacji, przygotowuje jakoby wzmocnienie swojego nacisku wojennego na komunistów pñ. Wietnamu. Amerykańskie siły zbrojne na tamtejszym obszarze mają być powiększone do 350 albo nawet do 500 tysięcy ludzi, a bombardowania mają zbliżyć się coraz bardziej do Hanoi oraz zamykać jeszcze szczelniej szlaki infiltracji Wietkongu na teren pñ.

wietnamski przez obszary Laosu i Kambodży. W tym celu prez. Johnson musi uzyskać od Kongresu dodatkowe kredyty (około 8 miliardów dolarów), do czego potrzebny mu jest dowód, że wyczerpał wprawdzie wszelkie środki dyplomacji i prób pokojowych.

Dość nikłe nadzieje na sukces noworocznych poczynań dyplomacji Białego Domu oparte są na zakorzenionym w niektórych kołach zachodnich przekonaniu, że Rosja Sowiecka w istocie pragnęła by zażegnania wietnamskiej wojny i była by gotowa do nacisku na reżym pñ. wietnamski w kierunku jakiegos, możliwego dla Stanów Zjednoczonych kompromisu. Przekonanie to, wywodzące się z okresu rządów Chruszczowa, zakłada, że Sowiety cenią sobie wyżej koegzystencję z Ameryką i całym Zachodem od ekspansji komunizmu, a spór z Chińską Republiką Ludową mogą uznać za przeszkodę w niesieniu pomocy komunistom Wietnamu czy innym krajów azjatyckich. Było ono zawsze złudzeniem, które zresztą stoi u źródła wszystkich rozczarowań amerykańskich na terenie Wietnamu, gdzie prowadzą wojnę, nieprzewidywaną przez swoich rzeczoznawców i pozbawioną realnej wizji jej zakończenia, ani zadowolającego dla siebie, ani zwłaszcza zwycięskiego.

Niemniej, także teraz żywiona jest na Zachodzie nadzieja, że wpływ sowiecki może pójść w kierunku kompromisu pokojowego i że podróż Szeliepina do tej stolicy pñ. Wietnamu może to okazać. Misję tę poprzedziło podpisanie 22 grudnia 1965 układów Moskwa-Hanoi, gwarantujących komunistom pñ. Wietnamu rozszerzenie pomocy sowieckiej. Bezpośrednio po tym ambasador amerykański w Moskwie Foy Kohler odwiedził Gromykę, z którym dyskutowali jakoby sprawy wietnamskie. Jak można się domyślać z niektórych głosów prasy, przedstawicielowi Białego Domu mogło chodzić o wyjaśnienie, czy Kreml nie zechciał by wyzyskać udzielonej pomocy, jako środka nacisku na Hanoi w duchu pokojowym. Następne reakcje moskiewskie na inicjatywę prez. Johnsona nie usprawiedliwiły tej nadziei. Moskiewska „Prawda“ określiła ją jako pretekst do rozszerzenia wojny na Laos i Kambodżę, co z kolei znalazło się w równie wrogiej Stanom Zjednoczonym wypowiedzi Kosygina. Nie wróży to misji Szeliepina, którego nawiasem mówiąc odstawiono w grudniu od wewnętrznej maszyny partyjno-państwowej,

Józef Garliński „Z I E M I A “

Już jest w sprzedaży nowa książka popularnego autora, który dał się poznać społeczności emigracyjnej dwoma tomami wspomnień z okresu ostatniej wojny, Armii Krajowej i niemieckich więzień i obozów („Dramat i Opatrzność“ i „Matki i żony“).

Cena 12/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11

i we wszystkich kioskach i księgarniach polskich

DEKLARACJI POKOJOWYCH

gdzie skupił zbyt wiele nici w rękę, na tor polityki międzynarodowej — rezultatów pokojowych.

ZAOSTRZONY KURS KREMLA POMNIEJSZA SZANSE KOMPROMISU

Szanse pojednawczej akcji Moskwy w Azji są tym mniej prawdopodobne, że na Kremlu — wbrew podtrzymywanym przez zachodnią sowietologię od upadku Chruszczowa i przez cały rok 1965 — zapowiedziom ustąpienia pary jego następców, Breżniew i Kosygin na odwrót umocnili swoje stanowisko, a z nimi ostrzejszy kurs re-stalinizacji został utrwalony. Re-stalinizacja, chociaż starają się konsekwentnie zamykać na nią oczy rzeczoznawcy sowieckich spraw w prasie zachodniej, występuje w najważniejszych dziedzinach polityki Kremla. Zapoznanie tej rzeczywistości tłumaczyć można jedynie pobieżnymi życzeniami oraz tendencyjnością propagatorów zbliżenia Zachodu z Sowietami.

Wyraziła się ona przede wszystkim w ustaniu po upadku Chruszczowa ataków na pamięć Stalina i co więcej w kilku objawach nawrotu do jego kultu. Podczas filmu, wyświetlanego na Kremlu w 20-lecie zakończenia wojny, postać zmarłego despoty była w obecności nowego kierownictwa demonstracyjnie oklaskiwana. W artykułach i książkach marszałków, z 1965 r. z tej okazji ogłoszonych — równocześnie z degradacją znaczenia Chruszczowa — rola wojenna Stalina została naświetlona pochlebnie. Jeszcze ważniejszy był kierunek zmian w organizacji partyjno-państwowej i polityce Kremla. Zaostrenie kursu policyjnego połączone było ze znacznym rozwojem liczebnym odtwarzanej elity partyjnej w postaci „komitetów kontroli“ oraz „ochotniczej“ milicji, tzw. drużynników, co rozpoczęło się jeszcze za Chruszczowa i ostatnio doprowadziło łączne siły tych formacji do 10 milionów czyli blisko 5% ludności ZSSR.

Odpowiednikiem, tak zmontowanego na nowo w rękach Kremla aparatu kontroli i terroru, stała się z kolei reforma sowieckich władz gospodarczych, którą ogłoszono na jesiennych zjazdach centralnych organów, Komitetu Partyjnego i Wierchownego Sowietu w początku października 1965. Reforma polega na przywróceniu centralistycznego, stalinowskiego ich ustroju sprzed roku 1957, a przekreśle-

niu regionalnych „sownarchozów“, które Chruszczow wówczas na miejsce rozpedzonych ministerstw moskiewskich zaprowadził. Reforma ta stała się punktem wyjścia sporu Nikity z „antypartyjną opozycją“ grupy. Mołotow, Malenkow i Kaganowicz, którzy zostali wtedy odstawieni od kierownictwa partii i nawet z niej usunięci. Otóż, równocześnie z przekreśleniem reform Chruszczowa stwierdzono w Moskwie pojawienie się na Kremlu znowu Mołotowa, jako doradcy obecnego kierownictwa.

Równolegle do pracy nad odbudową aparatu partyjno-państwowego i centralizmu gospodarczego, następcy Chruszczowa powrócili do dawnego, stalinowskiego stylu w polityce. Skończyły się podróże do zachodnich stolic i ustala rozlewna gadaliwość, jaką odznaczał się obalony jedynowładca. Co najważniejsze wreszcie, walka o zachowanie pierwszeństwa w światowym komunizmie i rywalizacja z partią chińską skierowana została na nowy tor. Zamiast równoczesnego oszczędzania Ameryki a nawet kokietowania jej „czerwonym drutem“ Biały Dom — Kreml, para Breżniew i Kosygin zaangażowała się, jak wiadomo, w pomoc dla ptn. Wietnamu i zaczęła wyścig z Pekinem w hasłach antyamerykańskich oraz w ogóle rewolucyjnych. W tym duchu Moskwa przygotowuje się też do 23 kongresu partyjnego, zwołanego na marzec 1966 i następnie planowanych zjazdów międzynarodowego ruchu komunistycznego.

Jest to więc Rosja Sowiecka zupełnie odmienna od malowanej dalej przez sowietologów opinii zachodniej w barwach coraz bardziej demokratycznych i liberalnych a gotowej przede wszystkim do „pokojowej koegzystencji“ z światem wolnym, Rosji „dobrej“ i coraz „lepszej“, a nie mającej większego zmartwienia jak powstrzymać od ekspansji komunistycznej czerwone Chiny. Można przypuszczać, że realistyczny L. B. Johnson zdaje sobie z tego sprawę, co — miejmy nadzieję — uchroni świat wolny od katastrofalnych skutków, jakie tendencyjny optymizm sowietologów mógł by na narody sprawdzić.

„POZA WIETNAMSKIM CYRKIEM POKOJOWYM“

Realizm jednak nie pokrywa się z cynizmem i dlatego było by fatalnie, gdyby prezydent Stanów Zjednoczonych

kierował się w swojej energicznej polityce na terenie pld. wschodniej Azji wytyczną, o której czytamy np. w artykule londyńskiego „Sunday Telegraph“ z 2 stycznia br. pt. „Poza wietnamskim cyrkiem pokojowym“. Autor, Gordon Brook-Shepherd pisze: „Amerykanie chcą przede wszystkim pokazać komunistom całego świata, że jeśli przekraczają tę niewidoczną linię rozejmu zimno-wojennego, która została wykreślona po Berlinie i Korei, będą odepchnięci wstecz, ponieważ stosunki Wschód-Zachód muszą się opierać na szanowaniu tej linii. Chruszczow złamał tę zasadę na Kubie. To samo zrobił Ho-Czy-Minh w pld. Wietnamie, gdzie zaczął wspierać „wojnę narodowego wyzwolenia“ nie tylko przez propagandę, pieniądze i broń (co jeszcze było by dopuszczalne), ale przez inwazję swoich wojsk regularnych“.

Zacytowana formuła koegzystencji zachodnio-komunistycznej i terytorialnego status quo, jaka znalazła się w artykule Brook-Shepherd'a na łamach konserwatywnego pisma niedzielnego, jest zarówno płytka jak cyniczna. „Niewidoczna linia“ podziału strefy wpływów na Dalekim Wschodzie, jak wiemy, dzieli terytoria narodowe Korei i Wietnamu oraz sankcjonuje podział Chin na wolną Formozę oraz na ujarzmione przez komunizm Chiny kontynentalne. Linia ta jest wykładnikiem nie żadnej zasady ogólnej i wartej krucjaty wszystkich narodów, ale tylko obcych interesów mocarstwowych. Ze stanowiska amerykańskiego, to linia bezpieczeństwa strategicznego Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku. Przy takim ujęciu celów wojny wietnamskiej ze strony amerykańskiej trudno jest się dziwić, że uwodzeni ideą jedności oraz wyzwolenia narodowego komunizmi tamentejsi walczą lepiej i znajdują silniejszy oddźwięk ludności, niż rząd w Sajgonie.

Przenosząc formułę Brook-Shepherd'a na stosunki europejskie, uznać by również trzeba, że warto będzie na naszym kontynencie prowadzić wojnę o „żelazną kurtynę“, która rozdziela Europę i wschodnią jej część trzyma pod jarzmem sowieckim a wolność gwarantuje jedynie zachodniej. Wara jednak, od marzeń o wyzwoleniu całego naszego kontynentu i o walce, w imię wielkiej zasady wolności narodów oraz pokoju na niej opartej. Oczekiwanie, że tak płytka a cynicznie pojęta polityka zdoła pociągnąć za sobą narody słabsze i pozbawione wolności jest przypisywaniem im chyba zupełnego braku inteligencji albo samodzielności myśli. Szczęśliwie tak źle z nimi jeszcze nie jest.

Z. S.

DE GAULLE NA

„Le roi est mort — vive le roi!“ Król umarł, niech żyje król — wołano dawniej we Francji. Od 8 stycznia i my tak wołamy tutaj, tylko, że ten monarcha, który zmarł 7 stycznia i ten nowy, co zasiadł nazajutrz na tronie elizejskim, jest tą samą osobą — Charles de Gaulle. 8 stycznia rozpoczyna drugą siedmioletnią kadencję jako prezydent Francji.

Wyборы były ciężkim doświadczeniem. Nie przypuszczał, że w pierwszej turze zostanie zbalotowany i że w drugiej, ostatecznej, jego jedynym konkurentem będzie François Mitterrand, uważany dotychczas za zręcznego gracza i oportunistę politycznego, który zasiadał w 11 gabinetach IV-ej Republiki. Gdyby to był Antoine Pinay, albo nawet Mendès-France, można by mówić o jakimś ciężarze gatunkowym, o powadze. Ale Mitterrand?.. I do tego sytuacji tak się rozwinęła, że de Gaulle musiał tego kandydata potraktować jak najbardziej poważnie. Porzucił z jego powodu swój styl przemawiania do narodu, by wygłaszać przystępne, nawet zabarwione jowialnością, pogadanki. Sam ustalił zasady tej gry i grał do końca i z fasonem, choć musiało go to kosztować wiele samozaparcia. Tu de Gaulle mi zaimponował. Na zarzut, że jego osobiste rządy przypominają dyktaturę, sam najlepiej odpowiedział: „Czy kto widział zbalotowanego dyktatora?“ Z pewnością nikt, bo dyktator tak by sobie zorganizował wybory, by uzyskać 90 % większości... Jaka szkoda, że nie było we Francji w okresie tej kampanii przedstawicieli młodego pokolenia polskich partyjników — zobaczyliby lekcję demokracji i zrozumieliby na czym polega wolność słowa, krytyki, pisma, zgromadzeń itd. Posłyszeliśmy jak ostro wolno krytykować w telewizji, w radio, w gazetach, na zebraniach człowieka, który ma niemal pełnię władzy w ręku. Można go lubić albo nie, można go cenić, albo uważać za epigona przebrzmiałej epoki, ale cały świat widzi w nim wielką postać historyczną i nawet ci, co go nie znają, mają dla niego szacunek. Jak mierznie przy nim wyglądają różni „pierwsi sekretarze“, wyłonieni przez obskurne partyjne siły z ciemnej nicości — ale w „wyborach“ uzyskujący 90 % z ułamkami. De Gaulle sprawuje władzę z woli wolnego narodu wyrażonej w wolnych wyborach. Uzyskał 55 %, niektórzy uważają, że to nie zbyt wiele — ale gdyby uzyskał tylko 50 % plus jeden głos, to byłby takim samym prezydentem i tak samo szanowanym. Na tym polega demokracja.

Po stwierdzeniu czym była istotna strona wyborów, mogę śmiało, jako wol-

ny dziennikarz w wolnym kraju, omówić je z innych stron, mogę krytykować.

Przebieg wyborów zaskoczył gaullistów całkowicie. Przytaczam opinię prorządowego tygodnika „Candide“: „Wszystkie hipotezy UNR (Unia dla Nowej Republiki — stronnictwo gaullistowskie) dotyczące drugiej kadencji opierały się na pewności, że generałowi wystarczy pojawić się (w charakterze kandydata), by zmienić wybory prezydenckie w zwykłą formalność“. Stało się inaczej, co oznacza, że opozycja jest o wiele silniejsza, niż koła rządowe przypuszczały. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że sam generał przypuszczalnie takim optymistą nie był. Bardzo długo się wahał zanim zdecydował się ponownie kandydować i już w czasie kampanii przed pierwszą turą głosowania był zaniepokojony. Poważny dziennikarz, Raymond Tournoux, mający dobre chody w sferach rządowych, twierdzi, że w czasie pierwszej fazy kampanii generał nikogo nie przyjmował. Ci co urzędują w pałacu Elizejskim pod jego biurem, słyszeli, jak bez przerwy przemierzał pokój. Podobno żałował, że kandyduje.

Gdy instytuty badania opinii publicznej zaczęły podawać niebezpieczne dla de Gaulle'a obliczenia, ministrowie, którzy mieli w czasie kampanii zachować neutralność, nagle ogarnięci paniką, rzucili się na całego w wir roboty przedwyborczej. Pomimo że przewidywane szanse wyborcze generała nie przestawały się obniżać. Nasuwa się wniosek, że kandydaci opozycji lepiej oddziaływali na opinię, niż gaullistowska elita, zasiadająca w rządzie. Nie pomogli de Gaulle'owi nie, choć sami twierdzą, że bez ich akcji wynik mógłby być jeszcze gorszy. Jasne, że się bronią, ale również jest jasne, że nie zdołali swego kandydata ochronić przed balotażem. Nie tylko źle przewidywali, (oceny rządowe dawały generałowi 66 procent w pierwszej turze), ale wykazali, że nie mają w masach żadnego wzięcia.

* * *

Specjaliści zgodnie orzekli, że to telewizja wprowadziła całkowity przewrót w metodach kampanii wyborczej. Ministrowie i gaullistowskie dygnitarze mieli generałowi za złe, że w pierwszej fazie zamknął się w pałacu Elizejskim; z dwóch godzin na ekranie telewizji, do czego miał prawo, wykorzystał tylko niepełne 20 minut i w ogóle w kampanii czynnie się nie zaangażo-

wał. Sukces zaś dwóch konkurentów, a zwłaszcza młodego kandydata centrum Jana Lecanuet przypisali jego urokowi osobistemu, przystępnemu sposobowi przemawiania, uśmiechom. Jednym słowem czarowaniu widzów telewizyjnych. Namawiano więc de Gaulle'a, by zastosował tę samą metodę i przestał wygłaszać orędzia do narodu. Zgodził się i odbył trzy półgodzinne pogadanki z dziennikarzem Michel Droit. Wystąpił jako przystępny, uśmiechnięty i miły starszy pan. Prasa orzekła, że to wielki sukces. W gaullistów wstąpił nowy duch. Tymczasem cyfry mówią co innego. Dwa czoiłowe instytuty badania opinii, które w tych wyborach (i w 1962 r.) dokładnie przepowiadały wyniki, dawały de Gaulle'owi przed tymi pogadankami 54-55 % i po nich tyle samo. Wybory ten procent potwierdziły. Nasuwa się prosty wniosek: opinia mas nie jest tak ciemna, jak to się wydaje i nie jest zbyt wrażliwa na „czarowanie“. To nie przystojna twarz, białe zęby, uśmiech i przyjemny głos Lecanuet'a do niej przemówiły, lecz jego argumenty i program.

De Gaulle swymi pogadankami nie zyskał nowych zwolenników, bo nie zmienił swego programu i nie powiedział niczego nowego.

* * *

Analiza głosów wykazuje, że na generała głosują ludzie starsi (62 % wyborców ponad 65 lat) i kobiety (60 % oddaje głosy na niego), podczas, gdy Lecanuet miał tylko 11 % głosów ludzi ponad 65 lat. Młodzież głosowała w pierwszej turze na niego i na Mitterranda. Z tej analizy może się nasuwać wniosek, że w tych wyborach zarysował się konflikt dwóch pokoleń — starego, które niedługo odejdzie, a z nim może także pewne koncepcje polityczne, oraz młodego, które może pójść zupełnie inną drogą. Nie należy zapominać, że Lecanuet na pierwszym miejscu swego programu stawiał stworzenie Stanów Zjednoczonych Europy z obieralnym prezydentem i że koncepcje europejskie Mitterranda nie wiele się od tego różnią. Czyli, że młodzież wydaje się być europejska, w znaczeniu Europy w pełni zintegrowanej. Dla niej Wspólny Rynek to już przeżyty etap; patrzy już dalej niecierpliwie się.

* * *

Inny aspekt tych wyborów. * Większość poważnych komentatorów jest zgodna, że de Gaulle przy pomocy kurtuazyjnych gestów wobec Sowietów

SIEDEM DALSZYCH LAT

starał się wprowadzić zamieszanie w szeregach francuskiej partii komunistycznej i w ten sposób odebrać jej poważny procent wyborców. To mu się nie udało. Komuniści solidarnie głosowali na Mitteranda i generał utracił nawet pewien procent tych głosów komunistycznych, jakie zwykle uzyskiwał w poprzednich głosowaniach. Trzeba tu podkreślić, że przed jego powrotem do władzy partia miała stale ponad 5 milionów wyborców, a w styczniu 1956 r. nawet 5,982.000. Od 1958 roku liczy tylko 4 i pół miliona, mimo że ilość uprawnionych do głosowania wzrosła z 26,700.000 do 28,900.000. Gaulliści jeszcze ludzili się, że może w drugiej turze odbiorą Mitterandowi część głosów komunistycznych i w wytycznych do tej części kampanii premier Pompidou zabronił gaullistom używania straszaka frontu ludowego. Komunistów nie atakowano, natomiast głównym argumentem przeciw Mitterandowi było to, że skrajna prawica i reakcja postanowiła głosować w drugiej turze na niego. Rzeczywiście, z analizy jaką mam przed sobą, widzę, że Mitterand uzyskał 71 % tych głosów, które w pierwszej turze padły na Tixier-Vignancour, ale de Gaulle też zarobił na nich — 29%. Warto będzie śledzić, jak rozwinie się stosunek generała do komunistów francuskich. A także do Moskwy, która z jednej strony udawała, że zachęca do głosowania na de Gaulle'a, a z drugiej popierała kandydaturę Mitteranda. Obecny prezydent Francji nie lubi, by go wyprowadzano w pole.

* * *

Wspomniałem o froncie ludowym. Wielu i to poważnych Francuzów z lekkim sercem zgadza się na taką ewentualność. Jeden z czołowych lewicowych gaullistów nie tak dawno oświadczył publicznie, że gaullizm jest gotów pójść na tę koncepcję, motywując, że front ludowy w 1936 roku dał światu pracy szereg bardzo poważnych zwycięstw socjalnych. Zgoda, ale front ludowy z 1936 r., to nie to samo, czym był by taki front obecnie. Wówczas filarem politycznym III Republiki była partia radykałów. Socjaliści Bluma byli bardzo silni. Trzeci partner frontu zato, komuniści, był najsłabszy. Nie należy też zapominać, że ten front dał tylko większość w parlamencie, bo do rządu komuniści nie weszli. Gdyby taki front powstał obecnie, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. Partia komunistyczna jest dziś najsilniejszą, ra-

dykałowie rozlecieli się i są w stanie szczątkowym, w stosunku do tego, czym byli niegdyś, a partia socjalistyczna SFIO na papierze liczy zaledwie 80 tys. członków, a w rzeczywistości, jak podobno oświadczył na zebraniach władz Gaston Deferre, tylko 40 tys. Taki front byłby dziś całkowicie oparty przez komunistów i tym razem nie zgodziliby się oni na pozostanie poza rządem. Nic dziwnego, że mimo wezwania Lecanueta, by jego wyborcy z pierwszej tury nie głosowali na de Gaulle'a, 53 % go nie usłuchało i oddało głosy na generała. Ich rzecznicy uzasadniają to właśnie obecnością komunistów w wyborczej grupie politycznej Mitteranda.

* * *

Za 15 miesięcy odbędą się we Francji nowe wybory — do Zgromadzenia Narodowego. Będą one decydujące, bo jeżeli gaulliści stracą posiadaną obecnie większość, to de Gaulle nie będzie w stanie rządzić i może powstać głęboki kryzys polityczny. Trudno w tej chwili przewidzieć, czy do tych wyborów lewica zgrupowana wokół Mitteranda, stanie ponownie w jednym bloku z komunistami? Ale ciekawe jest pytanie, czy gdyby stała się szansa zdobycia większości w Zgromadzeniu i z kolei zmuszenia de Gaulle'a do dymisji i doprowadzenia do ponownych wyborów prezydenckich. W wypadku sukcesu zakończyłoby się to powstaniem frontu ludowego.

W Zgromadzeniu Narodowym można uzyskać większość bez uzyskania bezwzględnej większości w wyborach, czego najlepszym przykładem jest obecna większość gaullistowska, która w wyborach w 1962 r. uzyskała tylko 32 % głosów. Wszystko zależy od ordynacji wyborczej. Nie wydaje się, by obecny rząd zmienił ordynację w taki sposób, który faworyzowałby komunistów. Ale gdyby nawet tak się stało; ugrupowanie frontu ludowego uzyskałoby większość, a de Gaulle by odszedł, to przy obecnym stanie opinii publicznej to ugrupowanie nie ma szans na przeprowadzenie wyboru swego kandydata na prezydenta. Komuniści z socjalistami nigdy po wojnie nie doszli do 50 % głosów, a w ostatnich latach nie przekroczyli 40 %. Teraz Mitterand dostał 45 %, ale w tym są także głosy skrajnej prawicy, która nie głosowała na niego, lecz przeciw de Gaulle'owi. Jest 47 % Lecanueta i trochę innych, które nic z frontem ludowym nie mają wspólnego.

Na zakończenie przytoczę opinię lewicowego tygodnika „Express”: „Jedną z reguł, przynajmniej w obecnym stanie nastrojów jest fakt, że kandydat (na prezydenta) nie może zostać wybrany, jeżeli w mniemaniu części wyborców będzie uchodził, słusznie czy niesłusznie, za przedstawiciela partii komunistycznej“. Tak było z Mitterandem. Z komunistami nie rozmawiał, nie zgodził się na dyskusowanie z nimi swego programu. Nie weszli do nowopowstałej Federacji demokratyczno-socjalistycznej (socjaliści, radykałowie i część klubów politycznych) i dali mu swoje poparcie bez żadnych warunków. To wystarczyło, by opinia umiarkowana uznała go za kandydata komunistów i w większości odmówiła mu swych głosów.

Marian Czarnecki

WYBÓR RADY TRZECH I DYSKUSJA W SPRAWACH SPOŁECZNYCH W RADZIE JEDNOŚCI NARODOWEJ

(EZN) — 11 grudnia 1965 odbyło się w Londynie posiedzenie Rady Jedności Narodowej przy bardzo licznej frekwencji członków. Na porządku dziennym znajdowało się przeprowadzenie wyboru do Rady Trzech, której kadencja upływała w grudniu ub. roku, oraz dyskusja nad wnioskiem o życie społecznym i zadaniach emigracji politycznej, zgłoszonym imieniem Egzekutywy przez p. K. Sabbata na poprzednim posiedzeniu Rady.

Zagajając posiedzenie przewodniczący dr Tadeusz Bielecki wygłosił wspomnienia pośmiertne o dwóch zmarłych ostatnio członkach Rady, śp. Janie Bielatowicz i śp. wojewodzie Michale Grażyńskim. Zebrani wysłuchali wspomnień stoją i uczcili pamięć Zmarłych chwilą skupienia.

Przy wyborze członków Rady Trzech na nową trzyletnią kadencję zgłoszono nazwiska w dotychczasowym składzie. Gen. W. Anders został wybrany wszystkimi głosami, przy jednym wstrzymującym się, gen. T. Bór-Komorowski — jednogłośnie, amb. E. Raczyński — przy 5 głosach wstrzymujących się. Zebrani przyjęli wybór oklaskami.

Z kolei red. Paweł Hęciak złożył sprawozdanie z posiedzenia połączonych Komisji: Emigracyjnej i Wewnętrzno-Politycznej, uzasadniając projekt rezolucji przedyskutowany na tych komisjach.

W głosowaniu po dyskusji, rezolucja wraz z poprawkami przeszła jednogłośnie, przy jednym głosie wstrzymującym się.

(Dokończenie na str. 8)

(Dokończenie ze str. 7)

Rezolucja:

„Rada Jedności Narodowej stwierdza, że polskie organizacje społeczne w wolnym świecie szeroką i różnorodną swoją działalnością dobrze służą sprawie Polski.

Rada Jedności Narodowej wyraża uznanie działaczom społecznym

— za ich bezinteresowną, owocną i ofiarną pracę wykonywaną od wielu lat i we wszystkich krajach, w których znajdują się Polacy,

— za ich zdecydowaną postawę polityczną w pracy i w walce o odzyskanie niepodległości dla Polski,

— za utrzymanie więzi duchowej z narodem w Kraju,

— za podejmowanie różnorodnych zadań przez organizacje społeczne, kulturalne i zawodowe, zgodnie z potrzebami emigracji,

— za stworzenie własnych i niezależnych podstaw gospodarczych, koniecznych dla rozwoju polskiego życia społecznego.

Rada Jedności Narodowej, uznając samodzielny i niezależny charakter zor-

ganizowanego życia społecznego, zwraca się do organizacji społecznych o:

1. pogłębienie swartości organizacyjnej polskiego życia społecznego w wolnym świecie, zwłaszcza wobec wzmożonej akcji reżimowej zmierzającej do rozbicia emigracji politycznej,

2. zapewnienie ciągłości polskiego życia społecznego przez wprowadzenie do czynnej pracy młodszych pokoleń.

3. utrzymanie bliskiej współpracy z organizacjami Polonii.

W zakresie programowym:

1. o utrzymanie charakteru niepodległościowego polskiego życia społecznego,

2. o utrzymanie i rozwój możliwie pełnego życia narodowego i religijnego na obczyźnie ze szczególnym obowiązkiem wychowania w duchu polskim młodzieży i roztoczenie opieki społecznej nad chorymi, starszymi wiekiem i samotnymi,

3. o pełne poparcie działalności prowadzonej w wolnym świecie przez władze Zjednoczenia Narodowego, jako polskie władze polityczne w celu odskania dla Polski niepodległego bytu opartego na zasadach demokratycznych i sprawiedliwości społecznej.“

ODEZWA KS. BISKUPA WŁADYSŁAWA RUBINA

Wchodząc dzisiaj w rok obchodów Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej zgromadzmy się wszyscy duchowo pod sztandarem naszej Jasnogórskiej Królowej z mocnym postanowieniem, aby nasze uczestnictwo w obchodach było zawsze nacechowane chrześcijańską wiarą, miłością i nadzieją.

Wiara nasza zaszczerpiona w polskim narodzie przez apostołów Kościoła rzymsko-katolickiego przewija się tysiącletnimi korzeniami przez całą naszą historię... Tak w okresach naszej historycznej świetności jak i w okresach straszliwych klęsk była ona źródłem niespożytej siły. Oparta na historycznym zdarzeniu śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa przepajała całe życie narodu nadprzyrodzoną mocą, podnosząc jego doczesną ograniczoność do nieśmiertelnych wyżyn.

Ta żywa wiara była źródłem chrześcijańskiej miłości, która wyraziła się względem Boga i ludzi w życiu religijnym i różnych zwyczajach narodu. Ona była hamulcem, gdy w okresach kryzysu przychodziły do głosu rozpętane, nie liczące się z niczym siły. Ona była zawsze motorem najwznioślejszych pomysłów i dzieł w naszym narodzie.

Obecnie w okresie świętego roku obchodów Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej trzeba jeszcze poszerzyć i otworzyć na ścieżaj nasze umysły i serca tak, aby ogarnąć nimi wszystkich ludzi. Trzeba powyrywać z naszych dusz

urazy i pozostałości dawnych duchowych kryzysów tak, aby jeśli to od nas zależy, żył nasz naród w zgodzie ze wszystkimi ludźmi.

Świadomi naszych wad narodowych, starajmy się w tym świętym roku, niezależnie od różnych poglądów, czy ugrupowań politycznych, zespolić nasze wysiłki tak, byśmy naszym zjednoczeniem w Chrystusie zdolali godnie podziękować Bogu za dar synostwa Bożego i byśmy odnowieni szczególnymi łaskami Tysiąclecia weszli ze wzmocnioną nadzieją w stojącą przed nami przyszłość.

Objęując dzisiaj z wielkiego rozstaju naszego Tysiąclecia całe historyczne dzieje narodu polskiego, wejźmy z wiarą, miłością i nadzieją w święty rok obchodów Tysiąclecia, nie szczędząc ofiar duchowych i materialnych, abyśmy wspólnymi siłami dali świadectwo naszej tysiącletniej wierności Bogu, Kościołowi i polskiej Ojczyźnie.

Proszę gorąco Polaków, aby pośpieszyli z pomocą Komitetowi Milenijnemu przygotowującemu różne formy obchodu Tysiąclecia, wspierając go hojnymi datkami pieniężnymi.

Polecając ufnie wszystkich Polaków na emigracji miłosierdziu Bożemu i naszej Jasnogórskiej Królowej, ślę wszystkim pozdrowienia i błogostawieństwo w Chrystusie.

Ks. WŁADYSŁAW RUBIN,
biskup tyt. Serty, delegat Prymasa Polski
dla duszpasterstwa emigracji polskiej

**ODEZWA KOMITETU
TYSIĄCLECIA
W LONDYNIE**

Wchodzimy w rok milenijny. Tysiąc lat mija od chwili, kiedy wielki budowniczy państwa polskiego Mieszko przyjął chrzest. Ten jego akt wiary i głębokiego rozumu wprowadził Polskę do społeczności chrześcijańskiej i związał ją z Zachodem.

Ta właśnie data — 966 — określiła na całe tysiąclecie kierunek naszych dziejów. W ciągu dziesięciu wieków szły do nas z Zachodu najwspanialsze zdobycze myśli ludzkiej. Płynęły z zachodnich źródeł ożywcze prądy, które rzeźbiły naszą osobowość historyczną. Dał nam Zachód najcenniejsze wartości swej kultury: grecki ideał piękna, rzymski ideałładu prawnego i moralność chrześcijańską, opartą na miłości bliźniego i poszanowaniu godności ludzkiej. Polska przyswajała najszlachetniejsze pierwiastki cywilizacji zachodniej, przetwarzając je i wzbogacając własną pracą. Dała światu nieśmiertelne dzieła swych twórców i odważną mądrość myślicieli, którzy umieli wyprzedzać swe czasy; dała ofiarne bohaterstwo swych synów, którzy bronili Europę przed zalewem zaborczego Wschodu.

Dzisiaj — u kresu pierwszego Milennium — naród polski, w orbicie imperium sowieckiego, żyje pod władzą narzuconych mu przemocą rządów, które starają się przekreślić jego wielowiekowe tradycje chrześcijańskie i osłabić jego związki ze światem zachodnim. Skrepowany rygorami nieludzkiego systemu policyjnego nie może otwarcie powiedzieć, co naprawdę czuje. Naszym jest obowiązkiem być wyrazicielami jego myśli i dążeń. Naszym jest zadaniem zaznaczyć w wolnym świecie obecność Polski, która przecież się nie wyrzekła: Boga ani wiary, swej ziemi ani swoich praw.

Świadomi wielkości nadchodzącej rocznicy, gotujemy się wszyscy do jej godnego uczczenia. Chcemy okazać, że jesteśmy nie tylko liczbą, ale i siłą. W tej chwili, kiedy tak żywo biją polskie serca, wzywamy Rodaków w Wielkiej Brytanii do wzięcia czynnego udziału w organizowanych obchodach, których punktem szczytowym będzie wielka manifestacja narodowo-religijna na Stadionie White City w Londynie 22 maja 1966 r., i do możliwie licznego uczestnictwa w majowej pielgrzymce do Rzymu, skąd przyszło do nas przed wiekami światło wiary i mądrości wiekuistej.

KOMITET TYSIĄCLECIA POLSKI
CHRZĘŚCIJAŃSKIEJ

NOWY MODEL KIEROWNICTWA PRZEMYSŁU W POLSCE

W POŁOWIE stycznia 1966 w polskich przedsiębiorstwach przemysłowych zaczyna obowiązywać nowy model zarządzania, którego założeniem jest, nazwany popularnie „motyw“ zysku. Wbrew zaprzeczeniom planistów, że reforma nje stanowi przejścia do systemu kapitalistycznego, wystarczy zapoznać się z kilkoma podstawowymi elementami nowego modelu, aby nabrać przekonania, że stanowi on próbę pogodzenia obu systemów ekonomicznych, z jednoczesnym podkreśleniem nienaruszalności systemu „socjalistycznego.“

Prasa zachodnia, komentując wprowadzenie nowego modelu zarządzania przedsiębiorstwami, zastanawia się, dlaczego wśród państw t.zw. obozu socjalistycznego, Polska wprowadza go jako ostatnia. Przytacza przy tym, że model, oparty na „motywie“ zysku wysunięty został przez ekonomistów polskich już w 1956 r. a więc znacznie wcześniej, zanim wystąpił z nim publicznie Liberman w Sowietach, Sik w Czechosłowacji lub Deszö Nyers na Węgrzech. Jednak całą zasługę, za pomysł jak i za wprowadzenie go w życie w obozie „socjalistycznym“ prasa zachodnia, uczciwie przypisuje ekonomistom polskim.

Ocena modelu przez ekonomistę polskiego

Omawiając wprowadzenie nowego modelu zarządzania w przedsiębiorstwach przemysłowych, Zygmunt Szeliga, znany ze swej trzeźwej i trafnej oceny gospodarki polskiej, wyjaśnia w *Polityce* z 29 listopada 1965 r., że zamianę cechuje ostrożny entuzjazm. Nowy system, według niego, ma polegać na daleko posuniętym ograniczeniu szczegółowych dyrektyw i zmniejszeniu zakresu ingerencji władz nadrzędnych w wewnętrzne życie przedsiębiorstwa. Ta zmiana ma pociągnąć za sobą automatycznie zwiększenie samodzielności wytwórców. Kierownicy przedsiębiorstw nie mają być, jak dotychczas skrupowani koniecznością ciągłego spoglądania ku „górze“, za-

nim podejmą, chociażby najlepiej przez nich przemyślane i korzystne dla gospodarki narodowej zmiany w produkcji.

Według Szeligi, głównym wskaźnikiem, którym teraz przedsiębiorstwa przemysłowe mają się kierować będzie rentowność, określająca stosunek zysku do kosztów własnych, bądź stopa zysku, wyrażająca stosunek zysku do wartości środków trwałych i obrotowych. Stąd konieczność oprocentowania środków trwałych, która zmusi przedsiębiorstwa do racjonalnego wykorzystania posiadanych maszyn i urządzeń i pozbycia się produkcji, której nie można celowo wykorzystać.

W przyszłości przedsiębiorstwa obowiązane będą czynić odpisy bilansowe i płacić odsetki od pożyczek bankowych, zaciągniętych na inwestycje i kapitał obrotowy.

Entuzjaści nowego modelu obiecują sobie z tego wiele korzyści. Spodziewają się, że zarówno dotychczasowa sztywność w dysponowaniu funduszem płac jak i zatrudnienie ulegną daleko idącej zmianie na lepsze. Zmiana wpływa z większej samodzielności przedsiębiorstwa. Dotychczas, najlepsze intencje zarządu przedsiębiorstwa, rozбивały się o brak zgody Zjednoczenia albo centrali planowania. Spodziewają się, że nastąpi również zmiana w dziedzinie inwestycji. Tutaj samodzielność była dotychczas fikcją, gdyż nie brano tu pod uwagę możliwości dostarczenia materiałów przez dysponenta, t.j. przez czynnik, który z ramienia centrali planowania zajmuje się dystrybucją surowców.

A jak zresztą wiadomo, sztywne normy, centralnie postanowione pozabawiały przedsiębiorstwa elastyczności gospodarczej, powodowały przerwy w produkcji i opóźnienia w dostawach, ze szkodą dla gospodarki narodowej, zwłaszcza, gdy chodziło o produkty przeznaczone na eksport. A już najgorzej wychodził na tym konsument krajowy, któremu najczęściej ofiarowano „buble.“ A jeśli w pewnym okresie powstawała szczególnie korzystna koniunktura na pewne produkty przemysłowe dla rynków zagranicznych, wtedy albo

dysponent nie potrafił dostarczyć przedsiębiorstwu potrzebnych surowców, albo sprawa rozбивała się o sztywne limity funduszu płac.

Teoria a praktyka

Teoretycznie wprowadzenie nowego modelu zapowiada się, jak wiele wcześniejszych reform wcale przekonywująco, gdyby na przeszkodzie nie stało szczegółowe, centralne planowanie. A przeszkody są tu natury dwojakiej: dogmatycznej i personalnej. Świadczą o tym najwyraźniej wypowiedzi Jędrychowskiego, gdy oświadczył, że byłoby nonsensem przypuszczać iż zmiana na korzyść większego usamodzielnienia przedsiębiorstw miałyby oznaczyć wprowadzenie istotnych zmian w centralnym planowaniu.

Drugą niemniej istotną przeszkodą jest samoobrona zarówno personelu centralnej komisji planowania gospodarczego jak i t.zw. Zjednoczeń przed utratą stanowisk. To samo dotyczy wszystkich planistów na szczeblu województw. Ta właśnie kilkudziesięcna rzesza poprze każde dogmatyczne stanowisko swego szefa, gdyż zapewni jej utrzymanie się przy wpływach.

Nie mamy dotychczas żadnych danych, w jaki sposób większą samodzielność przedsiębiorstwa z rygorystycznym planowaniem centralnym pogodzili Jugosłowianie i Czesi. Warto przeto sięgnąć raz jeszcze do artykułu Szeligi i posłuchać jego obaw, gdy mówi, że nowy model może nie dać tych praktycznych rezultatów, jakich należałoby się spodziewać, bowiem najmądrzejsze i najlepsze zasady nie dadzą jeśli zabraknie rzeczywistych chęci racjonalnego działania. Obawia się, że w przyszłości przedsiębiorstwo może otrzymać tylko parę albo tylko jeden wskaźnik dyrektywny. Ale ten wskaźnik można tak „obudować“ zaleteniami, wskazówkami i sugestiami oraz siecią kontroli, że w praktyce będzie on gorszy niż sześćdziesiąt wskaźników.

Poza tym zwraca on uwagę, że żadne przedsiębiorstwo nie otrzymało dotychczas żadnych wiążących

informacji i wskaźników. Cała praca nad planami na rok 1966 odbywała się według dotychczasowej procedury. A przecież nowy model ma obowiązywać już od 1 stycznia tego roku.

Niedomówienia

Teoretycznie założenia nowego modelu mają wywrzeć korzystny wpływ na kształtowanie się zarobków i personelu administracyjnego przedsiębiorstwa. Dotychczas, jak wiadomo, podstawowe, niskie zarobki uzupełniano wynagrodzeniem za godziny nadliczbowe i płaceniem premii za wykonanie i przekroczenie planów produkcji, choćby „bubli“, których wartość, jak podała niedawno prasa krajowa, urosła do blisko ośmiu milionów złotych. Obecnie nacisk ma być położony na jakość produkcji, a zysk, zależeć będzie nie od produkcji „na skład“ lecz od produkcji sprzedanej. A niezależnie od tego zakład musi czynić odpisy i płacić odsetki od pożyczek.

Nie zmienia się nic w zasadzie centralnej administracji surowców ani w kontroli ustalonych centralnie limitów funduszu płac. Czy dyrektor przedsiębiorstwa będzie mógł, bez obawy konsekwencji, przerzucić elastycznie kredyty, (bez czekania na zgodę czynników nadrzędnych), jeśli tylko nadarzy się okazja zwiększenia produkcji? A więc zwiększenia zysku, z którego i on i cała jego załoga mają korzystać. Wątpliwości są duże.

Jak usunąć następujące przeszkody?

Wystarczy przytoczyć dwa przykłady, zawarte w artykule Tygodnika Demokratycznego z 26 października 1965 r.p.t. „Przeciw szufladkom“. Szufladkami nazywa tu autor kredyty, przyznane przez planistów dla każdego działu przedsiębiorstwa, które wiążą dyrektora. Jakikolwiek „virement“ nie może tu mieć miejsca bez zgody czynników nadrzędnych, bo dyrektorowi grozi utrata stanowiska. Oto przykład:

Jeden z dyrektorów przedsiębiorstwa przemysłowego, znany ze swej nader pożytecznej działalności, postawił kulejące przedsiębiorstwo na nogi. Zbudował kilka obiektów, a uznaniu i pochwałom władz nadrzędnych nie było końca, dopóki nie przyjechała kontrola. Znalaziono wszy-

stko w najlepszym porządku z wyjątkiem niektórych „szufladek“. Dyrektor w najlepszej intencji podniesienia produkcji i jej jakości, przekroczył niektóre fundusze chociaż zaoszczędził na innych. Kontrolerzy wypili z nim dobrą kawę i wyrazili mu uznanie, a w protokole postawili wniosek o zwolnienie go ze stanowiska. Tak też się stało!

Drugi przykład, tym razem w jednym z portów. Skończono załadunek statku, załoga na pokładzie, a maszyny na ruchu. Jednak statek nie może opuścić portu, bo nie zjawił się pilot. Telefony na wszystkie strony, aż wreszcie jest telefon od armatora, że pilot nie przyjedzie, bo jego przedsiębiorstwo wyczerpało kredyt dla kierowcy samochodu, który miał pilota zawieźć do portu. Statek wobec tego opuścił port dopiero po 24 godzinach. Wydatek dla kierowcy, na który nie było już kredytu wynosił 100 złotych; strata z powodu opóźnienia wyjazdu statku — 10 tysięcy złotych.

Ale nawet gdyby pilot był dojechał, statek byłby musiał nabrać olej napędowy ze zbiornika, położonego o dwie mile, po drugiej stronie nadbrzeża. Także i tam, z powodu ograniczenia funduszu płac, stacji nie wolno pracować na dwie zmiany i zamyka się ją już o 3-ciej popołudniu. Statki które nie mogą wyruszyć przed 3-cią, muszą czekać do 7-mej rano następnego dnia.

* * *

Czy nowy model usunie te konieczne nonsensy centralnego planowania, praktykowanego od 20 lat? Czy będzie mógł zmienić mentalność kierowników przedsiębiorstw przemysłowych i przemysłów pochodnych? Okres dwudziestu lat wytworzył typ administratorów zupełnie obojętnych na wyniki finansowe w skali państwowej, a zainteresowanych tylko by ich „szufladki“ były w porządku. Dlatego podejście do nowego modelu „z ostrożnym entuzjazmem“, jest po wielu latach ujemnych doświadczeń, najtrafniejszym określeniem reformy. Tylko czas pokaże w jakim stopniu teoretyczne założenia nowego modelu t.j. „motywu zysku“ pogodzić się dadzą z zasadami dogmatycznego, centralnego planowania.

W. Opolski

POLSKI OŚRODEK SPOŁECZNO- KULTURALNY

Dnia 14 grudnia 1965 r. odbyło się zebranie Rady P.O.S.K. Przedmiotem obrad Rady były trzy zasadnicze zagadnienia:

— Przyjęcie do zatwierdzającej wiadomości uchwały Walnego Zebrania Stow. Techn. Polskich w W. Brytanii z 21.XI.1965 o przekazaniu na rzecz P.O.S.K. domów S.T.P. przy 146, Holland Road, W. 14 i 14, St. Georges Drive, S.W.1.

— Przyjęcie do wiadomości wytycznych przejęcia majątku P.U.C.A. Ltd.

W wyniku dyskusji nad poruszonymi sprawami Rada wyraziła podziękowanie S.T.P. w W. Brytanii za wybitnie społeczne ustosunkowanie się do zagadnień P.O.S.K. i przekazanie swego majątku na cele ogólnopolskie emigracji. S.T.P. jest następną z kolei po Stowarzyszeniu Polskich Sape-rów na Obczyźnie organizacją, która tego dokonała. Przekazanie majątku w niczym nie przeszkadza dalszej działalności Stow. Techn. Polskich. Zgodnie bowiem z postanowieniami statutowymi P.O.S.K. część tej działalności w razie potrzeby będzie finansowana przez P.O.S.K. Na podobnych zasadach przewidziane jest przejęcie przez P.O.S.K. majątku P.U.C.A. Ltd.

Według opinii Rady obecna sytuacja Biblioteki Polskiej wymaga szybkiej i dalekowzrocznej decyzji, zwłaszcza jeśli chodzi o jej los po 1-szym kwietnia 1967 r. Do tego czasu rząd J.K.M. zapewnił pomoc finansową w wysokości £ 7.000. — rocznie, tj. zredukowaną o 30 % w stosunku do lat poprzednich.

W sprawach bieżących omówiono zagadnienia związane z przygotowaniem siedziby dla Polskiego Ośrodka Młodzieżowego w domu przy 7, Cromwell Road, S.W.7. Prace budowlane konieczne do przystosowania tego pomieszczenia dla potrzeb P.O.M. rozpoczęto w poniedziałek 13 grudnia br. i potrwać około 12-cie tygodni.

Dla informacji zainteresowanych podaje się, że liczba członków P.O.S.K. na dzień 14.XII.1965 wynosi 131 osób indywidualnych i 59 organizacji. Wpłacone wkłady wynoszą: £ 2009.15.0. — od organizacji i £ 1660.7.2. od osób indywidualnych. Całkowite wpływy P.O.S.K. do dnia 11.XII.1965 wynoszą £ 10.064.4.6., — rozchody £ 6.680.14.6. — w tym ponad £ 4.600.0.0. — stanowi wykup dzierżawy domu przy 7, Cromwell Road, S.W.7.

W kwocie wpływów £ 10.064.4.6. — mieści się pożyczka S.P.K. £ 4.100.0.0. — na rzecz Polskiego Klubu Młodzieżowego.

EPILOG SPRAWY PIENKOWSKIEGO

Tadeusz Norwid



Sowiecka partia i armia jeszcze się nie pozbyła po wstrząsie, jaki spowodowała w r. 1963 afera szpiegowska Olega Pieńkowskiego. Nie wystarczyło rozstrzelanie go, wykopsanie marsz. Warencowa i osławionego gen. Sierowa z ich stanowisk, nie wystarczył szereg zarządzeń zaostrzających przepisy kontroli cudzoziemców w Sowietach, wielka czystka wśród sowieckich attachés wojskowych na placówkach dyplomatycznych, przeprowadzona w r. 1963-4.

Sprawa Pieńkowskiego miała interesujący wpływ na przeprowadzoną niedawno reformę struktury rządu — i na pewno będzie jeszcze długo straszyc w KGB (Komitet Gosudar Stariennoj Bezopustnosti) i w GRU (Głównie Razwiedocznoje Uprawlenie — tj. Centrala Wywiadu Wojskowego w Sowietach).

Na marginesie świeżo wydanych w USA pamiętników Pieńkowskiego należy stwierdzić, że dziś nie ulega żadnej wątpliwości, iż Oleg Pieńkowski grał jedną z czołowych ról w rozwikłaniu grożącego wojną atomową kryzysu kubańskiego w r. 1962 — a także kryzysu berlińskiego latem 1961 r., na skutek którego Ulbricht zaczął budować swój murek, zamiast przejścia kontroli nad Zachodnim Berlinem. Z prawdopodobieństwem bliskim pewności (bo na pewno KGB via nowowydane w Sowietach pamiętniki ex-szpiega na zachodzie Gordon Lonsdala — ani CIE via nowowydana książka „The Pienkowski Papers“ — nie odsłaniają całej prawdy, co do fantastycznego pojedynku między wywiadami USA i Sowietów) można powiedzieć, że Pieńkowski dostarczał Amerykanom wiadomości o zbrojeniach i stanie gotowości Sowietów w dziedzinie broni raketowej i nuklearnej, co umożliwiło prez. Kennedy'emu nieustępliwą postawę na Kubie 1962 wobec szantażu Chruszczowa, operującego bluffem w formie mitu o przewadze nuklearnej Sowietów nad USA.

Było to zdarzenie naprawdę historyczne — bo zmusiło Sowiety od roku 1962 do porzucenia nadziei wygrania wyścigu zbrojeń z USA, do uświadomienia sobie, że są i będą coraz słabszym partnerem w ramach „równowagi terronu“, ze względu na ogrom i dynamikę wzrostu potęgi ekonomicznej i przemysłowej Ameryki w porównaniu z możliwościami Sowietów. Od tej pory datuje się polityka Moskwy szukająca zbliżenia, nie tylko koegzystencji z USA. Konsekwencją jej było podpisanie umowy o zaprzestaniu eksperymentów atomowych, w sierpniu 1963 r., z inicjatywy Sowietów, obecne dążenie Rosji do umowy z USA zapobiegającej zapobieżeniu rozprzestrzeniania broni atomowej — no i w znacznym stopniu również dzisiejsza postawa Sowietów wobec sytuacji w Wietnamie — mimo, że jeszcze 2 lata temu Chruszczow i marsz. Malinowski powtarzali po wiele razy, że „napaść na państwo obozu socjalistycznego będziemy traktować, jak napaść na Sowiety“.

Po kryzysie kubańskim zaczęła się w partii sowieckiej zainicjowana przez technokratów wielka próba przewartościowania rozmaitych tabu dotychczasowej polityki wewnętrznej i gospodarczej w Sowietach. Powstał problem, czy warto dalej poświęcać 30-40 % dochodów budżetowych państwa na zbrojenia, które nie mogą doprowadzić do wojskowego zwycięstwa Sowietów i komunizmu. Czy nie lepiej użytkować te olbrzymie sumy na umocnienie władzy partii w kraju poprzez poprawę bytu ludności i na intensywniejsze prowadzenie dzieła rewolucji światowej przy pomocy dywersji i infiltracji, mieszczącej się w ramach polityki koegzystencji, według interpretacji sowieckiej? Lata 1964 i 1965 to okres wielkich walk o świętość i nienaruszalność budżetu wojskowego Sowietów. Technokrati rozumieją, że postęp gospodarczy na większą skalę nie jest moż-

liwy, bez znacznej redukcji rozdętych do ostatnich granic wydatków wojskowych. Marszałkowie stoją na stanowisku przeciwnym i twierdzą, że od zachowania, a nawet zwiększenia tych wydatków zależy prestiż i pozycja Sowietów w ramach „równowagi terronu“, że równowaga tym prędzej się zachwieje na niekorzyść Sowietów, im mniejsze będą wydatki na zbrojenia. Na wierzchołku partii zdania do dziś są podzielone. W CK część popiera punkt widzenia armii, a część technokratów. Walka o budżet wojskowy trwa do dziś i może będzie dopiero rozstrzygnięta (na papierze) na XXIII kongresie partii w marcu 1966 roku.

Rzeczywistość tak wygląda, że około 70 miliardów rubli jest potrzebne na inwestycje w rolnictwie — i muszą się znaleźć pod groźbą klęski głodowej za kilka lat, wraz z jej skutkami politycznymi. Są tylko 2 sposoby znalezienia tych absolutnie niezbędnych pieniędzy — albo przez znaczne obcięcie budżetu wojskowego, albo też w postaci olbrzymiej pożyczki z USA, oczywiście na amerykańskich warunkach politycznych.

TECHNOKRACI PRZECIW „BONAPARTYSTOM“

Wygląda na to, że uchwały ostatniego plenum CK i Najwyższego Sowietu miały miejsce pod znakiem przewagi zwolenników obrony redukcji zbrojeń do ostatnich możliwości. Oczywiście wskazuje na to zwiększenie wpływów czynnika wojskowego w partii, domagającego się restytucji Gosplanu, jako najwyższego czynnika kierowniczego w gospodarstwie sowieckim, sprowadzenia do minimum eksperymentów w przemyśle co do liberalizacji przepisów dla zarządów zakładów przemysłowych — no i ponownej centralizacji i dyspozycji rządowej wszystkimi środkami gospodarczymi państwa. Z punktu widzenia wojskowego w Sowietach, taka centralizacja planowania i procesu całej produkcji kraju — daje dostateczną podstawę do planowania i przeprowadzenia zbrojeń w perspektywie kilku lat naprzód.

Marszałkowie sowieccy wykorzystali swoją obecną, zapewne nietrwałą przewagę w CK, aby wyrzucić swój wpływ na reorganizację rządu, postanowioną ustawą z 2-go października 1965 roku. I tu powracamy do sprawy Pieńkowskiego.

W wojsku nie zapomniano, że w Berlinie 1961 i na Kubie 1962 Sowiety przegrały dzięki zdradzie Pieńkowskiego i zastanawiano się, jak na przyszłość zapobiec takim zdradom. Pieńkowski był wiceprzewodniczącym Komitetu Państwowego przy Radzie Ministrów dla koordynacji badań naukowo-

technicznych — pod tą nazwą ukrywał się organ rządu — kontrolujący zbrojenia rakietowe i nuklearne, badania atomowe i tę część programu kosmicznego, która była związana ze zbrojeniami.

Obowiązkiem Komitetu było informowanie rządu o postępie badań i produkcji na odcinku broni nowoczesnych oraz gotowości do ich użycia. Prezesem tego komitetu był Konstantin Nikołajewicz Rudniew, po D. F. Ustinowie, największa szyszka wśród sowieckich specjalistów przemysłu zbrojeniowego i techniki obronnej. Zajmował on jednocześnie stanowisko wicepremiera ZSSR. Pieńkowski był jego zastępcą więc jako taki miał dostęp do wszelkich najbardziej tajnych informacji wojskowych, technicznych i naukowych. Pozyskanie sobie przez CIE, przy wydatnej pomocy Intelligence Service, agenta tej klasy było nielada sukcesem, większym od jakiegokolwiek sukcesu KGB, nawet jeśli chodzi o zdobycie sekretów bomby atomowej w latach 1945-1952.

Pieńkowski był pochodzenia polskiego, jego ojciec zruszczony Polak, zginął w 1919 roku, jako oficer rosyjski, walczący po stronie białogwardystów. Nie przeszkodziło mu to jednak w przejściu przez wszystkie oczka selekcji NKWD i KGB, która w wypadku dopuszczania ludzi na tak odpowiedzialne stanowiska musiała być niesłychanie drobiazgową i surową. Pomógł mu w tym niewątpliwie jego protektor, darzący go synowską miłością — marsz. Warencow (który został natychmiast po aresztowaniu Pieńkowskiego wydany z wojska i pozbawiony wszelkich funkcji) — a na odcinku wywiadu wojskowego jego ówczesny szef, gen. Sierow (zniknął dopiero w 1965 na skutek śledztwa w sprawie Pieńkowskiego).

Próba przedstawienia Pieńkowskiego przez prasę sowiecką w r. 1963, jako bohatera restauracyjnego, dziwkarskiego, pijaczyny i degenerata, który sprzedawał nieważne dokumenty amerykańskim łapsom, żeby mieć na wódkę i rozpuścić — jest naiwna.

Pieńkowski musiał być nie tylko wysoko wykształconym, kulturalnym i inteligentnym osobnikiem, ale również musiał posiadać nieprzeciętne cechy charakteru, jak opanowanie, łatwość kontaktów i wzbudzania zaufania. Inaczej nigdyby się nie znalazł na tym stanowisku — i nigdy CIE nie uwierzyłoby w jego informacje i intencje.

Niewiadomo co powodowało Pieńkowskim — czy głęboki uraz do bolszewików z powodu zabicia jego ojca, czy nienawiść do komunizmu — czy też wszystko razem podszyte jakąś częstką Wallenrodzizmu, który podobno miał też odgrywać pewną rolę u kata

czerezwyczajki Feliksa Dzierżyńskiego. Wersja o jego idealizmie i ambicji odegrania wielkiej roli w zapobieżeniu wojnie atomowej wydaje się nie całkiem kompletna. — Jedną rzeczą jest pewna — Pieńkowski nie został szpiegiem dla pieniędzy. W Sowietach osoby w jego randze, należące do najbardziej uprzywilejowanej elity, mogą mieć tyle wódki i dziewczynek ile zechcą i to bez amerykańskich dolarów.

K.G.B. W ATAKU NA NAUKOWCÓW

Śledztwo w sprawie Pieńkowskiego rozwijało się intensywnie, również po jego skazaniu i rozstrzelaniu. I w KGB i w GUR, jak i w komitecie Rudniewa nie było biura, które nie byłoby zrewidowane i funkcjonariusza, któryby nie był przesłuchany. Kilkaset aresztowań i tysiące przesłuchań miało miejsce — niewiadomo ilu znaleziono kosztów ofiarnych i ilu agentów sowieckich przypłaciło życiem, więzieniem lub utratą stanowiska najmniejszy kontakt z Pieńkowskim.

Przeszło roczne śledztwo specjalnie chciało się dobrze do Rudniewa, jako bezpośredniego Szefa Pieńkowskiego i do całego Komitetu dla koordynacji i badań naukowych i technicznych. Ale widocznie długi czas ręce KGB były na to za krótkie. W skład tego Komitetu wchodziło wielu naukowców, profesorów, inżynierów, dyrektorów wielkich zakładów zbrojeniowych itd. Wicepremier Rudniew był poza tym prawą ręką Dyktatora Zbrojeń i jednocześnie prezesa Najwyższego Sowietu Ekonomicznego D. F. Ustinowa, który to Sowiet miał dyktatorskie kompetencje, powstał zaś na miesiąc przed procesem Pieńkowskiego, w marcu 1963 r. Rudniewa na pewno też bronił Chruszczow, który chętnie się nim posługiwał, jako jednym z wicepremierów.

Upadek Chruszczowa zapewne przyczynił się do tego, że KGB na skutek coraz większego nacisku armii i GRU wreszcie dobrało się do wysokich członków Komitetu i samego wicepremiera Rudniewa.

W „Prawdzie“ z dnia 3.10. opublikowano ukaz o reorganizacji rządu, w którym m.in. jest mowa o gruntownej reorganizacji Komitetu Państwowego przy Radzie Ministrów dla koordynacji badań naukowo-technicznych. Komitet jako organ centralnego rządu sowieckiego został rozwiązany i na jego miejsce powstał t.zw. Komitet Związkowy dla nauki i techniki, tj. posiadający odpowiedzialność przy wszystkich radach ministrów republik związkowych. Reorganizacja Komitetu ma nastąpić w warunkach ścisłej współpracy z Akademią Nauk. Jest jasne, że tego rodzaju zmiana nazwy i struktury Komitetu, decentralizacja jego funkcji i rozpro-

szenie jego działalności na 15 republik związkowych — oznacza po prostu likwidację dawnego Komitetu Rudniewa, którego zastępcą był Pieńkowski — a stworzenie nowego organu pod tą samą nazwą dla zakamuflowania tej zmiany. Właściwie funkcje tego komitetu — tj. informowanie rządu o postępie badań nad bronią nowoczesnymi i stopniu gotowości ich użycia — zostały przeniesione na jakiś inny organ rządu centralnego — który — na razie nie wiadomo. Prawdopodobnie armia przejęła te funkcje z kontrolą nad nimi i odpowiedzialność. Natomiast jasnym jest, że komitet ten, w nowej formie, nadanej mu przez ukaz z 3. 10. nie może spełniać tych samych, dotychczas spełniał pod przewodnictwem Rudniewa.

KANAŁ NAUKOWYCH KONTAKTÓW Z AMERYKĄ

Wiele mówi za tym, że komitet ten był organem, który odpowiadał za kontakty naukowe, techniczne, a zapewne także polityczne między sowieckimi i amerykańskimi uczonymi i menadżerami zaangażowanymi w obudwu krajach w produkcji atomowej.

Umowa o zaprzestaniu eksperymentów atomowych z 5. 8. 1963 r. musiała z natury rzeczy być poprzedzona przez tego rodzaju, nieoficjalne i dobrze ukryte kontakty bilateralne. Wiele przemawia za tym, że tego rodzaju kontakty są nadal kontynuowane, choć obie strony i USA i Sowiety nigdy do tego się nie przyznają. Działalność Pieńkowskiego, jego podróże i spotkania przed zdemaskowaniem jako szpiega była w ogóle możliwa tylko w ramach i pod pretekstem tego rodzaju bilateralnych kontaktów.

Armia i wywiad sowiecki po procesie Pieńkowskiego i w czasie dalszego śledztwa były przeciwne tego typu kontaktom z USA Komitetu Rudniewa — i niewątpliwie Komitet Rudniewa został rozwiązany i jego funkcje zmienione na żądanie grupy wojskowej w CK na ostatnim plenum. Armia w miarę postępów śledztwa w sprawie Pieńkowskiego coraz bardziej krzywym okiem patrzyła na ten Komitet — jako instrument niedostatecznie kontrolowanych kontaktów między uczonymi sowieckimi i amerykańskimi w dziedzinie badań i zbrojeń atomowych. Pieńkowski był właśnie tym, który miał te kontakty kontrolować — i to umożliwiło jego zdradę. Cała struktura i dyscyplina tego komitetu była zdaniem wojskowych wadliwa i niebezpieczna i sprzyjała działalności szpiegowskiej CIE. Charakterystycznym jest, że ani w wydanej w Sowietach, przy oczywistej współpracy KGB książce Lonsdala — ani w „The Pinkowsky Papers“ — tej stronie zagadnienia się nie dotyka.

BILETY KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.
Szybko, sprawnie, tanio
z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street

Tel. MID 1526

Wiadomo — kontakty uczonych atomowych, tak samo, jak „gorący drut Waszyngton-Moskwa“ muszą istnieć dalej — to podstawa i wojskowa strona koegzystencji, ale formy jej mogą ulegać zmianie ze strony sowieckiej, zmianie, zmniejszającej ryzyko szpiegostwa amerykańskiego. — To właśnie się stało — i takie ma znaczenie likwidacja i „reorganizacja“ Komitetu Rudniewa.

Co do samego Rudniewa — to z prasy wynika, że w końcu poniósł los człowieka ofiarnego. Prezesem nowego Komitetu — już o charakterze związkowym — został na jego miejsce W. A. Kivillin, 52-letni, z zawodu fizyk atomowy, członek-korespondent Akademii Nauk i b. wiceminister Szkół Wyższych i członek-kandydat CK. — Rudniew zniknął z łamów prasy i przestał być wymieniany jako wicepremier. Wszystko przemawia za tym, że na skutek afery Pieńkowskiego poniósł śmierć polityczną w 2 i pół roku po śmierci fizycznej Pieńkowskiego. T. Norwid

KUŹMA WOŁK

ZAJAZD

B.D.I.C

POETYCKICH
NIEWOLNIKÓW

NA

PARYŻ

widzonym, podświadomie, symbolu. Stąd tytuł był Napoleonów po różnych „czubkach“ w ubiegłym wieku.

* * *

Przeczytałem raz jeszcze powyższe wprowadzenie. Przydługie i trochę mętne. Ale jak inaczej zacząć sprawozdanie z przyjęcia dla 9-ciu poetów sowieckich, jakie właśnie odbyło się w Paryżu? Jak oddać nie dające się zdefiniować dokładnie skłębienie odrazy, liłości wobec nieszczęśliwych ludzi i absolutnego potępienia diabelskich sadzonek z Kremla, aż tak pomiatających godnością ludzką utalentowanych pisarzy, starających przebić się przez stalowy mur prowokacji perfidnego nadzoru?

Okoliczność była prozaiczna. „Francuziki iz Bardo“, w danym wypadku, wydawnictwo Ségheers, wypuściły opasły tom poezji sowieckiej pod redakcją komunistycznej rosyjskiej prukwy Elzy Triolet, żony francuskiego arcyoputeznika Aragona. Ze względu na polityczne wiatry wiejące dziś w okolicach Pól Elizejskich, paryskich, a nie zaświatowych, zrobiono z tego w połowie listopada „Koncert poezji“ w sali „Mutualité“ czyli tzw. ewenement. Przybył na przyjęcie komintern, komdisinform i homintern; świecił blaskami skwaśniałych kalamburów i pięknych kobiet „tout Paris“. Malraux wprawdzie nie było, ale był jego No. 2, wiceminister Picaut, czy coś w tym rodzaju. sowiecki kontyngent z UNESCO był w komplecie. Reżymowcy satelicy także.

Przybyło 9 poetów z Moskwy. Przedwodniczką ekipy miała być Anna Achmatowa, wielka i autentyczna poetka rosyjska. Na dwie godziny przed startem ze „stolicy Kraju Rad“, jak pompatycznie pisują w Polsce reżymowe oczajdusze, pani Achmatowa dostała zawalu serca i została przewieziona do kliniki. Ma lat 76, więc może była to prawda. Pojechało do Paryża 9, pod kierownictwem Surkowa, kiepskiego poeiszki, ale starego i wytrawnego

Przycichł nieco rozgłos dokoła zapisków Pieńkowskiego, pułkownika wywiadu sowieckiego, którego rozstrzelano przed dwoma laty w Moskwie. Bo bez względu na stopień ich autentyczności dają one prawdziwy obraz odpychającego, złowieszczonego, nieszczęsnego i komicznego jednocześnie świata. Gdyby Sowietów nie było zapiski Pieńkowskiego nie mogłyby powstać. Podobnie, jak Custine nie mógłby napisać swojego diariusza podróży po „cesarstwie martwych dusz“ w tej formie w jakiej je napisał, gdyby nie panował tam cesarz Wszechrosji i „król Polski Mikołaj I-szy“. Nawiasem mówiąc jakąż szkoda, że jego postać nie przyciąga uwagi biografów. Waliszewski jest już dziś przestarzały, Kucharzewski nie jest bezstronny, a zachodni historycy Rosji o tym dziwnym, przewrotnym i nie całkiem normalnym Romanowie w ogóle nie mają pojęcia. A przecież to on właśnie był grabarzem cesarstwa rosyjskiego i pratywórcą Związku sowieckiego, czarnym archaniołem „dwujewierstwa“.

* * *

Zarówno teologowie, jak kroniki polityczne zgodnie podkreślają iż diabeł, osobistość jak najbardziej czynna i żywa w świecie, z natury rzeczy, nie jest zdolny dotrzymać słowa. I stąd znęca się przede wszystkim nad swoimi omamionymi zwolennikami czy bezwonnymi ofiarami. Podobnie ma się sprawa z bandą „następców Lenina“ panoszących się dziś w Rosji. Oczywiście: państwa satelickie są tyranizowane, a nierosyjskie „republiki radzieckie“, jak Ukraina, Litwa czy Gruzja cierpią strasznie. Ale są to cierpienia zadawane przez wroga zewnętrznego i przez to łatwiejsze do zniesienia, Prawdziwa „śmierdiakowszczyzna“, prawdziwe znęcanie się nad bezbronnym człowiekiem, pozbawionym nadziei, prawdziwe zaignanie aż do najbardziej istotnego zatarcia kategorii pojęciowych istnieje dopiero w Rosji właściwej. Nie bez powodu doniosła mediolańska „Corriere della Sera“ że w Sowietach pacjenci w domach wariatów, (tych prawdziwych, nie politycznych), najchętniej mówią o sobie „Gagarin“. Nie ma dziedzin życia gdzieby nie przenikał jad; nie ma działalności stojącej, zdawałoby się, na bezstronnym, niepolitycznym uboczu, nie wprzagniętej w system zorganizowanego i obłąkanego bandytyzmu. Urojenia schizofreników koncentrują się na najbardziej zniena-

czekisty. Poza tym przybyli Siergiej Kirsanow, lat 60 z Odessy, ongiś przyjaciel Majakowskiego, prawdziwego poeci, Leonid Martynow, Sybirak, Aleksander Twardowski, redaktor czasopiśmie „Nowyj Mir“, lauret nagrody „Lenina“ za rok 1961, piszący na modłę Puszkina, co czasami brzmi, jak epigonizm, a czasami jak „pastiche“.

Młode pokolenie reprezentowali Borys Słuckij, Robert Roźdżestwienski. ten dostąpił kiedyś zaszczytu, iż Chruszczow atakował go osobiście i dziwnie po chamsku, nawet jak na niego, za „degenerację“, Wiktor Sosnow, z zawodu mechanik fabryczny, Andrzej Wozniesiński, poeta hermetyczny i ulubiony pisarz młodego pokolenia w Rosji i wreszcie Bella Achmatulina młoda i bardzo przystojna kobieta, z pochodzenia Tatarka i pierwsza żona Jewtuszenki, którego „naczelstwo“ do Paryża nie puściło.

* * *

Przekłady francuskiej poezji czytali Jean Louis Barrault, wielki aktor i jeszcze większy cymbał polityczny, Samy Frey, jeden z kolejnych mężów Brigitte Bardot, poszukujący niszy „poważnej“ w paryskim światku teatralnym oraz niejaki Daniel Invernel. Przekłady wierszy Achmatowej odczytała mało znana aktorka Judith Maigre. Rosjanie czytali własne utwory. Czytali je dobrze, ale z prowincjonalną emfazą i z zamaszystymi gestami. Surkow wyglądał się. Robił chłopka-roztopka, po chrusczewowsku wymachiwał łapami, był pełen fałszywej „bonhomie“, przypominał nieocenionego Strumpha-Wojtkiewicza, w roli zawodowego przyjaciela ludu. Sowietciarze z UNESCO, na codzień siadający u Lipa na Bulwarze St. Germain przyglądali mu się z obrzydzeniem, a jeden skomentował całkiem głośno „Ten Surkow. Wykształcony człowiek — inteligent, a robi z siebie muzycznego pajaca“. „Le tout Paris“ oklaskiwał „młodych“ i z sympatią odnosił się do starszego pokolenia.

* * *

Tu mała glossa: w Sowietach religia jako siła społeczna nie istnieje w chwili obecnej, cokolwiekby nie mówili na ten temat żartownisie w rodzaju ex-burmistrza Florencji La Pira. Kościół zeszedł do podziemi jest zdemoralizowany, prześladowany i ośmieszany. Istnieje — heroicznie — jako świadectwo prawdy i jako odkupienie grzechów za nas wszystkich. Ale w życiu narodu rosyjskiego w chwili obecnej zupełnie się nie liczy. Funkcje i znaczenie wujących kardynałów państw satelickich spadły na ramiona poetów. Oni są tymi, którzy, wbrew prądowi i w atmosferze całkowitego agnostycyzmu, usiłują dokopać się duszy i prawdziwych, nie podszeptanych przez KGB

ideałów wśród odczłowieczonych automatów stanowiących przeważającą masę „sowieckich ludzi“.

Cena, jaką placą jest potworna. W konwencjonalnej paryskiej sali, do konwencjonalnego zamożnego paryskiego motłochu w smokach, drogich futrach i o jaszczurczych oczach przemawiali z estrady ludzie żyjący w koszmarnie i wożący ten koszmarny ze sobą. Byli obstawieni przez opiekunów. Nerwy ich i tych starszych i tych młodszych, były stargane do ostateczności. Nie trzeba było aż psychologów, żeby dostrzec, iż wszyscy tego pili, iż nie raz, nie dwa i nie sto prowadzili długie, nocne rodaków rozmowy ze szpicłami i katami o kamiennych mordach, że pisywali setki „życiorysów“, swoich i obcych, że nie wiedzieli i nie wiedzą, kto jest prowokator, a kto swój. Achmatulina, zresztą doskonała poetka, robiła wrażenie kobiety w transie.

O Sutkowie wszyscy wiedzą, iż jest kanalią. Ale reszta, wbrew wszystkim i wbrew wszystkiemu, nosiła „panache“ obrońców sprawy, na ludzki rozum beznadziejnej. Porównując ich z zachodnimi „buntownikami“ literackimi i śmiać się chciało i płakać. Gdyby fałszywej w rodzaju Tynana czy Osborna czy komplet niedomytych włochaczy czterech kontynentów przeszli przez magiel KGB, możnaby było mówić o porównaniach. Ale tylko wówczas.

* * *

„Le tout Paris“, był umiarkowanie entuzjastyczny. Kilka dalszych, zaktualizowanych parafraz z Goncourt'ów, czujne oczki literackiego sektora kompartii: „Vous savez, cher ami, ils sont plutot formidables“.

* * *

Właściwie mogliby Rosjanie zamiast czytać im wiersze, splunąć z pogardą na Francuzików z „le tout Paris“, z „l'Humanité“, a przede wszystkim na tych z „Figaro“.

Kuźma Wołk

Wzmocnijcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

F R A N C J A

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

CZESŁAW JEŚMAN

DIARIUSZ

Część pierwsza „Diariusza“ ukazała się w numerze z października 1965 r.

* * *

Październik-Listopad 1915 — 9-ta Armia i Korpus Gwardyjski. — Pierwsza ofensywa Hindenburga na Warszawę.

(Str. 139) Rząd rosyjski konsekwentnie zakładał swoje veto ze względów strategicznych, przeciw budowie kolei w Gubernii Lubelskiej. Założenia tej polityki polegały na utworzeniu „Polskiego Bastionu“: Grodno-Osowiec-Lomża-Ostrołęka-Nowo-Georgjewsk-(sic) -Iwgorod (sic) -Lublin-Chełm. Linie komunikacyjne miały być maksymalnie rozbudowane wewnątrz bastionu, z pozostawieniem obszarów leżących na zewnątrz tej linii jako przedpoja pozabawionego zupełnie dróg bez względu na jakiegokolwiek potrzeby czasu pokoju.

(Str. 145) Kraśnik (14. 10. 1914) — Krażą pogłoski, iż złapano Żyda przenoszącego niemieckiego oficera w worku przez most w Iwanogrodzie (sic). Obu powieszono. Jeżeli historia ta jest prawdziwa Żyd musiał mieć więcej wigoru, aniżeli większość jego pobratymców, a oficera musiano specjalnie dobierać pod względem mikroskopijnego wzrostu.

(Str. 157) Odszukaliśmy sztab XXV-go Korpusu w pałacu Księcia Czartoryskiego w Nowej Aleksandrii (sic). Został on skonfiskowany po buncie (rebellion!) 1863-go roku i obecnie służy jako pomieszczenie Szkoły Rolniczej. Olbrzymi budynek mieszkalny zbudowany wedle planów Fontainebleau z wielomilową aleją dojazdową.

(Str. 165) Ilja — 30 października 1914 — „Ilja“ jest bardzo pięknie położona. Są tu ruiny starego zamku pochodzącego, podobno, z r. 1004. Zatrzymaliśmy się u proboszcza. Ksiądz w Ilji był uszczęśliwiony na nasz widok. — Jaka szkoda, że nie przybyliśmy tutaj wcześniej. Niemcy i Austriacy byli tutaj miesiąc bez jednego dnia, i obrabowali wszystkich. Tuż przed naszym przybyciem kazali przygotować jedzenie. (Ksiądz) gościł u siebie generała i dwóch innych oficerów. Na wyjeździe generał powiedział: „co się należy za posiłki? W każdym razie oto 20 marek“. Płacili za bydło itd. kwitami, chociaż zdawali sobie doskonale sprawę, iż nie miały one najmniejszej wartości. Ustalili parytet wymienny 1.40 Rubla za 1-ną Markę. (Przedwojenny parytet 1 Marka = 0.50 R. - bla).

GENERALA KNOXA

(Str. 167) Warszawa 31-go października, sobota. — Jeżeli zdolamy wbić klin w Południowy Śląsk, gdzie część ludności polskiej gotowa jest przywitać nas przyjaźnie, armia austriacka będzie musiała zdecydować się, czy bronić Berlina czy Wiednia. Jakie stanowisko zajmą Czesi? Panna D. opowiadała mi, iż Polaków traktowano w niesłychanie oburzający sposób. Oficerowie niemieccy, których goszczono przez dłuższy czas, kradli poduszki, pościel. Inni folgowali złośliwemu wandalizmowi, cięli obrazy i łamali meble. Pewien ziemianin spod Grodziska, gościł oficerów niemieckich przez cały tydzień. Kiedy odstępował, jeden z nich pozostał z tyłu i został przytrzymany w chwili podpalania stogów swojego gospodarza. Kiedy został dostawiony dziedzicowi, ten postawił go pod ścianą i plunął mu w twarz, poczem oddał go w ręce parobków, żeby postąpili z nim wedle własnego uznania.

Pani C. twierdzi, iż Książę Eitel Friederich zatrzymał się w „Hotel de Rome“ w Radomiu, podczas ostatnich operacji. Mąż jej szwagierki pozostawił ją samą w domu pod Radomiem, gdzie stanęli niemieccy oficerowie na pięć kolejnych noclegów. Usiłowali przespać się z nią (they tried to „make love to her“) tak iż o mało nie zwariowała. Dowódca wojsk austriackich stanął kwaterą u innego jej szwagra koło Zamościa, kiedy nieprzyjacieli odstępował zabrali go z sobą ponieważ, jak twierdzili, „widział i wiedział zbyt dużo“.

(Str. 170) Pińczów, 7.11. — Właścicielem mieszkania jest doktor-Polak. Pozostał w mieście przez cały czas niemieckiej okupacji. Wyższy oficer niemiecki był zakwaterowany u niego, ale zachowanie się jego było bez zarzutu i nastawał na uiszczenie opłaty za korzystanie z mieszkania.

(Str. 170) Sztab Korpusu Gwardii rozlokowany jest w domu, który „Marquis of Vilapolski“ (sic) ofiarował na szkołę... Generał powiedział mi, iż powiesił trzech Żydów za zaatakowanie Kozaka. Wobec tego miejscowi Żydzi są bardzo grzeczni!

(Str. 170) Stsiborjitse (sic) 17.11. 1914. Mamy spędzić noc w olbrzymim domiszczu (a huge block of a house) należącym do austriackiego Polaka, który opuścił je w lipcu. Kozacy spłodrowali jeden z pokoi. Zawędrowałem do pięknej biblioteki i wyciągnąłem tom Byrona, ale okazał się, iż w niemieckim tłumaczeniu.

5 Grudnia 1914 Warszawa. Wszystkie hotele są pełne i musiałem zatrzymać się w Europejskim, zamiast w Bristolu, po raz pierwszy... niemieckie samoloty rzucają codziennie bomby na Warszawę.

2-go Stycznia 1915, Warszawa. Spędziłem następnych kilka dni w Warszawie, która zawsze była i jest centralą wiadomości, a szczególnie Hotel Bristol, jako miejsce spotkania oficerów na urlopie z wszystkich armii całego frontu. Nawet, kiedy nieprzyjacieli stał u jej bram Warszawa była w dalszym ciągu rozkosznie lekkomyślnym miastem. Polacy widzieli, jak Niemcy zostali pobici i zmuszeni do odwrotu, kiedy byli znacznie bliżej i są obecnie niesłychanie pewni siebie.., Alkohol jest zakazany, ale Bristol w każdym razie przymyka oko na to zarządzenie, chociaż dla zachowania pozorów szampa podawano w czajniku i piło się z filiżanek... Warszawa, w gruncie rzeczy była takim magnesem, iż wydane zostały specjalne zarządzenia dla zapobieżenia, by oficerowie nie dekowali się tam z frontu. Władze wojskowe odwiedzały hotele bez uprzedniej zapowiedzi i znajdujący się w nich oficerowie musieli okazać swoje papiery urlopowe. Szeregowi zatrzymani na ulicach po 8-jej wieczorem byli zatrzymywani i odstawiani na cytadelę. W kawiarniach i restauracjach obowiązywał zakaz obsługiwanie szeregowych.

...mimo, iż podczas pierwszych osiemnastu miesięcy wojny sypiałem często w najbiedniejszych chatkach polskich chłopów, nigdy nie cierpiałem w nich od robowactwa. Później, kiedy zostaliśmy odepchnięci na tereny Rosji właściwej, obecność ich na noclegach była bardzo męcząca. Nasi polscy gospodarze byli nieodmiennie grzeczni i życzliwi, mimo, iż nasza obecność musiała im dawać się ciężko we znaki.

(Str. 231) XIX Korpus, rozlokowany w czasie pokojowym w Brześciu Litewskim, Chełmie i Kowlu, w kompaniach piechoty liczył po 163 żołnierza. W czasie mobilizacji stany czasu wojny zostały dopełnione Polakami spod Warszawy i Rosjanami (?) z Wołynia. Oficerowie rosyjscy zawsze twierdzili, iż Polacy są żołnierzami pośredniego gatunku, ale sądzę, że jest to tylko uprzedzenie z ich strony. Korpus, stacjonowany w czasie pokoju w Warszawskim Okręgu Wojskowym i ogólnej ocenie osiągnął lepsze wyniki, aniżeli korpusy Moskiewskiego Okręgu Wojskowego, które powołały wielu re-

zerwistów z ośrodków przemysłowych. Rezultat ten (w Warszawskim Okręgu Wojskowym) mimo powołania, z konieczności większego odsetka Żydów. W Kalen (sic) jak i gdzieindziej (w mp. sztabów tak XIX, jak i IV Korpusu) tradycyjne nieporozumienia pomiędzy rosyjskimi sztabami a ich polskimi gospodarzami ujawniły się natchmiast. Sądzę, iż obie strony działają sobie na nerwy, w większym stopniu, aniżeli jest to nieuniknione. Rozmawiałem długo pewnego wieczora z naszym Polskim gospodarzem. Skarżył się, iż Niemcy podczas ofensywy zabrali 40 jego koni z 60, które posiadał i zapłacili asygnatami opiewającymi na rząd rosyjski! Powiedział, iż nigdy w historii nie było tragedii zbliżonej do sytuacji Polaków, podczas obecnej wojny. Polscy poborowi są zmuszeni do walki po obu stronach, przeciw braciom, a ludność cywilna ponosi ciężar wszystkich cierpień wynikających z działań wojennych na terenie ich kraju. Kiedy odjeżdżałem po postojach gospodarz poszedł na piętro i przyniósł mi pakiet jabłek, jako podarunek od jego córeczki z którą zaprzyjaźniłem się. Żona jego wyglądała, jak chora osoba; powiedziała mi, iż wyszła na świeże powietrze tylko raz od chwili zakwaterowania sztabu u nich. Rzekniesz mi, że nieprzebranie najbardziej elementarnych nakazów higieny przez rosyjskich ordynansów i Kozaków utrudniało poruszanie się każdej pani z towarzystwa na obszarze zabudowań jej majątku.

Z drugiej strony Rosjanie twierdzili, iż polscy ziemianie robili doskonałe interesy w dostawach dla wojska i byli ciągle niezadowoleni. Mówili, iż nasz gospodarz otrzymywał 50 kopiejek za pud słomy, zamiast 25, co było ceną w czasie pokoju, i 75 kopiejek za siano zamiast normalnych 35. Inny ziemianin z Kalena (sic) wystawił rachunek w wysokości 175.00 rubli za zniszczenia w jego lasach, podczas, gdy bezstronna Komisja Orzekająca oceniła jego straty na 39 tysięcy rubli srebrnem.

Rosjan zawsze złości, że Polacy uważają ich za cudzoziemców. Nasza gospodyni powiedziała pewnego wieczora, iż po wojnie nie będzie nigdy jeździć do niemieckich miejscowości kuracyjnych — do wód — a wyłącznie do angielskich lub francuskich. Oficer rosyjski obecny przy tym zauważył potem, iż rozmówczyni wydawała się nieświadoma istnienia kurortów kaukaskich...

(Str. 248)...Kołno — Luty 1915. Ranni Izmailowskiego Pułku Gwardii Pieszej. Miejscowi Żydzi tłoczą się dookoła i gapią na nich z ciekawością, ale nie przyszło im do głowy, iż mogą ulżyć rannym i przynieść im chleba i herbaty, aż tego nie powiedziałem. R.

znalazł ochotników do pomocy w przenoszeniu rannych, ale miejscowy szpital rozporządza tylko dwoma noszami.

Stara Polka zachowywała się imponująco. Widziałem jak płakała zdejmując chustkę z głowy i owinęła nią rannego, który skarżył się na zimno. Inne kobiety zgłosiły się potem na ochotnika, a dziewczyny przyniosły papierosy i jabłka rannym w szpitalu. Wszyscy przyłożyli się do dzieła — Żydzi i chrześcijanie — z chwilą, kiedy pokazało się im w jaki sposób mogą pomóc. Kraj, w którym kobiety nie okazywałyby serca byłby rzeczywiście godny pożałowania!

(Str. 295) Sierpień 1915. Podczas pierwszej ofensywy na Galicję Rosjanie byli bardzo życzliwie przyjęci przez Polaków, teraz jednakże ludność jest zdecydowanie wroga (bitterly hostile); Rozdrażniły ją rozliczne błędy hrabiego Bobrińskiego, rosyjskiego gubernatora administracji cywilnej, a szczególnie usiłowania prawosławnego (?) arcybiskupa Lembergu (sic) nawracania ludności polskiej. Jeden z generałów rosyjskich powiedział, że działalność tego dostojnika kościelnego była odpowiednikiem dodatkowych czterech korpusów wojska dla Austriaków.

(Str. 295) — 16 lipca wyjechałem z Warszawy po raz ostatni. Ogół ludności, jak się zdaje, wiedział bardzo mało o tym, co się naprawdę działo.

(Str. 296). Samochodem z Siedlec do Chełma 17 lipca... cała droga z Włodawy do Chełma wypełniona kolumnami biednych uciekinierów, kobiet i mężczyzn, starych i dzieci, którzy zostali zmuszeni przez Rosjan do opuszczenia swoich domostw w obliczu ofensywy niemieckiej. Żniwa ukończono ze spóźnieniem, ponieważ przeważną część mężczyzn w wieku poborowym wywieziono na wschód.

(Str. 300). Polski zameczek w Rejowcu, mp. sztabu Korpusu Gwardii 18-31 lipca 1915.

(Str. 305). Wielu oficerów współczuło biednemu ziemianinowi u którego nas zakwaterowano. Chciał pozostać u siebie, ale pułkownik Lallin, dowódca kwatery sztabowej rozmówił się z nim brutalnie. Powiedział, iż jeżeli nie ruszy się z miejsca będzie to znaczyć, iż sprzyja nieprzyjacielowi. Chytry Polak, mimo to pozostał i w gruncie rzeczy był to jedyny sposób uratowania majątności. Prawie cała biedniejsza ludność wycofała się z wojskiem. Widzieliśmy najbardziej rozdzierające serce widoki: rodziny w komplecie i ich skromny dobytek załadowane na fury; dwa wozy drabiniaste przyręzione jeden do drugiego i ciągnięte przez mizernego konia, rodzina pędząca przed sobą jedyną krowę, nieszczęśliwy staruszek i jego żona, z

wielkimi tobołami gratów owiązanych w przesterado i zarzuconych na plecy. Sfotografowałem trzech Żydów: myśleli, iż przyszła ich ostatnia godzina, kiedy im powiedziałem, żeby się zatrzymali... Zatrzymaliśmy się we wsi na popas. Piliśmy słabą herbatę i jedliśmy jajka i chleb, w czystej chacie. Przyjmowały nas trzy siostry, starsze kobiety i córka jednej z nich. Płakały cały czas; aż tak bały się nadejścia Niemców.

(Str. 307). Znaczna część dochodów polskiego ziemiaństwa pochodzi ze spirytusu, który się pędzi w każdym majątku, z kartofli. Na każdym postoju, podczas odwrotu, niszczyliśmy składy spirytusowe, zbyt niebezpieczną pokudła cofającego się wojska. W Knilin (sic), gdzie staliśmy 1 sierpnia, spirytus odprowadzono rowem do bagnisk. Liczne posterunki pilnowały operacji, której pożądliwie przyglądali się gapiący się szeregowcy.

(Str. 322). Uderzająco tragicznym aspektem odwrotu była masa uciekinierów, tarasujących wszystkie drogi podczas wycofywania się rosyjskich wojsk. Wydawało się, iż całe polskie ziemiaństwo przekoczowuje z obszarów leżących na zachód od Wisły. Rosjanie mówią, iż nie zmuszają do tego chyba, że wsie przewidziane są jako miejsce walki. Zarządzono jednakże rekwizycję całego bydła, koni, szynek, herbaty i cukru, od tych, którzy nie ruszyli się. Pozostającym uniemożliwiono więc egzystencję odbierając im najniezbędniejsze środki przeżycia. Niestety administracja cywilna wycofywała się w pierwszym rzucie i zadanie rekwizycji spadało na barki Intendentury Korpusu. Nie rozporządzała ona jednakże odpowiednim personelem i rekwizycje przeprowadzano niechlujnie. Dowództwo tyłów zostało obciążone odpowiedzialnością za usprawnienie ewakuacji, która przybrała rozmiary wędrówki narodów. Nawet, gdyby znalazły się potrzebne ilości pociągów, byłyby one bezużyteczne dla chłopów, których jedyny majątek ruchomy z natury rzeczy zajmuje wiele miejsca. Podróżowali oni na swoich długich, polskich wozach drabiniastych, zaprzężonych najczęściej w dwa konie. Ojciec rodziny powoził, a matka z gromadką drobnych dzieci siedziała na załadowanej na wóz piramidzie dobytku. Starsi synowie i córki pędzili stadka gęsi, krów i świń obok traktów. Koło Bielska ominałem potok nieprzerwany, długości 20 mil uciekinierów tego rodzaju. Niektórzy szli aż spod Płocka i podróżowali od miesiąca. Kiedy się ich pytało dlaczego opuścili strony rodzinne odpowiadali, iż gdyby zostali umarliby z głodu „Niemcy odbierali wszystko“ — mówili. „Rosja w każdym razie „nie dopuści, żeby nas za-

głodzono“. Na pytanie, dokąd szli, odpowiadali, że nie wiedzą. Polskie ziemiaństwo należy do najwspanialszych na świecie (the Polish peasantry is one of the finest in the world) — uczciwe, pracowite i religijne. Spokój z jakim ci biedni ludzie znosili przeciwności losu, napawał serdecznym uczuciem dla nich (made one's heart go out to them). Kobiety często popłakiwały ukradkiem i wiele było zupełnie zrozpaczonych twarzy, ale nie było awantur i nigdy żadnych skarg. Widziałem chłopca, który ze stoickim spokojem powoził furą, na której złożone były zwłoki jego żony. Zmarła z wyczerpania podczas podróży. Dookoła niej tulili się na materacu dzieci. Chłop jechał w poszukiwaniu katolickiego cmentarza. Czerwony Krzyż zorganizował punkty dożywiania etapami, gdzie rozdawano darmo chleb i herbatę. Żołnierz rosyjski odnosił się do uciekinierów z prawdziwą życzliwością. Rosyjska intendentura miała rozkaz kupowania od nich całego ich bydła za uczciwą cenę. I mimo to, pomimo wszystkich środków zaradczych, nikt się nie dowiędzie nigdy, ile z tych nieszczęśliwych zmarło podczas wędrówki. W ciągu następnego roku, na głównych szlakach komunikacyjnych dalej na wschód, którą przepłynęła fala uchodźców, widziałem drogi utkane co kilkadziesiąt jardów zagęszczeniami pospiesznie zbitych krzyży, znaczących zbiorowe groby, pochowanych ofiar cholery. Niektórzy polscy uchodźcy dobrnęli aż za Ural. Cztery lata później Polacy mieszkali w ziemiankach w Omsku.

* * *

Na tym kończą się bezpośrednie wrażenia z Polski w pierwszej fazie 1-szej wojny światowej. Opis sceny w sztabie Korpusu Gwardii na wiadomość o ostatecznym opuszczeniu granic, dawnego Królestwa Kongresowego zasługuje na osobne potraktowanie. Wiadomość była przyjęta przez obecnych, jako katastrofa narodowa, rosyjska, pierwszej wielkości. Jako wycofanie się Imperium z jednej z zasadniczych zdobyczy wielowiekowej ekspansji Rosji. Ale w oderwaniu od opisu tysiąca drobnych codziennych szczegółów życia sztabu wielkiej jednostki na bezpośrednim zapleczu frontu, nastrój apokaliptycznej katastrofy, jaka tam zapanowała z chwilą wycofania się z Polski, chociaż jeszcze nie z ziem Rzeczypospolitej Obojga Narodów, traci przeważną część swojej wyrazistości i byłby raczej niezrozumiały dla współczesnego czytelnika.

Jeszcze jeden argument za koniecznością przełożenia pamiętników generała Knoxa na język polski, jako cennego przyczynku do historii polskiej XX wieku.

Czesław Jeśman

OBLICZE NIEMIEC ZACHODNICH

Z podróży do N.R.F.

NA WYJEZDNYM z Bonn zaszedłem do biura związku wysiedleńców, czyli t.zw. Bund der Vertriebenen, w skrócie BDV. Prowadziłem tam rozmowy już niejednokrotnie; w miarę upływu lat pozycja BDV wzmocniła się i z organizacji raczej luźnej BDV zamienił się w czynnik pewnej wagi politycznej. Trudno określić jak duże są wpływy BDV: na ten temat istnieją dwie szkoły myślenia — jeden głosi, że BDV rośnie na siłach z każdym rokiem; druga, że przeciwnie, istotne wyływy związku wysiedleńców słabną, albowiem coraz mniej ludzi należących do tej organizacji wierzy w skuteczność jej działania.

Tym razem nie chodziło mi o zagadnienie wpływów BDV oraz jego rozmaitych poczyniń, ale po prostu o wywiad, który przewodniczący BDV dr Jaksch, z pochodzenia Niemiec sudecki, udzielił ruchliwemu tygodnikowi „Der Spiegel“. W wywiadzie tym dr Jaksch wypowiedział tezy, które obruszyły zarówno tygodnik, któremu wywiadu udzielano, jak i niektórych obserwatorów zagranicznych w NRF. Dr Jaksch dał do zrozumienia, że problem granicy wschodniej musi być jakoś załatwiony i że jeżeli chodzi o zatrudnienie i potrzebę rąk roboczych to w przeszłości element polski na przykład, szukał pracy w Niemczech zachodnich głównie w Westfalii, gdzie od dziesiątków lat roiło się od robotników polskich. Dziennikarz prowadzący wywiad zahaczył w tym momencie dr Jakscha i zagaadnął, czy myśli on o wysiedleniu ludności polskiej z obecnych ziem zachodnich PRL? Dr. Jaksch odpowiedział na to, że gdy problem granic na wschodzie zostanie załatwiony między zjednoczonymi Niemcami a Europą, to wówczas zagadnienia ludnościowe staną się „tylko de-

talami“. Dziennikarz z tygodnika „Der Spiegel“ ucpeził się tego słowa i zapytał wprost dr Jakscha czy uważa wysiedlenie 9-ciu milionów ludzi za „detal“? Dr Jaksch nie najszcześliwiej wybrnął z tej pułapki i wywiad przez niego udzielony robił wrażenie, że przewodniczący BDV jest zwolennikiem cofnięcia elementu polskiego z ziem zachodnich PRL.

Chciałem porozmawiać z dr Jakschem o jego wywiadzie i jego nastawieniu do problemu granicy polsko niemieckiej — ale nie zastałem go w Bonn, gdyż przewodniczący BDV przebywał właśnie w Monachium, na tak zwanym „tygodniu kultury wschodnio-niemieckiej“, czyli **Ostdeutsche Kulturwoche**, który zakończony został zjazdem młodzieży, nie tylko z NRF — młodzieży pochodzącej z dawnych ziem wschodnich — ale i również przedstawicieli niemieckich grup narodowościowych z południowego Tyrolu, reprezentantów różnych krajów Azji, krajów bałkańskich, państw bałtyckich i — o dziwo — przedstawicieli separatystów bretońskich.

Tak się złożyło, że z Bonnjechałem do Monachium i byłem obecny na obradach kongresu młodzieżowego, gdzie spotkałem zarówno dr Jakscha, jak i szefa prasy BDV, Neumanna. Obrady Kongresu odbywały się w olbrzymiej sali zebrani na terenie wystawowym, czyli t.zw. Messegelände w Monachium. Miałem również sposobność poznania całego niemal sporego zespołu młodych przywódców młodzieży niemieckiej, pochodzącej z dawnych ziem wschodnich — przy czym spora część tej młodzieży urodziła się już w Niemczech zachodnich, w NRF i nie pamięta stron ojczyźnych.

Monachium jest ośrodkiem bardzo aktywnym działania BDV, a to z

tej przyczyny, że najruchliwsza grupa, t.zw. ziomkowska, ma swoje zakotwiczenie w stolicy Bawarii: mam na myśli grupę Niemców sudeckich, którzy osiedlili się przeważnie w Bawarii. Tak zwana Rada Niemców Sudeckich (Sudetendeutscher Rat) ma swoją siedzibę w Monachium, a w czasie zeszlórocznej wizyty w stolicy Bawarii odwiedziłem biura tej Rady i przeprowadziłem długie rozmowy z przedstawicielem tej organizacji. Staralem się wówczas wybadać działalność tej Rady, siły tej organizacji i nastawienie Niemców sudeckich do problemu powrotu do dawnej ojczyzny.

Wydaje się, że BDV przesuwa akcent swojej działalności na szerszy plan rozumiejąc, że apel czysto narodowy, czy narodowościowy jest dzisiaj niewystarczający. Organizacja wysiedleńców — przy czym sprawiedliwość każe stwierdzić, że nazwa ta nie jest w pełni trafna i słuszna, albowiem spora część owych **Vertriebenen** uciekła po prostu z ziem wschodnich przed naporem wojsk sowieckich — liczy dwa miliony członków na mniej więcej dziesięcio-milionową masę uchodźców i wysiedleńców. Nie występuje ona jako samodzielna siła polityczna na skalę ogólnokrajową, jak trzy czołowe partie, a zatem CDU, SPD i FDP. Dysponuje ona na pewno wpływami politycznymi jeżeli chodzi o poszczególne ziemie, czyli t.zw. Länder, w rozmaitych sejmikach prowincjonalnych, itd. Przesunięcie akcentu, o którym wspomniałem, dotyczy takiej oto sprawy: BDV rozumie, że nie można wysuwać dzisiaj dezyderatu powrotu rzesz wysiedleńców, nie tylko dlatego, że taki dezyderat jest nierealny, ale i dlatego, że nie wiemy jaki procent owych **Vertriebenen** ma ochotę w ogóle wracać, — nawet gdyby granice były na oścież otwarte. W tych warunkach BDV wywiesza hasło samostanowienia narodów, domagając się sprawiedliwości dla wszystkich grup etnicznych Europy. Dlatego zjazd monachijski o którym wspominałem odbywał się pod hasłem poszanowania praw człowieka, i w tak zwanym „roku poszanowania praw człowieka“ — Jahr der Menschenrechte.

W rozmowie z dr Jakschem dowiaduję się, że „Der Spiegel“ przeinaczył sens wypowiedzi przewodni-

czącego BDV i że to o co chodziło dr Jakschowi, to zaznaczenie, że powinny w przyszłości powstać w Europie wschodniej warunki, w których granice tracą swoją niejako ostrość i wagę i kiedy każdy Europejczyk będzie mógł swobodnie pracować i osiedlać się w kraju swojego wyboru. Teza ta zbliża się do tezy byłego ministra Straussa i teoretyka partii CSU, dr Blömera. Chodziło by tu zatem o tak zwane „rozwodnienie“ granic europejskich, a więc układ, w którym państwa europejskie patrzyłyby na ruch ludności poprzez te granice z całkowitym liberalizmem.

Nie sposób oczywiście pytać się dr Jakscha czy pana Neumanna jak wielka jest ochota wśród wysiedleńców do powrotu na dawne ziemie wschodnie Rzeszy. Masowa wieczorynka, urządzona na zakończenie „tygodnia kulturalnego“ Niemców ze wschodu stoi pod znakiem tańców i pieśni i obyczaju grup niemieckich — od Sudetów po dawne Prusy Wschodnie. Trudno mieć za złe tym Niemcom że pielęgnują swoje dawne tradycje: patriotyzm jest siłą w zasadzie dobroczynną i opiera się na miłości obyczaju, podczas gdy nacjonalizm jest siłą wsteczną, która operuje, chciałoby się rzec, dwoma pojęciami, które uwieczniono w tytule Pride and Prejudice: pychą i przesądem.

Można tylko wymiarkować te nastroje przysłuchując się rozmowom, zwłaszcza tych młodych, którzy nie pamiętają już swojej dawnej ojczyzny i mieli teraz sposobność wyjazdu do miejsc, gdzie mieszkali ongiś ich rodziny. Na sali zebrań w czasie kongresu, pewna młoda dziewczyna z ziemi sudeckiej, siedząca obok mnie rozmawia z ożywieniem z grupą towarzyszy, którzy wpytują ją o wrażenia z pobytu w dawnym Sudetenlandzie. Jej relacja utrzymana jest w tonie, już nie tylko minorowym, ale wręcz rozpaczliwym: to straszne, co za prymityw, nie można tego w ogóle porównać z tym co tutaj mamy; nigdy bym tam nie pojechała po raz drugi!

I tu tkwi właśnie sedno sprawy. Niemcy wygnani i wysiedleni, zadowolili się już w NRF, nawykli do wysokiego poziomu życia, powodzi im się na ogół doskonale, chociaż na

pewno niejedynemu nie ma tej pozycji socjalnej, co w swoim dawnym kraju. Lata robią swoje i coraz bardziej oddalają możliwość powrotu — natomiast dają możliwość odwiedzenia dawnej ojczyzny. Te wrażenia z wizyty czy wakacji są negatywne. Niemcy są mimo wszystko realistami, a ich tęsknota do wyższego poziomu życia przeważa bardzo często względy sentymentu i emocji.

BDV pielęgnuje tradycje i obyczaje i nie nie można w tym względzie zarzucić tej organizacji: jeżeli chodzi o stronę polityczną to żadne naciski BDV nie odniosą skutków, albowiem problem granic niemieckich nie będzie zdecydowany przez samych Niemców, ale przez dwa czynniki poza europejskie — U.S.A. i Rosji i przez Europę. Jest rzeczą jasną, że wielu Niemców z dawnego wschodu cierpi na tak zwaną frustrację na widok przeciągania się sprawy zjednoczenia Niemiec i odkładania kwestii granic *ad calendas graecas*. Żadna jednak niecierpliwość i żadna frustracja nic tu nie wskórają i dlatego BDV stara się przestawić swoją akcję na szersze tory i występować w roli szermierza wszystkich grup narodowościowych w Europie, tak jak dr Jaksch stara się mówić o „rozwodnieniu granic“ europejskich i o swobodnym przepływie europejskich sił roboczych.

Monachium jest również centrum tego odłamu partii CDU, który w Bawarii przybrał swoje miano CSU, a przewodzi mu dynamiczny Franz Josef Strauss. CSU nie jest odrębną partią, ale lubi nadawać sobie takie tony, jakby nią była i jakby miała swoje własne polityczne idee... i kto wie, czy tak nawet nie jest? Korzysta ona bowiem z politycznych luk i niedoborów partii CDU i z faktów, że sam kanclerz Erhard, jest przede wszystkim ekonomistą, który potyka się bardzo często na śliskim parkiecie polityki. Strauss zabiera oraz częściej głos w Bundestagu i pragnie się przedstawić opinii, jako człowiek samodzielny, niezależnego myślenia. Należy on do tak zwanych gaullistów, — chociaż określenie to nie jest słuszne — w przeciwieństwie do orientacji amerykańskiej, reprezentowanej przez ministra spraw zagranicznych NRF Schroedera. Gaulliści niemieccy po-

nieśli tak liczne porażki z rąk samego de Gaulle'a że wołają dzisiaj nie wspominać o swoim patronie, a ich tezy polityczne coraz bardziej oddalają się od tezy de Gaulle'a. Są oni bowiem zasadniczo zwolennikami Europy jak najbardziej zjednoczonej i to Europy zjednoczonej aż po granice Związku Sowieckiego. Wydaje się, że doszło do rozstania się, czy rozvodu między de Gaulle'm a jego dawnymi zwolennikami w NRF.

PRZESZŁOŚĆ HITLEROWSKA

Nie brak w Niemczech osób, które uważają, że Strauss postąpił niezwyczajnie nie przyjmując zaproszenia Erharda do wejścia do jego rządu. Według tej teorii Strauss jest politykiem przyszłości, który może sobie pozwolić na czekanie. Ale kto wie czy nie więcej głosów pada za inną teorią, a mianowicie, że Strauss już nie dojdzie do szczytowych stanowisk, a zatem do kanclerstwa, i że wyprzedzą go inni, nowi ludzie, jak Barzel z CDU. Podobnie wśród socjalistów niemieckich nie brak jest zdań, że człowiekiem przyszłości jest poseł z Hamburga, Helmut Schmit.

W Monachium zainteresowania Europą wschodnią są bardzo żywe, czego dowodem pojawienie się miesięcznika „Der Europäische Osten“ pod redakcją dr von Gordona, oraz prace podejmowane przez Institut für Zeitgeschichte. Kieruje tą instytucją dr Martin Broszat, który napisał źródłową pracę o rządach hitlerowskich w Polsce, kończąc swoją rozprawę słowami, że „przez rodzaj swoich nieludzkich rządów w Generalnym Gubernatorstwie Niemcy zaprzepaścili na zawsze swoją misję na wschodzie“. Dr Broszat, z którym spędzam dłuższy czas na rozmowie, ogłosił nową książkę, wraz z trojgiem innych autorów, p.t. „Anatomia Państwa SS“. Pojęcie „państwa SS“ zostało stworzone przez innego badacza problemów hitlerowskich dr Kogona, redaktora wybitnego miesięcznika *Frankfurter Hefte*, który pod koniec lat czterdziestych ogłosił książkę p.t. *Der SS Staat*. W nowej swojej pracy dr Broszat dokonuje drobiazgowej analizy mentalności, która ożywiła formacje SS, te wyborowe od-

działy, z których wyłonić się mieli przyszli führerzy Trzeciej Rzeszy.

Żywe wspomnienia hitlerowskiej przeszłości są ciągle z nimi. Oto w Stutgardzie odbywa się proces t.zw. Waffen SS, której przedstawiciele dopuścili się potwornych zbrodni w Tarnopolu, gdzie wymordowano tysiące Żydów. Proces w Stutgardzie wydobywa na jaw nowe nieludzkie szczegóły systemu, który operował naukowo obmyślanym terrorem i przemocą. W jednym z teatrów monachijskich idzie od tygodni przy pełnej widowni sztuka młodego dramaturga Kiphardta p.t. **Joel Brand** osnutnej na tle zamierzonej nieludzkiej wymiany żydów węgierskich na ciężarówki wojskowe. Sztuka ta oparta na historycznych faktach i wprowadzająca Eichmanna, jako jedną z postaci dramatu, stanowi wstrząsającą relację o systemie, który zatracił wszelkie prawie cechy ludzkości. Fakt, że sztuki takie jak **Joel Brand** Kiphardta, czy „oratorium“ o procesie oświęcimskim p.t. **Die Ermittlung** Petera Weissa, grane są tygodniami w rozlicznych teatrach w NRF — premiera sztuki Weissa odbyła się równocześnie w 16-tu teatrach Niemiec zachodnich — jak i to, że książki o haniebnej przeszłości hitlerowskiej są masowo czytane, jest na pewno pocieszający.

Monachium stanowiło ostatni mój postój w Niemczech Zachodnich i teraz nadchodzi pora dla podsumowania wrażeń i spostrzeżeń dokonanych w ciągu dwutygodniowej tury po NRF. o wyraźnej zmianie nastrojów, jaka nastąpiła w Niemczech Zachodnich w porównaniu z sytuacją oglądaną na przełomie zimy i wiosny roku 1964-go. Pozwoliłem sobie nazwać to zjawisko mianem ery rozczarowania, które przejawia się w rozlicznych dziedzinach zbiorowego życia niemieckiego.

NIEMCY ROZCZAROWANE

To rozczarowanie dotyczy zarówno spraw wewnętrznych, jak i zagadnień zagranicznych Niemiec. Na rynku wewnętrznym olbrzymi silnik przemysłu i produkcji nie bije już tak silnym tętnem jak w latach poprzednich. Rozmach pracy niemieckiej, która zdumiewała, w

okresie bezpośrednio po wojnie, ta zawziętość pracy, która imponowała wszystkim niemal przybyszom z innych krajów Europy po za Szwajcarią — te cechy, które niewątpliwie wyprowadziły Niemcy z klęski i stworzyły z nich „Amerykę w Europie“, są o wiele mniej dzisiaj dostrzegalne niż dawniej. Od kilku lat tempo pracy niemieckiej zelżało, robotnicy mogą sobie pozwolić na dłuższe okresy bezpłatnych urlopów, albo porzucają pracę i przechodzą na zasiłki dla bezrobotnych, aby po prostu odpocząć. Odnosi się to również do tej klasy, którą język angielski zowie „klasą białych kornierzyków“. I ona pracuje mniej, może przerażona ostrzeżeniami lekarzy którzy notowali zbyt wiele wypadków zawałów serca i nerwowego zmęczenia wśród swoich przepracowanych pacjentów. Hasłem Niemiec roku 1965 jest więcej odpoczynku i więcej wakacji, więcej wolnego czasu. Związki zawodowe naciskają na podwyżki płac, którym opiera się rząd w Bonn uważając, że NRF nie może sobie pozwolić na dalszą podwyżkę płac, jeżeli ma pozostać niebezpiecznym konkurentem w handlu światowym.

KONIEC

„CUDU GOSPODARCZEGO“

Rząd ostrzega, że budżet federalny jest rozdęty i że trzeba będzie dokonać drastycznych cięć w rozmaitych resortach. Ekonomiści niemieccy są dzisiaj nastroszeni o wiele mniej optymistycznie niż jeszcze rok temu. Sam kanclerz Erhard wystosowuje do swego społeczeństwa apele o oszczędność. Nie brak głosów, że tak zwany „cud gospodarczy“ już się skończył, a złośliwi powiadają, że cudów w permanencji niema. Fachowcy i nie-fachowcy twierdzą, że NRF wkracza na drogę inflacji i że euforia gospodarcza, jaka panowała jeszcze dwa lata temu, poszła zbyt daleko i że Niemcy dzisiejsze żyją troszeczkę tym co język angielski zowie „a fool's Paradise“ a zatem w raju wyhołubionym nierozsądkiem.

Wydaje się, że ta ocena jest równie skrajna, jak stan euforii i nadmiernego optymizmu sprzed lat kilku. Tempo pracy niemieckiej na pewno osłabło, jakoś roboty podobno również spadła, ale banki

nie skarżą się na brak kapitałów i twierdzą, że poziom oszczędności jest rekordowy. Inwestycje obce kierują się dalej ku NRF, podobnie jak ku Szwajcarii, dwom najbardziej pewnym rynkom europejskim — jak głosi kapitał zagraniczny. „Cud gospodarczy“ musiał się skończyć, albowiem było w tym postępie i nasileniu produkcji coś niemal nie-naturalnego.

POCZĄTKI „NORMALNOŚCI“

Niemcy po prostu wkraczają na szlak normalności i przestały bić rekordy, które tak niepokoiły Europę rozwijającą o wiele powolniejsze tempo gospodarczej ekspansji. To, że Niemcy staną się krajem bardziej „normalnym“ w dziedzinie produkcji jest faktem raczej pocieszającym — i to pod każdym względem. Nie jest rzeczą wskazaną, aby w zespole europejskim jakiś kraj rozwijał nadmiernie ożywną działalność gospodarczą, co otwiera drogę do gospodarczej dominacji, albo prób takiej dominacji. Niemcy pracowali uczciwie i należą im się odpoczynek. Przegrzanie niemieckiego kotła gospodarczego na pewno nie leżało w interesie kontynentu.

Rozczarowanie wynikami gospodarczymi, ekspansją przemysłu, budżetem federalnym i tak dalej, jest reakcją zrozumiałą. Równie zrozumiałe jest rozczarowanie własnym rządem, który nie ma już autorytet „starego lisa“ Adenauera. To rozczarowanie jest zrozumiałe, i zasadniczo zdrowe, albowiem kult dla autorytetu jest niebezpieczną manią niemiecką i nic nie zaszkodzi jeżeli społeczeństwo pośmieje się nieco ze swojego rządu i popatrzy na swoich przywódców politycznych nieco krytycznym wzrokiem. Jest to fakt dobrze znany z historii Niemiec, że społeczeństwo chętnie przekazuje myślenie polityczne w ręce t.zwanych „ludzi powołanych“, którzy czasem okazują się niebezpiecznymi awanturnikami. Maszy niemieckie są dalej apolityczne, ale obecna sytuacja zaczyna sprzyjać wzrostowi samodzielnego myślenia. Cały szereg spraw, których polityka oficjalna załatwić dotychczas nie potrafiła — staje dzisiaj przed społeczeństwem w całej swojej wadze i powadze... jak na przy-

kład problem zjednoczenia Niemiec — nowych granic i pogodzenia się z sąsiadami na Wschodzie.

Rozczarowanie w dziedzinie polityki zagranicznej jest bodaj najżywsze i sięga najgłębiej. Dotyczy ono zarówno stanowiska samej NRF, jak i sojuszników tego kraju. Niemcy stoją dzisiaj na rozdrożu albowiem nie wiedzą co zrobić z potęgą gospodarczą, którą uzyskali zarówno własnym trudem, — podstawowym surowcem cudu gospodarczego była praca — jak i z pomocą zagraniczną. Kraj ten rozgląda się wokoło siebie i szuka nowych hasel i nowych zawołań. Idea unii europejskiej i federacji stanowiła dotychczas wielki upust emocjonalny dla ambicji niemieckich. Zagrożenie tej idei przez wahania Francji i pretensje de Gaulle'a, zapatrzonego we wzór Francji wczoraj, stanowi poważnie niebezpieczeństwo i dla samych Niemiec i dla całej Europy. Dlatego też frustracja niemiecka na ten temat przybiera formę pretensji pod adresem Francji i dlatego rozczarowanie Francją jest tak ogromne i powszechne w Niemczech dzisiejszych.

KONIEC FLIRTU Z PARYŻEM

Rozczarowanie to jest tym większe, że zdawało się, iż po pogodzeniu się dwóch narodów przyjdzie epoka owocnej współpracy i że NRF i Francja stworzą oś europejską, wokoło której krystalizować się będzie przyszła unia kontynentu. To właśnie, że tak zwany Traktat Elizejski zawarty między de Gaulle'm a Adenauerem wzbudził tak olbrzymie nadzieje — to właśnie jest przyczyną zawodu i rozgoryczenia. Gdyby bowiem nadzieje te nie zostały tak rozkołysane i gdyby de Gaulle tych nadziei osobiście w Niemczech nie rozbudził swoimi wizytami i wypowiedziami — zawód nie byłby tak dotkliwy i przykry.

Opinia publiczna w Niemczech przerzuca się z jednej skrajności w drugą — tak jak jeszcze dwa lata temu widziała w de Gaulle'u wielkiego przyjaciela NRF, tak dzisiaj podejrzewa go o najgorsze zamiary. Uważa, że de Gaulle odnosi się raczej wrogo do wszystkich ambicji niemieckich. Nie brak jest obserwatorów, którzy głoszą, że przyczyną tej akcji hamującej de Gaulle'a

było nagle uprzytomnienie sobie przez niego że NRF może okazać się zbyt groźnym i niebezpiecznym partnerem i że trzeba już teraz zabiegać o tamowanie przyszłej potęgi niemieckiej. Na ogół Niemcy przyznają, że nie rozumieją o co właściwie de Gaulle'owi chodzi, a na usprawiedliwienie swego stanowiska przytaczają takie fakty jak na przykład francuskiego ministra obrony Mesmera, który w czasie swego pobytu z de Gaulle'm w Bonn miał się pono przyznawać z rozbrajającą szczerością, że sam nie wie jakie właściwie są plany jego „szefa“.

STOSUNEK DO AMERYKI

Rozczarowanie Ameryką jest mniej głębokie: uznaje się, że jako sojusznik Ameryka okazała się krajem ogromnej lojalności. Chodzi tutaj raczej o obawy, że USA jest nadmiernie zaabsorbowana problemami Azji i że w tych warunkach znaczenie Europy w oczach amerykańskich nieco maleje. Niemcy — jak zresztą większość krajów Europy — zapominają o tym, że Ameryka jest mocarstwem światowym, które musi patrzeć poprzez dwa oceany, Pacyfik i Atlantyk, i że problem Berlina i zjednoczenie Niemiec tylko od czasu do czasu winduje się na pierwsze miejsce w hierarchii amerykańskich celów.

POKUSA HOROSKOPU

Ta epoka rozczarowania ma na pewno w sobie elementy zdrowia jak każdy nawrót sceptycyzmu w zbiorowiskach, które pochłonięte były nadmiernie sobą i problemami swojej regeneracji oraz uzyskania możliwie najwyższej stopy życiowej. W pewnym sensie NRF żyła dotychczas w izolacji od wielkich zagadnień światowych, skoncentrowana na problemach gospodarczych i na własnym bogactwie. Rozczarowanie obecne jest po prostu oznaką tego, co możnaby nazwać wielkim przebudzeniem.

Któż nie chciałby przeniknąć poza zasłonę wypadków i któżby nie chciał stawiać horoskopów, jeżeli chodzi o scenę niemiecką? Jak ułożą się stosunki w tym kraju i do czego dążyć będzie państwo, które zrobiło zawrotną karierę na klęsce? Jakiego ujścia szukać sobie będzie energia niemiecka?

Oto pytania, na które chciałby odpowiedzieć każdy obserwator sceny niemieckiej i wydaje się, że rok 1965-ty był właśnie tym momentem w dziejach Niemiec, kiedy postawienie takiego pytania jest celowe i słuszne. Niemcy bowiem znajdują się niewątpliwie na rozstaju i rozglądają się po świecie sami jeszcze nie wierząc w swoją siłę i regenerację.

Istniała dotychczas ogromna niewspółmierność pomiędzy dynamiką gospodarki niemieckiej, a polityką zagraniczną NRF. Niewspółmierność będzie rosła, a dołączy się do niej moment militarny, a zatem fakt, że armia niemiecka stanie się jedną z najpotężniejszych na kontynencie. Te dwa czynniki niejako napierały na myślenie polityczne Niemiec i sprawiały że przyszłe pokolenie polityków postawi sobie wyraźne pytanie: co z tym fantem zrobić, jak wyzyskać siłę polityczną Niemiec?

Dla pokolenia Erharda może to nie być kwestia pałaca, ale niewątpliwie nadejdzie generacja młodsza, dzisiejszych 40-to latków, która będzie przypuszczalnie myśleć odmiennymi już kategoriami. Obie wielkie partie polityczne a zatem i CDU i SPD nie ludzą się, że obecni liderzy nie są już ludźmi przyszłości. Generacja nowych przywódców zechce na pewno zrobić bardziej dynamiczny użytek z energii politycznej NRF.

Niemcy Zachodnie okazały się lojalnymi sojusznikami Zachodu i dobrym partnerem Sojuszu Atlantycznego. Dopóki pozostają one w ramach Sojuszu NATO, Europa nie ma się czego obawiać w stosunku do Niemiec Zachodnich. Wypadnięcie Niemiec z tego sojuszu i przejście tego kraju nawet na ścisłą neutralność, otwiera na oścież drzwi do wszelkich niepokojów w Europie. Jedyna rola tych Niemiec, która jest bezpieczna dla Europy, to podporządkowanie narodowego obszaru niemieckiego idei nadrzędnej, a zatem Unii Europejskiej.

Pomimo niewątpliwego rozczarowania do myśli federacyjnej, pomimo osłabnięcia entuzjazmu dla tych planów myśl europejska krzewi się dalej w Niemczech i można by powiedzieć, że przeniknęła ona

teraz głębiej do świadomej opinii publicznej niż dawniej. Ta opinia publiczna w Niemczech odzywa się coraz śmielej i to jest moment może najbardziej pocieszający przy dokonywaniu przeglądu zjawisk niemieckiego życia zbiorowego.

W roku 1946 kiedy po raz pierwszy zjawilem się po wojnie w Niemczech, nie było tam nie tylko państwa niemieckiego, ale nie było i narodu. Tłumaczyłem to sobie tym, że państwo totalne stawiając znak równania między narodem a państwem i pozbawiając naród zdolności do samodzielnego myślenia, sprawia, iż na wypadek katastrofy państwa naród nie potrafi przejąć funkcji myślenia i na miejscu katastrofy pozostaje właściwie tylko bierna i zdezorientowana ludność. Oglądaliśmy w Niemczech zaraz po klęsce, masą, w której zerwane zostały nici solidarności społecznej i która witała powracających do miast i miasteczek jeńców wojennych głuchym milezieniem.

Naród niemiecki powoli przychodził do siebie i dopiero może teraz wykształcił on opinię publiczną reagującą żywiej na wielkie problemy dnia. Nie jest rzeczą przypadku, że właśnie w opinii publicznej NRF odbywa się wielka debata na temat zjednoczenia Niemiec i szuka się dróg wyjścia z sytuacji, która wydaje się całkowitym impasem — jeżeli chodzi o stanowisko urzędowe. Nie jest dziełem przypadku, że to przedstawiciele opinii publicznej podjęli odważnie kwestię przyszych granic Niemiec i sprawę pogodzenia się Polski i Niemiec. Stanowi to dowód, że opinia publiczna w NRF nie unika rozprawy z zasadniczymi zagadnieniami dzisiaj i jutra.

NARODZINY OPINII PUBLICZNEJ

Napór opinii publicznej sprawi, że koła oficjalne NRF będą szukały z większą energią i wolą kompromisu jakiegoś rozwiązania dla problemu nowych granic Niemiec i ułożenia stosunków ze Wschodem Europy. Jeszcze rok temu wydawało się, że zabrnęliśmy całkowicie w ślepej uliczce i że nie ma, w polu widzenia rozsądku i logiki, żadnego rozwiązania tego iście gordyjskiego węzła. Dzisiaj na tle wypowiedzi przedstawicieli kościoła

ewangelickiego i katolickiego możemy żywić nadzieję, że jednak znajdzie się jakieś wyjście z tego fatalnego dla Europy impasu.

Niemcy Zachodnie są „Ameryką w Europie“ i oto powstaje pytanie: czy przejmą one wzór z Ameryki za Oceanem i czy odniosą się do swoich uboższych sąsiadów z taką szczodrobliwością i wolą pomocy jak tego dokonała Ameryka, w dobie planu Marshalla i później? NRFłoży spore sumy na pomoc dla krajów gospodarczo zacofanych. Rozwija swój handel z Afryką i Azją na zasadzie długoterminowych kredytów. Powstaje pytanie, czy ten bogaty kraj potrafi zdobyć się na gest pomocy i inwestowania w kraje sąsiedzkie na wschodzie?

WIDMA Z PRZESZŁOŚCI?

Widoki odrodzenia się nacjonalizmu? Jest to moment, którym bardzo łatwo jest zastraszyć Europę, podobnie jak widmem odrodzenia się militarystyki niemieckiej. Może dlatego, że tego rodzaju alarm stanowi to, co w języku teatralnym zowie się „samograjem“, dlatego może propaganda ze Wschodu operuje od lat straszakiem militarystyki i nacjonalizmu niemieckiego, które rzekomo zbudowały sobie twierdze w NRF. Ta propaganda wpadła jednak we własną pułapkę, albowiem przeoczyła istotny moment, a zatem rozwój gospodarczy Niemiec Zachodnich. Opowiadając przez długie lata, że te Niemcy Zachodnie są krajem biednym, w który pompuje się kapitał amerykański, propaganda ze Wschodu nie potrafiła wytłumaczyć później skąd te Niemcy stały się nagle pierwszą potęgą gospodarczą Europy?

Na razie — nie widzimy w nowych Niemczech śladu militarystyki. Armia po prostu nie jest modna, kariera w armii nikomu nie imponuje, a prestiż munduru jest na razie żaden. Oczywiście, ten układ stosunków może się zmienić za lat kilkanaście, kiedy powstaną tradycje nowej armii, dzisiaj nastawionej zdecydowanie na „oblicze cywilne.“ Podobnie jest z nacjonalizmem: Niemcy przeżyły w rekordowym czasie całą gamę uczuć nacjonalistycznych i właściwie jedyne z krajów Europy zstąpiły na samo dno nacjonalizmu, a zatem do uczuć plemiennych, przy-

pominających najpierwotniejsze szczypty Afryki. Wyładowały się one w transie nacjonalizmu jak żaden naród europejski i po wojnie stanowiły to, co możnaby określić tytułem głośnej powieści Grahama Greene'a „burnt out case“. Była to jakby wypalona skorupa nacjonalizmu, który zemścił się na Niemcach jak zły duch, czy genii wypuszczony z flaszki czarownika.

Dlatego wydaje mi się, że widoki odrodzenia się nacjonalizmu w Niemczech są albo żadne, albo słabe — z uwagi właśnie na przejście tego narodu przez całą patologię i schizofrenię nacjonalizmu i z racji wyładowania się energii niemieckiej na tym odcinku nieskończenie silniejszego aniżeli to było udziałem jakiegokolwiek kraju w Europie.

Nie możemy prorokować z wszelką pewnością jakimi drogami pójdą nowe Niemcy, ale wszystko wskazuje na to, że zdrowy rozsądek i doświadczenia przeszłości uchronią ten kraj od tęsknot za orientacją polityczną, któraby skłóciła Niemcy z Zachodem (czyli orientację prorosyjską) i od nawrotów nacjonalizmu, któryby uniemożliwił współpracę Niemiec z rodzącą się nową Europą. W interesie samych Niemiec i nas wszystkich jest danie Niemcom możliwości wykorzystania swoich energii w ramach zjednoczonej Europy, jedynych ramach, które są dość silne, aby utrzymać odpowiednią równowagę między Wschodem a Zachodem.

Zbigniew Grabowski

BIBLIOTEKA „KULTURY“

Tom XCIX

Wincenty Witos MOJE WSPOMNIENIA

*Dokument pisany ręką wielkiego
wodza chłopów polskich
i czołowego męża stanu Polski
współczesnej*

Trzy tomy o łącznej objętości
1,325 stron

Cena: £ 6.10.0, F. 87.00, \$ 18.00

W Wielkiej Brytanii do nabycia w
GRYFIE — 171, Battersea Church
Road, London, S.W. 11, oraz we
wszystkich księgarniach polskich

S.P. PUŁKOWNIK JAN KOWALEWSKI

Legendarny Charon jest od pewnego czasu szczególnie często zajęty przewożeniem przez Styks tych, którzy marzyli o ponownym przejściu Wisły i Warty. 31 października przeprowił na jego drugi brzeg jednego z najwybitniejszych naszych oficerów sztabowych, pułkownika dyplomowanego Jana KOWALEWSKIEGO, który zmarł w Londynie, po długiej i złośliwej chorobie. Choroba ta zmieniła bardzo jego wygląd, nie zdołała jednak niemal do ostatniej chwili ani przyćmić jego jasnego umysłu, ani zwiężyć jego szero- kich zainteresowań, ani osłabić jego serdecznej troski o przyszłość Polski.

Zmarły urodził się w Łodzi w 1892 roku. Po ukończeniu jednego z tamtejszych gimnazjów studiował od 1909 do 1913 roku chemię w Leodium i po uzyskaniu dyplomu praktykował najpierw w Zgierzu, a następnie na Ukrainie, gdzie zaskoczyła go I. wojna światowa. Zmobilizowany do armii rosyjskiej, ukończył z wyróżnieniem szkołę oficerską w Kijowie i walczył następnie przeciw Niemcom i Austriakom na białoruskim i rumuńskim froncie.

Bezpośrednio po wybuchu rewolucji dołączył do akcji tworzenia odrębnych oddziałów polskich, został — mimo młodego wieku — wiceprzewodniczącym polskiego komitetu wojskowego dla całego frontu południowego i wstąpił później do II. korpusu polskiego. Dostawczy się pod Kaniowem do niewoli niemieckiej, uciekł, przekradł się do Kijowa i brał tam bardzo czynny udział w różnorodnej działalności P. O. W. W grudniu 1918 dołączył do 4. dywizji strzelców gen. Żeligowskiego i przedostał się z nią, jako jej oficer wywiadowczy, w maju 1919 roku do Polski.

Przeniesiony wkrótce do Naczelnego Dowództwa, został kierownikiem służby radio-wywiadowczej i odegrał na tym stanowisku niepoślednią i pamiętną rolę w odparciu bolszewickiej nawały. Obdarzony nie tylko wyjątkowo ścisłym i bystrym umysłem „matematycznym“, ale także rzadko spotykaną intuicją, zorganizował doskonale działającą sieć namiarową i nasłuchową i, co ważniejsze, odszyfrował zdumiewająco szybko wszystkie podsłuchane depeche i rozmowy sowieckich dowódców, co w kilku wypadkach uchroniło stronę polską przed przykrymi niespodziankami i działaniem na ślepo.

W 1923 roku został, na prośbę japońskiego sztabu generalnego, wysłany na kilka miesięcy do Tokio, by tam naszego potencjalnego sojusznika w

arkana swojej specjalności wprowadzić. Po ukończeniu w 1927 roku paryskiej „Ecole Supérieure de Guerre“ trafił do oddziału operacyjnego naszego Sztabu Głównego, został jednak już w 1928 roku wyznaczony przez marszałka Piłsudskiego na ważne stanowisko attache wojskowego w Moskwie, na którym przez pięć lat, z wielkim pożytkiem dla sprawy i siebie, pozostał. Pokrotnie w tym czasie przyjeżdżał do Warszawy, tylokrotnie musiał, jak dobrze pamiętam, meldować się u Marszałka, który wypytywał go nieraz bardzo długo i nowymi zadaniami obarczał. Dowodzi to, że darzył Zmarłego pełnym zaufaniem, zarówno jako eksperta, jak też jako rzetelnego człowieka, niezdołnego do oportunistycznej błagi. Nowym dowodem tego zaufania było przesunięcie Kowalewskiego na analogiczne stanowisko do Bukaresztu z zadaniem zacieśnienia polsko-rumuńskiej współpracy wojskowej. Była to niestety jego ostatnia, ściśle wojskowa funkcja.

W 1937 roku marszałek Rydz-Śmigły odwołał go do Warszawy i nakłonił do wejścia do kierownictwa „Obozu Zjednoczenia Narodowego“, niejako w charakterze „szefa sztabu“. Na tym trudnym i odpowiedzialnym stanowisku Kowalewski nie długo wytrwał, bo jego koncepcje „kierowanej demokracji“ nie znalazły aprobaty góry OZON-u. Nie wrócił jednak do czynnej służby wojskowej, lecz objął kierownictwo powstającego właśnie przedsiębiorstwa państwowego „Tissa“, które miało gromadzić, zwłaszcza szlachetne surowce strategiczne, niezbędne dla rozwijającego się przemysłu wojennego. Nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. To też nie brak surowców spowodował, że przemysł ten w tragicznym wrześniu 1939 został szybko unieruchomiony lub stracony.

Znalazłszy się po klęsce wrześniowej w Rumunii, stanął, jako znawca tamtejszych stosunków, na czele komitetu opieki nad uchodźcami i przyczynił się w walnie do złagodzenia ich losu — dzięki wykorzystaniu dawnych kontaktów. Krótco przed upadkiem Francji wyjechał do Paryża. Wydostał się wprawdzie z odmetów klęski, ale nie do Wielkiej Brytanii. Utknął w Lizbonie, gdzie do końca wojny pracował jako delegat rządu londyńskiego dla spraw „akcji kontynentalnej“, prowadzonej, w porozumieniu z naszymi ówczesnymi sojusznikami, w szerokim zakresie przeciw Niemcom hitlerowskim.

Po wojnie wydawał w Londynie przez 10 lat periodyk „Eastern Europe“, informujący czytelników anglosa-

skich wnikliwie i obiektywnie o wydarzeniach i przeobrażeniach za żelazną kurtyną. Zdobywszy sobie jako redaktor tego pisma opinię pierwszorzędnego znawcy zagadnień wschodnio-europejskich, zwłaszcza sowieckich i gospodarczych, stał się później współpracownikiem wielu polskich, brytyjskich, amerykańskich i francuskich czasopism i instytucji. Niezależnie od tego, wygłaszał często odczyty, i to nie tylko na tematy gospodarcze, nacechowane zawsze zarówno zdumiewającą erudycją i wnikliwością, jak i samodzielnością i śmiałością wniosków i przewidywań.

Choć ta różnorodna działalność publicystyczna, wymagająca żmudnej i ciągłej pracy badawczej, absorbowała go przede wszystkim, nie zaniedbywał ani domowych obowiązków, ani stosunków koleżeńskich, ba nawet powracał od czasu do czasu do swojej pierwotnej specjalności — rozgryzania szyfrów. Tak np. przed kilku laty rozwiązał, na prośbę ks. Józefa Jarzębowski, niestrudzonego badacza powstania styczniowego, szyfr, którym posługiwał się Romuald Traugutt, a na prośbę wydziału historycznego uniwersytetu w Cambridge szyfr jeszcze starszy, bo używany w XVIII. wieku przez biskupa Załuskiego w jego tajnej korespondencji z Watykanem.

Toczony od dłuższego czasu nieuleczalną, jak się okazało, chorobą, płk. Kowalewski nie poddawał się jej do końca, wierząc, że ją przemoże. Jeszcze na kilka dni przed zgonem, wertował niestrudzenie książki, pisma i notatniki, dyskutował na różne tematy, snuł plany dalszych prac, dopytywał o kolegów itd., jednym słowem zachował do końca swoją niemal przysłowiową energię i aktywność. Zachował również cechującą go od lat prostotę, pogodę, skromność i zaiste wyjątkową pamięć, nie mówiąc już o jego głębokim umiłowaniu sprawy, której przez całe życie tak ofiarnie, różnorodnie i często skutecznie służył, innymi słowy — niepodległości naszej ojczyzny.

Toteż można bez okolicznościowej przesady stwierdzić, że straciliśmy przedwcześnie człowieka niepospolitego, którego niemordowana energia, ogromna pracowitość, rozległa wiedza i wielorakie talenty mogłyby nam jeszcze bardzo się przydać. Choć nie było mu dane wyróżnić się w bojach, należał niewątpliwie do naszej przedwojennej elity oficerskiej, a także swoją późniejszą, różnorodną, rzetelną i płodną działalnością zasłużył w pełni na trwałą pamięć i cześć.

Kazimierz Głabisz

„SŁOŃCE SŁAWY”

Przed kilku tygodniami, nakładem SPK—Gryf Publications Ltd., została wydana książka śp. Zygmunta Nowakowskiego „Wieczory pod Dębem”. Przedmowę do niej napisał dr Leopold Kielanowski. Zilustrowała Irena Ludwig, której dziełem także jest obwoluta.

Książkę do druku opracowała dr Lidia Ciotkoszowa, co było nielada pracą, gdyż książka jest wyborem z kilkuset felietonów o historii Polski, które śp. Nowakowski wygłaszał na falach Rozgłośni Polskiej Radia Wolnej Europy.

Cieszyły się one ogromnym powodzeniem wśród słuchaczy. Było pragnieniem wykonawców testamentu śp. Autora, by w ten sposób uczcić Jego pamięć.

Lecz w przekonaniu wydawców i Rozgłośni Polskiej Radia Wolnej Europy, która udostępniła im materiały, książka ta spełni także inny cel, zwłaszcza w Roku Milenijnym.

Udostępnia bowiem szerokiemu ogółowi z olbrzymim talentem literackim napisany popularny wykład historii Polski.

Młodzież, i nie tylko młodzież, wczuć się może czytając tę książkę w piękno i wielkość naszej narodowej przeszłości.

Drukujemy dziś urywki rozdziału XVIII: pt. „Słońce Sławy” z okresu panowania Stefana Batorego.

(Red.)

Matejko malował płótna olbrzymie, w których za czasów niewoli odtwarzał Polskę wolną. Rozebraną przez zaborców, podzieloną na trzy części Matejko łączył w całość potężną. Martwą wskrzeszał. Biedną, szarą albo i nagą odziewał we wszystkie blaski, barwy i tęcze. Bezbronnej dawał do ręki miecz. Był w malarstwie tym, czym trójca trzech wieszczów — Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Zygmunt Krasiński — w poezji, czym Fryderyk Szopen w muzyce. Gdy rozeszła się po Krakowie nowina, że Matejko maluje króla Batorego, miasto oszalało z niecierpliwości. Ludzie nie mogli się doczekać otwarcia wystawy. Doprowadzeni do białej gorączki wyłamałi potężną bramę Pałacu Spiskiego. Gdy wdarli się do sali, zatkało im dech. Zaniemówili. Król patrzył na nich! Batory! Nieruchomy, siedzący na majestacie, malowany, ale groźny. Batory! Ten właśnie, który na sejmie powiedział, że nie jest i nie chce być królem malowanym.

* * *

Potężny król! Współczesny, sławny filozof francuski Montaigne mówi o Batorym, że był „jednym z największych monarchów naszego wieku”. Kochanowski porówna króla Stefana do Bolesława Chrobrego. Słusznie! Ten król jest jedną z kolumn, które wyznaczają drogę wiel-

kości w naszych dziejach: Chrobry, Kazimierz Jagiellończyk, Batory, Piłsudski... Król Batory ma trzy wilcze kły w swym herbie. Ma kark szeroki, mocny, właśnie jak wilk. Znamy go z portretu we florenckiej galerii Pitti, znamy z wizerunku u misjonarzy krakowskich, który jest dziełem Marcina Kobera, znamy ze sztychów przeróżnych, znamy, przede wszystkim z obrazu Matejki. Miał lat 53, gdy królem Polski został. Kronikarz Bielski, tak go przedstawia: „Był panem wysokiej urody i krasny dosyć, twarzy pociągłej, pici rumiano-czarnej, włosów czarnych, a zębów dziwnie białych, nosa kęs zakrzywionego, z jakim pospolicie Atyllę malują”.

Wysoki, mocny, za życia siejący dookoła szacunek i grozę, po śmierci, po wiekach — siejący miłość. Czy umiał po polsku? Chyba z początku nie, lecz mówił po łacinie, a nawet znać musiał lepiej język starożytnych Rzymian, gdy przez dłuższy czas był studentem uniwersytetu padewskiego a z dziełami takimi jak Cezar albo Liwiusz i inni historycy rzymscy nigdy się nie rozstawał, czytając tych autorów także i w obozie.

Czy nauczył się po polsku w ciągu 10 lat panowania? Spotkałem się z twierdzeniem, że Batory opanował nasz język szybko, a nawet że

posługiwał się wyrazami jędrnymi, zaczerpniętymi jakby ze słownika pisarza Imci Mikołaja Reja z Nagłowic.

Stefan Batory pojawia się na zachmurzonym horyzoncie dziejów naszych w chwili, gdy Austria i Moskwa, ponad głowę Polski podają sobie ręce, gdy zarówno cesarz Maksymilian jak Iwan Groźny marzą o rozbiórce Polski. Batory, jadąc po koronę, ma pełną świadomość swego posłannictwa i mówi na wyjeździe z Siedmiogrodu: „Bóg pragnie cudowne rzeczy pokazać przeze mnie ku podziwowi całego chrześcijaństwa”. Miał plany olbrzymie, których nie udało mu się przeprowa-



Królowa Anna Jagiellonka



Kanclerz Jan Zamoyski

mu małżeństwu zostanie królem. Gdy prymas popiera, ze wszystkich sił Habsburga Maksymiliana, Annę, więc pośrednio Batorego popiera najmniej energicznie biskup Karnkowski. Zarówno on, jak porastający w pierze, przyszły wielki mąż stanu Zamoyski, wpadli na tę myśl, by wybrać „Piasta“ w osobie starej panny, ostatniej gałęzi dynastii Jagiellonów w Polsce.

Zamiast prymasa koronuje Batorego biskup Karnkowski i tenże biskup daje królowi na Wawelu ślub z Anną Jagiellonką. Batory jest królem Polski.

Mają wielu wrogów zarówno poza Polską, jak w samej Polsce, ma — nie mówię o rodzinie Zborowskich — jednego sprzymierzeńca. Jest nim postać potężna, Jan Zamoyski. Te dwie indywidualności uzupełniają się nawzajem i słusznie mówiono, że król, idąc na posiedzenie sejm, powinien iść zawsze w towarzystwie Zamoyskiego, a że Zamoyski, wybierając się na wojnę, powinien iść z królem Batory, choć nie pozbawiony talentów dyplomatycznych, uznaje przede wszystkim ofensywę, Zamoyski, który na polu walki okaże się dobrym dowódcą, w polityce zewnętrznej głosi raczej zasadę defensywy. Lecz jest żelaznym człowiekiem, jak królem żelaznym jest Batory. Mówiąc o panowaniu tego władcy, myśleć musimy równocześnie o Zamoyskim. Trudno ich oddzielić i obaj, niemal w stopniu jednakowym, ponoszą odpowiedzialność za losy Polski w okresie 10-lecia rządów Batorego.

Jest to epoka piękna i wielka, ale nad nią już odzywa się posępny głos Kassandry, wieszczki, która wyprorokowała upadek Troi. Dnia 12 stycznia 1578 roku, odbyła się w Jazdowie pod Warszawą pierwsza wielka premiera sztuki politycznej p.t. „Odprawa posłów greckich“. Napisał tę sztukę Jan Kochanowski, uświetnić zaś miała wesele Zamoyskiego z pierwszą jego żoną, Radziwiłówną. Nie wiemy, kim byli wykonawcy tej sztuki, nie wiemy, ile razy ją grano, ale głos jednej z głównych postaci tego dramatu, zatem złowróbnny głos Kassandry, przetrwał wieki.

Sztuka jest krwawą satyrą. Mówi o prywatnie, o kłótniach sejmowych, o tym, że w Polsce zamiera duch

rycerski, że warcholstwo bierze górę nad interesami państwa. Lecz sztuka Kochanowskiego nie jest płacziwa. Ona budzi ze snu, i w samym finale rzuca hasło ofensywy w sposób najbardziej wyraźny, nie ulegający wątpliwości:

Na każdy rok nam każą radzić o
obronie:

Ba, radźmy też o wojnie, nie
wszystko się brońmy;
Radźmy, jako kogo bić: lepiej niż
go czekać!

Czy między sztuką Kochanowskiego a wyprawą wojenną przeciw Moskwie istnieje ścisły związek przyczynowy? Trudno odpowiedzieć. To pewna, że wkrótce po warszawskiej premierze znalazły się pieniądze, jak znalazło się wojsko. Król nie czeka na dalsze podboje, dokonywane przez Iwana Groźnego, lecz uderza. Uderza i zwycięża,

* * *

Za czasów Iwana Groźnego znalazł się pewien wynalazca, chłop, któremu zachciało się latać po niebie. Zbudował jakiś dziwny aparat, jakiś samolot a raczej szybowiec i, ściągnięty do Moskwy przez bojatorów, urządził popis, próbny lot. Podobno udało mu się przelecieć nad dachami kilku domów, gdy jednak car usłyszał o tym eksperymencie, kazał owego Ikaru-muzyka wbić na pal, aby chłopom nie przewracało się w głowie. Innemu Ikarowi, był nim Włoch, niejaki Boratini, powiodło się znacznie lepiej w Polsce za czasów tylko trochę późniejszych, bo za Władysława IV-go. Próby



Towarzysz husarski
wojska litewskiego

dzić, bo umarł ledwie w 10 lat po wstąpieniu na tron Polski.

Batory nie przeszedł do historii z przydomkiem „Wielkiego“, choć spotkamy ten przydomek w żartobliwej piosence, śpiewanej na nutę poloneza: „Król Stefan Batory Wielki, gromił Turki i Tatary, a nie nosił kamizelki...“ Nie, nie nosił, za to nosił strój węgierski, długi, podszyty sobolami. U Matejki ma na sobie złotą szatę, zazwyczaj jednak wolał barwę szkarłatną. Król potężny. Nuncjusz papieski zanotował, że „Mistyczna wiara bije od jego postaci“, nam wszelako wydaje się, że od jego postaci bije przede wszystkim siła, choć pono wiele posiadał osobistego wdzięku i potrafił uprzejmością zjednywać sobie ludzi.

Polska w roku 1576 ma równocześnie aż czterech królów. Za wielu jak na jedno państwo. Policzmy: Henryk Walezy, cesarz Maksymilian II, Stefan Batory. A kto czwarty? Kobieta, mianowicie siostra Zygmunta Augusta, Anna Jagiellonka. Została wybrana jako „Piast“, przydano jej zaś za małżonka Batorego. Czterech królów!

Elekcja Anny Jagiellonki odbyła się, dla dokładności, aż 2 razy, więc najpierw w Warszawie, następnie zrobiono jakby poprawiny w Jędrzejowie znowuż stawiając warunek, by poślubiła Batorego, który dzięki te-

przeprowadzał na oczach króla i już wtedy zakiełkowała w Warszawie myśl zaprowadzenia stałej komunikacji lotniczej z Konstantynopolem, przy czym wyliczono, że przelot z Warszawy nad Bosfor nie powinien trwać dłużej niż 12 godzin. Wynalazcę obsypał nasz król złotem. Car kazał wynalazcę zabić; w Polsce trzos dukatów, w Rosji — pal.

Dwa różne światy. Batory to rycerz, prawdziwy „Bellator Christianus“, który w pojedynku chce rozstrzygnąć spór między dwoma państwami. Iwan Groźny to tchórz i kłamca i obłudnik i tyran. Ale ten, odznaczający się taką ludzkością, Batory, nie był wcale królem miękkim, umiał wybuchnąć, umiał rąbnąć słowa prawdy i ledwie koronowany, na sejmie toruńskim wygarnął posłom prosto z mostu: „Nie w chlewie, lecz wolnym człowiekiem jam się urodził i zanim do tej ziemi przybyłem, nie brakło mi jedzenia ani odzienia; wolność swą Kocham i będę jej strzegł. Z woli bożej wyście mnie królem swym obrali, na wasze to prośby i nalegania tu przybyłem, wyście mi koronę na głowę włożyli; jestem więc królem waszym, ale nie glinianym ani malowanym; chcę królować i nie ścierpię, by mi ktokolwiek grał po nosie! ... strzeżcie sobie swej wolności, ale od swawoli — wara!“.

„By nie szło o sławę“... Batory walczył przez całe 10 lat swego panowania właśnie o sławę. Jak Napoleon chce zdobyć niemal cały świat. Na sejmie warszawskim zawołał: „Bóg mi świadkiem, że gdybyście nie odmówili mi środków na konieczną potrzebę Rzeczypospolitej, to pomyślałbym o podboju nie tylko Moskwy, ale całej Północy“. Potrzeba owych środków, potrzeba pieniędzy na prowadzenie wojen, sprawiła, że Batory przegrał kilka spraw niezmiernie doniosłych. Nie przydusił, nie zdeptał Gdańska, lecz zadowolił się kontrybucją w wysokości 200 tysięcy guldenów, których właśnie potrzebował na wojnę. Przegrał sprawę Prus Książęcych, zamiast je wcielić do Polski. Znowu pieniądze, ich potrzeba wpłynęła na to, że Hohenzollernowie utrzymali się przy Prusach. Przegrał sprawę na polu sądownictwa, dając sobie i swym następcom wydrzeć apelację. I zno-

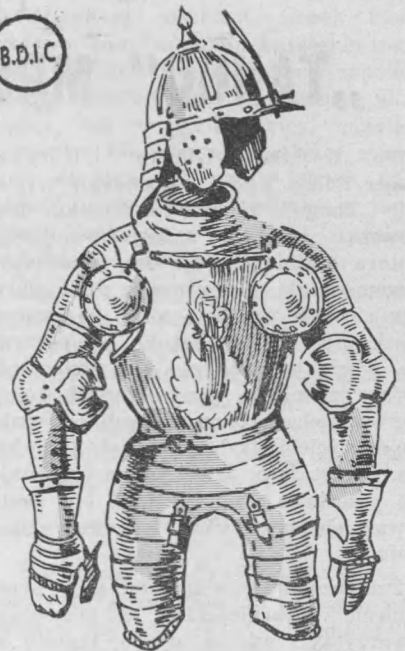
wu odegrały tu rolę zasadniczą pieniądze, których potrzebował na wojnę. Szlachta uchwaliła podatki nie za darmo.

Lecz był to ostatni król polski, który na przekór konfliktom, potrafił żyć w zgodzie i w niezwyklej harmonii z narodem. Zwycięstwa króla były zwycięstwami całego narodu, jego sława była sławą Polski.

Krótkich 10 lat panowania Batoryego wypełniają wojny zwycięskie. Lecz na tych wojnach rzecz się nie kończy. Uruchomił i zmodernizował kopalnie olkuskie. Jest właściwym twórcą poczty polskiej. Oczywiście, istniała przed nim i jej ukryte początki sięgają czasów Bolesława Chrobrego. Uniwersytet krakowski we własnym zarządzie utrzymywał komunikację pocztową z wszechnicami włoskimi i z uniwersytetem paryskim. Poczty utrzymywał Gdańsk i miasta należące do związku hanzeatyckiego, korespondując przez Królewiec z Rygą a poprzez Szczecin i Hamburg z Amsterdamem. Zygmunt August otwiera pocztę zagraniczną między Krakowem a Wiedniem, Wenecją, Mediolanem i Rzymem, przy czym osoby prywatne mogą z tej poczty korzystać w pewnej mierze, lecz Stefan Batory jest patronem poczty powszechnej wewnątrz Polski. Opłata za list w granicach olbrzymiego państwa wynosi 4 grosze bez względu na odległość. Zważmy, że Anglia w pierwszej połowie XVII wieku wprowadza opłaty różne, zależnie od ilości mil.

Jest to król w całym słowa znaczeniu nowożytny. Umie świetnie posługiwać się propagandą, którą poprzednicy stosowali raczej rzadko. Będąc w obozie, czuwa nad drukarnią polową, redaguje komunikaty zarówno na użytek wewnętrzny jak i dla zagranicy. Donosi o swych sukcesach, straszy wroga, podnieca równocześnie kraj i podtrzymuje go na duchu. Władca pełen tolerancji religijnej stosuje ostrą i konsekwentną cenzurę w dziedzinie propagandy. Zapobiega panice, nie pozwala, by z obozu rozchodziły się pogłoski czy plotki na temat głodu, zimna lub strat poniesionych przy oblężeniach i w bitwach. Walczy tylko przeciwko wojskom Iwana Groźnego natomiast broni ludności od krzywd, jakie mogłyby ją spotkać. Propaganda?

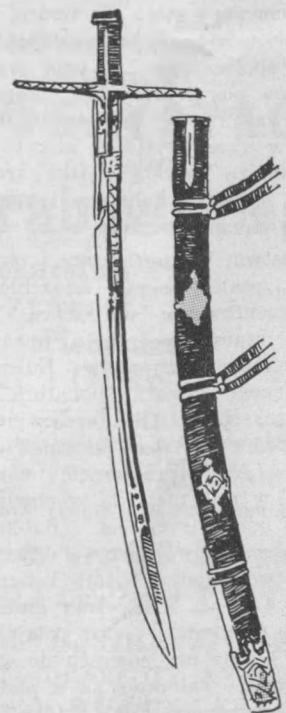
B.D.I.C



Półbroja husarska



Flaga kaprów bałtyckich



Szabla Stefana Batoryego

„TANGO“ MROŻKA W TEATRZE EMIGRACYJNYM

Po „Kochanym Kłamcy“ J. Kilty'ego Teatr Polski ZASP w Londynie wystawił „Tango“ Sławomira Mrożka, najnowsza sztukę, najpopularniejszego autora polskiego. Jest ona przeciwieństwem sztuki historycznej, gdyż dotyczy nie tyle współczesności, ile przyszłości, a zatem jest sztuką spekulacyjną. Akcja jej rozgrywa się wtedy, gdy żyjące pokolenie rozchełstanych teddy boy'ów, ucharakteryzowanych na epokę fin-de-siècle'u, podstarzeje się i docho-wa dorastające dzieci, które zbuntują się przeciwko nim, tak, jak oni zbuntowali się przeciwko starszemu pokoleniu.

Proroczemu i wizjonerskiemu przesunięciu terażniejszości w przyszłość towarzyszy twórcze ujęcie tematu w formach reguł zarysowanych we współczesnym teatrze absurdu o podwójnej genealogii: teatru dialektycznego G.B. Shaw i nadrealistycznego formizmu S.I. Witkiewicza (Patrz: „O. B.“ Nr 25/1145 z 18.6.1964). W tym świetle symbole i paradoksy Mrożka stają się zupełnie zrozumiałe dla widza, o czym świadczy żywa reakcja i uznanie widowni.

Narastającą pajdokrację symbolizuje bohater sztuki, student medycyny. Artur (debiut Krzysztofa Jakubowicza). Zbuntowawszy się przeciwko znużeniu rozkładowi obyczajowemu i moralnemu rodziców, obejmuje on nad nimi komendę i stara się wrócić do dawnych czasów zasad moralnych i porządku społecznego. I choć wszystko w sztuce postawione jest niejaki na głowie, zakrawając na koszmarną groteskę, w rzeczywistości mamy tu do czynienia ze zwykłą ludzką tragedią, z nagłą śmiercią bohatera i moralnym unicestwieniem otoczenia.

Porubstwu, kartografjstwu i na równi z nimi postawionemu anarchicznemu eksperymentowaniu w sztuce, które uprawia starsze pokolenie, towarzyszy lekko oglądzone chamstwo Edka lokaja, żyjącego z matką bohatera i zboczenie seksualne Ali, narzeczonej Artura. Niemniej Artur postanawia ożenić się z Alą i przywrócić normalne stosunki w rodzinie. Ale w chwili, gdy pozornie osiąga swój cel (Babka jego — pod grozą rewolweru — daje błogosławieństwo młodemu, które kończy słowami: „A teraz niech was diabli wezmą“ i... umiera), Artur zdaje sobie sprawę, że nie ma powrotu do starych form życia, załamuje się i pada pod ciosami brutalnego Edka, który korzysta z okazji, aby sięgnąć po opuszczo-

ną władzę. Sztuka kończy się symbolicznym, chochołowskim „Tangiem“ nowego władcy z wujem bohatera, typem doskonałego karierowicza i szmaty ludzkiej. Różne wątki mityczne w sztuce koronuje nasunięta Arturowi przez Babkę myśl odrodzenia całego pokolenia przez „ożywcza“ śmierć (motyw znany z „Wyzwolenia“) sięga mitu Ozyrysowego, chyba najstarszego ze wszystkich.

Wiedziony zmysłem prawdziwego poety i utalentowanego dramaturga, Mroźek pozostawia widzowi uzasadnienie sobie w duszy motywów załamania się swego bohatera. W ten sposób autor sztuki wprowadza widza, tak często zapominanego przez recenzentów — jako czynnego uczestnika sztuki. Bo teatr, to nie tylko to, co dzieje się w pudle scenicznym, ale to, co dzięki staraniom autora, aktora itd. dzieje się w umyśle czy sercu widza. Poza tym wszystko inne stanowi tylko pars pro toto. Tym chwytem Mroźek (ur. 1930) włącza się avant la lettre do teatru przez młodego uczonego brytyjskiego dr Gordon Pask'a (ur. 1928), który proponuje taką koncepcję dramatu i urządzeń na scenie i widowni, które pozwoliłyby wziąć widzowi czynny udział w kształtowaniu samego widowiska.*) Czytelnicy pisma otrząskani już z recenzjami cybernetycznymi z utworów poetyckich (Patrz „O.B.“ Nr 2/1018 z 11.I.1962 i Nr 4/1020 z 18.I.1962) nie będą tymi skojarzeniami teatru cybernetyką zaskoczeni.

*) Koncepcja teatru cybernetycznego Gordona Pask'a polega na tym, aby widzów zaopatrzyć w rodzaj instalacji sygnalizacyjnej, podobnej do instalacji używanej ostatnio na konferencjach międzynarodowych. Chodzi o to, aby każdy widz śledzący sztukę mógł przez naciśnięcie odpowiedniego klawisza dać wyraz swemu uznaniu, lub dezaprobachie dla wątku rozgrywanego się na scenie. Sztuka sama byłaby — według Pask'a — pisana w ten sposób, aby przewidzianych zostało kilka odmiennych rozwiązań akcji. Na tę ewentualność przygotowani byłiby nie tylko widzowie, ale i aktorzy. Liczydło elektronicznie (tzw. komputer) przekazywałaby autorowi i reżyserowi przeciętną reakcję widowni i kierunek nadawany przez nich rozwojowi akcji. Na tym kończyłaby się czynna rola widza.

J. O.

Jan Ostrowski

Sztuka była wystawiona i grana tak, jak na to nas tylko stać. Ogólną atmosferę dla sztuki starały się dać dekoracje T. Orłowicza, utrzymane według kanonów wnętrza secesyjnych. Tym razem jednak świetny dekorator nie poszedł dość daleko w kierunku deformacji czy stylizacji. Jest to cecha wadliwa całej inscenizacji sztuki, której wprowadzenie na scenę emigracyjną jest dużą zasługą teatru dr L. Kielańskiego. Jego technicznie bardzo staranna reżyseria dała sprawne i bardzo ciekawe przedstawienie, w sumie zupełnie udane, choć grane na ogół może nazbyt realistycznie. Większa deformacja w grze, w kierunku niesamowitości pozwoliłaby aktorom na większe oddalenie się od naturalizmu.

Aktorsko świetnie wypadł L. Biedrzycki (przedzierzgaający się zwykłym awansem scenicznym z tancerza na aktora) w roli Edka i H. Vogelfaenger, jako Wuj Eugeniusz. Lekko przecharakteryzowaną Babcia Eugenia była T. Lisiewicz. Dobrą sylwetkę Ali dała E. Suzin. Dobra, ale nie na miejscu, naturalnością grzeszyli rodzice: matka Eleonora — M. Buchwaldowa i ojciec Stomil — B. Urbanowicz. Główny bohater, syn Artur — K. Jakubowicz, mający już za sobą krótką przeszłość filmową, z godnym podziwu dla amatora opanowaniem ułożył przez całe przedstawienie swą trudną rolę. Dał maksimum tego, czego można było się po nim spodziewać.

Nie sposób tu dokonać porównania szczegółowego z poprzednio wystawionymi sztukami Mrożka, jak „Policja“ i na bliższą charakterystykę całej różnorodnej twórczości polskiego autora, odnoszącego zasłużenie coraz więcej sukcesów poza Krajem. Zresztą trzeba stwierdzić, że raczej już przeholowano w poprzedzaniu przedstawień zawilimi komentarzami wprowadzającymi w prasie, gdy chodzi o sztukę dostępną dla każdego widza obdarzonego zdrowym rozsądkiem, a bynajmniej nie zamkniętą dla wielu, ezoteryczną. Każdy miłujący teatr winien był ją zobaczyć, a wszystkim, którzy przyczynili się do jej wystawienia należy się wdzięczność.

Po sztuce autora obcego (Kilty'ego) i krajowego (Mrożka) przyszła kolej na sztukę autora emigracyjnego. Stanie się tej zasadzie do pewnego stopnia zadość, jeżeli spełnią się zapowiedzi wystawienia „Natretów“ J. Bielawskiego w twórczej adaptacji Mariana Hemara.

ŚLEPA KISZKA

B.D.I.C

Ślepa kiszka jest narządem, który znajdujemy tylko u człowieka i u niektórych gatunków małp. Jest to organ szcążkowy, będący zakończeniem grubego jelita, które znajdujemy u wszystkich, nawet niższych, form zwierzęcych. Kształt i długość ślepej kiszki mogą być bardzo różne, przeciętnie długość jej wynosi od 8-ciu do 10-ciu centymetrów. Ślepa kiszka otoczona jest błoną, która łączy się z błoną jelita grubego.

Do końca XIX stulecia zapalenie ślepej kiszki było prawie zupełnie nieznanne. Oczywiście, musimy przyjąć, że schorzenia i stany zapalne ślepej kiszki istniały i przedtem, ale przy obecnym stanie wiedzy medycznej możemy śmiało zakładać, że zapadanie na ślepą kiskę było wtedy rzeczywiście wypadkiem odosobnionym. Z drugiej strony wiadomo, że choroba ta istniała już na wiele wieków przed Chrystusem, czego dowodem jest choćby odkrycie w Egipcie mumii egipskiej księżniczki. Oględziny archeologiczne mumii tej młodej kobiety wykazały, że prawdopodobną przyczyną jej wczesnej śmierci była perforacja ślepej kiszki.

Zagadką zapalenia wyrostka robaczkowego — przyczyny tego zapalenia, oraz niebывały wzrost tego schorzenia i przemiana z mało znanej i bardzo rzadkiej choroby w jedno z najczęstszych i najpoważniejszych zapaleń jamy brzusznej w geograficznych granicach świata zachodniego — pozostaje ciągle pytaniem, na które nie ma odpowiedzi.

Domyślamy się, że pewne okoliczności przyczyniają się do zapalenia wyrostka robaczkowego, chociaż nie są jego bezpośrednim powodem. Do takich okoliczności medycyna zalicza: 1) niecałkowicie przetrawione, twarde cząsteczki jedzenia, które często znajdujemy w wyciętej na skutek zapalenia ślepej kiszce; cząsteczki te zamiast być przez organizm wyeliminowane, trafiają do wyrostka, blokując go. 2) Nadmierne używanie środków przeczyszczających, takich jak np. oleju rycynowego, przez pacjentów z „bólami brzucha”; przyjęcie oleju rycynowego powoduje gwałtowne skurcze grubego jelita, a tym samym spowodować może perforację wyrostka, który będąc już w stanie zapalnym, powodował też właśnie „bole brzucha”. Ważnym czynnikiem są także skłonności rodzinne, czyli dziedziczność. Dzisiaj niezaprzeczalnym

faktem jest, że predyspozycja do niektórych chorób jest cechą rodzinną. W tym wypadku zapalenie wyrostka robaczkowego tłumaczymy prawdopodobieństwem rodzinnej deformacji tego narządu, która predysponuje do infekcji.

Ciekawym zjawiskiem jest rola, jaką odgrywa tu rasa i sposób odżywiania się. Zapalenie ślepej kiszki jest najczęstsze u Europejczyków, Amerykanów i Australijczyków, a więc u ludzi o wysokim poziomie cywilizacji materialnej — rzadkością jest natomiast u ras afrykańskich, Polinezyjczyków i Azjatów. Jest rzeczą zastanawiającą, że gdy człowiek z jednej z tych ras wyemigruje na kontynent, na którym zapalenie wyrostka zbiera swoje żniwo — człowiek taki szybko traci wrodzoną odporność.

Badania wykazały, że wypadki zapalenia wyrostka mogą występować grupowo, po kilka przypadków naraz. Niektóre medyczne szkoły myślenia wyznają teorię, że w schorzeniu migdałów i wyrostka zachodzi wielkie podobieństwo, gdyż oba te organy posiadają skład tkankowy o dużym podobieństwie. Teoria ta jednak nie jest ogólnie przyjęta.

Schorzenie wyrostka robaczkowego prawie nigdy nie zdarza się przed drugim rokiem życia; spotykamy go częściej u dzieci już nieco starszych, najczęściej zaś występuje u osób dorosłych, między 20-tym a 30-tym rokiem życia. Po tym okresie wieku prawdopodobieństwo zapadania na schorzenie jest mniejsze, nie wyklucza to jednak ataku w każdym wieku.

Przy zapaleniu wyrostka pacjent opowiada często lekarzowi, że już poprzednio miał kilka lekkich, podobnych ataków. Atak może rozpocząć się o każdej porze, ale najczęściej ma miejsce wczesnym rankiem, budząc pacjenta ze snu. Typowym pierwszym objawem jest ogólny i nie umiejscowiony z początku ból brzucha, który powoli lokalizuje się w okolicy pępka. W wypadkach ciężkich — po trzech lub czterech godzinach występują wymioty. W wypadkach lżejszych pacjent odczuwa jedynie mdłości i skarży się na brak apetytu. Atakowi towarzyszyć może lekka temperatura, a w wypadkach ciężkiego zapalenia wyrostka gorączka wzrasta do ponad 38 stopni. Po 24-ch godzinach pacjent zaczyna odczuwać ból w prawej, dolnej części brzucha.

Nie każdy ból brzucha jest jednak spowodowany atakiem ślepej kiszki. Objawy bólu w jamie brzusznej mogą być wywołane także przez zapalenie płuc i opłucnej, pęknięcie wrzodu w żołądku, lub w dwunastnicy, zapalenie woreczka żółciowego, zapalenie gruczołów, znajdujących się w błonie, która otacza grube jelito; zapalenie nerek, skręt kiszki, a u kobiet — zapalenie jajników i ciąży pozamaciczna.

Zdarzają się przypadki, że zapalenie wyrostka robaczkowego nie zostało stwierdzone na czas i pozostawione niejako samo sobie. W tym wypadku często dokoła wyrostka tworzy się wrzód. Jest on wyczuwalny pod palcami jako zgrubienie w prawej, dolnej części jamy brzusznej.

Leczenie ataku ślepej kiszki jest zawsze chirurgiczne. Jest to operacja przeważnie szybka, lekka i nieskomplikowana. Skomplikacje po operacji wyrostka są rzadkie, ale zdarzają się, aby wyliczyć następujące: utworzenie się wrzodu w miejscu po wyciętym wyrostku, pooperacyjny paraliż jelita, skręt kiszki, spowodowany przez pozostawienie w jamie brzusznej błonki otaczającej wyrostek. A także — jak przy wszystkich operacjach — niebezpieczeństwo zapalenia płuc. Może się też zdarzyć, że w kilka lat po wycięciu wyrostka robaczkowego w bliźnie po nim następuje ruptura. Ten ostatni przypadek jednak jest dosyć rzadki.

Dr Michał

MOŻESZ WYSLAĆ

WSZYSTKO

przez

Grabowskiego

Lekarstwa

Żywność

Pieniądze

Owoce

Ortaliony

(bez podpink i z podpinką)

i tak dalej

Nowy cennik z kalendarzem 1965

Każdy artykuł do wyboru

JEŚLI LEKI TO Z APTEKI

M. B. GRABOWSKI

175, DRAYCOTT AVENUE,
London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

ROLA CZŁOWIEKA W KOSMOSIE

ZA PÓŹNO już sprzeczać się czy maszyna czy człowiek powinien badać przestworza. Decyzja została po- wzięta. Od dłuższego czasu astronauta badają otoczenie naszej planety, i przy- gotowują się do podróży na księżyc, czy nawet dalej: na planety Venus lub Mars. Wiadomo, że przedsięwzięcia te są bardzo niebezpieczne, uczeni starają się jednak dołożyć wszelkich starań, aby ryzyko zmniejszyć do minimum. Wyłania się teraz pytanie czy człowiek wybierający się w dłuższą podróż bę- dzie mógł reagować normalnie, zbiera- jąc informacje, oraz wysnuwać wnioski, i czy może to robić lepiej od maszyny, bo przecież najcenniejsze informacje pochodzą właśnie od astronautów z ich osobistych spostrzeżeń i wrażeń.

Rosyjski astronauta Leonow, pierw- szy człowiek, który opuścił kabinę stat- ku kosmicznego w przestworzach, zachował całkowitą zdolność orientacji i kontroli swoich ruchów, będąc zawie- szony w przestrzeni kosmicznej na lin- ce uwiązanej do statku kosmicznego. Astronauta zamknięty w kabinie, rea- guje na głód, pragnienie, zmęczenie, potrzebę snu — w zależności od wa- runków otoczenia, a także wyczerpa- nia pracą i zmęczeniem nerwowym. Lekar- kie stwierdzili jednak, że funkcje psycho- logiczne jak i systemu nerwowego zostają zakłócone. Były one podobne do tych, jakie wywołuje zwykłe zmę- czenie i wyczerpanie; na przykład strata na wadze, zmiany hormonalne w krwi i w moczu.

Osiągnięcia pierwszych astronautów były raczej skromne. Poza kilkoma bio- logiczno - medycznymi doświadczeniami, mieli oni za zadanie obserwowanie syg- nałów świetlnych z ziemi, fotografowa- nie naszej planety, formacji chmur, a także nieba i gwiazd. Nawet jeszcze teraz, w kilka lat po wystrzeleniu pierwszego astronauty w przestworza, rola człowieka w samych badaniach o- granicza się do manipulacji instrumen- tami i obserwowania doświadczeń, któ- re zostały zaplanowane w laboratoriach na ziemi. Powodem tych skromnych ra- my wyznaczonego zadania jest przede wszystkim brak miejsca w kabinie kos- micznej.

Amerykański statek kosmiczny „Apol- lo“, w którym Amerykanie mają za- miar wystrzelić pierwszego człowieka na księżyc, będzie najpierw wypróbo- wany okrążając ziemię przez okres 14-tu dni. Ponieważ wielkością swoją prze- kracza wszystkie inne, dotychczas wy- strzelone statki kosmiczne, będzie moż-

na więc ulokować o wiele więcej in- strumentów w jego wnętrzu. Będą one obsługiwane przez kosmonautów. Tak np. do badań nad zachowaniem się ży- jących komórek w stanie nieważkości potrzebny jest mikroskop, którym trze- ba stale manipulować, a na dodatek ko- mórki te wymagają pożywek. Jak więc widzimy, byłaby to funkcja prawie nie- możliwa do spełnienia przez maszynę.

Zasadniczym zadaniem statku kosmi- cznego „Apollo“ będzie dostarczenie pod- stawowych informacji o fizycznych wła- snościach księżyca, i jego otoczenia. Zanim pierwszy człowiek odważy się wyruszyć w tę podróż, będą przeprowa- dzone próby ze statkami kierowanymi z ziemi. Ich zadaniem: dostarczenie in- formacji o możliwościach lądowania na księżycu, warunkach atmosferycznych i geologicznych. W czasie swej pierw- szej wizyty na księżycu, kosmonauci spędzą tam tylko kilka minut. Pozo- stawiają natomiast dużą ilość instrumen- tów, które nadawać będą informacje o księżycu przez dłuższy czas.

W późniejszym stadium planowane jest zbudowanie laboratorium na księ- życu, do którego zadań należałoby ba- danie zjawisk zachodzących w kosmo- sie, a których obserwacja z ziemi jest niemożliwa wskutek zakłóceń w atmos- ferze. Do bardziej odważnych przed- sięwzięć będą należały podróże na pla- nety Mars i Venus. Podróże na te pla- nety są już planowane w szczegółach w laboratoriach, wiele jednak jeszcze czasu upłynie zanim człowiek wyruszy w poszukiwaniu przygód w kosmosie.

WSPÓŁZAWODNICTWO W KOSMOSIE

Walka pomiędzy Rosją i Stanami Zjednoczonymi o przewagę w kosmosie nabiera coraz większego rozpędu. Obec- nie przeciętnie co trzy i pół dnia wy- strzeliwuje się jednego satelitę. A prze- cież od wystrzelenia pierwszego „Sput- nika“ minęło dopiero 8 lat. Koszty z tym związane sięgają astronomicznych sum. Wystrzelenie jednego satelity kos- tuje ponad milion funtów, tj. około 3 milionów dolarów, nie wliczając w to kosztu budowy samego satelity. Koszt badań i doświadczeń nad każdym sate- litą — sięga także milionów. Więk- szość satelitów ma przeznaczenie wojs- kowe, jako tzw. „Szpiedzy w niebio- sach“, których zadaniem jest dostar- czanie informacji o obiektach wojsko- wych, ruchach wojsk i wykrywanie wy- buchów atomowych.

O postępie jaki poczyniono w technice raketowej świadczy ilość wystrzelonych satelitów. Tak np. w roku 1957 wy- strzelono dwa, a już w roku 1964 — 87. W roku 1965 (do 30 listopada) wy- strzelono ich aż 98.

Jakie są plany na przyszłość, trudno jest przewidzieć, albowiem Rosja nie udziela żadnych informacji, a Amery- kanie nie robiąc tajemnicy ze swych osiągnięć, unikają wszakże ujawniania szczegółowych planów.

CIEKAWOSTKA Z MEDYCyny: HIPOTERMIA

Życie małej dziewczynki, umierającej na zapalenie opon mózgowych, zostało uratowane przez obniżenie temperatu- ry jej ciała do 30 stopni Celsjusza. Obniżenie temperatury ciała czyli ni- potermia jest jedną z nowszych, lecz już bardzo szeroko stosowanych metod leczenia. Gdy temperatura ciała zostaje obniżona, tempo przemiany materii zo- staje w organizmie zwolnione, a zapo- trzebowanie tkanek na tlen jest także niższe. To powoduje, że dopływ krwi do mózgu może być zatrzymany na dłużej bez szkody dla pacjenta. W nor- malnych warunkach tkanki mózgowe zaczynają obumierać po upływie trzech minutach od odcięcia tlenu dostarcza- nego przez krew. Jeżeli jednak tem- peratura ciała zostanie poprzednio obni- żona, operacja serca na przykład, w czasie której krążenie krwi jest zwol- nione lub zatrzymane zupełnie — staje się możliwa do urzeczywistnienia.

Jedno z nowszych sprawozdań me- dycznych ze Stanów Zjednoczonych wys- nuwa wniosek, iż obniżenie tempera- tury ciała może drastycznie zmniejszyć śmiertelność z powodu paraliżu poro- dowego u noworodków. Paraliż poro- dowy powodowany jest niedoborem tlenu w mózgu u noworodków, wskutek opóź- nienia pierwszego oddechu po przyjściu na świat. Uczeni amerykańscy przy- puszcza, że zanurzenie noworodka w lodowatą zimną wodzie, które powinno spowodować obniżenie zapotrzebowania na tlen, stworzy możliwość uratowania noworodka — przy dodatkowej zresztą pomocy sztucznego oddychania.

W ciągu ostatnich kilku lat hypo- termia była stosowana w leczeniu wy- padków właściwie beznadziejnych. Tak więc z laboratoriów fizyczno-biologicz- nych wpływa jeszcze jedno spostrze- żenie, o wielkich możliwościach dla me- dycyny.

W. Lewandowski

Z ŻYCIA POLSKIEGO W ŚWIECIE

POLSKA UROCZYŚĆ W SZWAJCARII

27-go listopada 1965 r. w m. Grenchen w kantonie Solura odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika jednego z bohaterów powstania styczniowego, gen. Mariana Langiewicza.

Przygotowaniem uroczystości zajmował się specjalnie w tym celu powołany Komitet z prezesem S.P.K. w Szwajcarii i prezesem Z.O.P., płk. S. Karolusem na czele. Podejmując inicjatywę ofiarowania pomnika, społeczeństwo polskie w Szwajcarii chciało dać wyraz wdzięczności dla gminy Grenchen, której władze nadając w r. 1865 obywatelstwo honorowe gminy umożliwiły w ten sposób zwolnienie gen. Langiewicza z więzienia, w którym osadzili go władze austriackie.

Autorem i ofiarodawcą pomnika jest zamieszkały w Szwajcarii artysta rzeźbiarz Zygmunt Stankiewicz, b. żołnierz 2 D.S.P., która w r. 1940, po klęsce Francji przeszła na internowanie do Szwajcarii.

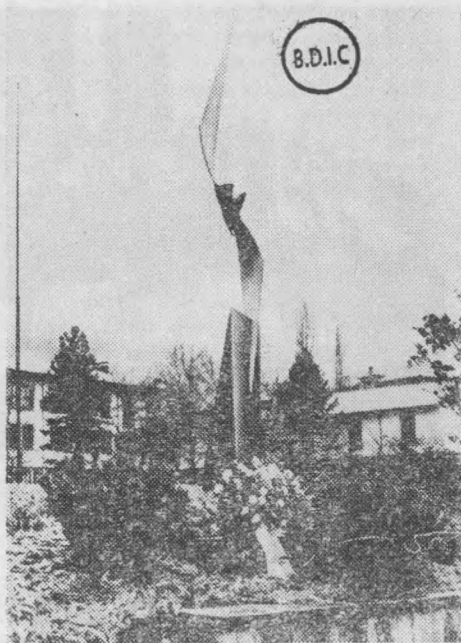
Odsłonięcie pomnika, którego dokonał płk. S. Karolus, nastąpiło po Mszy św. odprawionej przez ks. mgr. E. Franię. Przemawiali przy tej okazji płk. Karolus, który przedstawił okoliczności, w jakich aresztowano i osadzono w więzieniu gen. Langiewicza i następnie zwolnienia go w wyniku nadania mu obywatelstwa szwajcarskiego. Następnie przemawiał prezydent gminy E. Rothen, który dziękując w imieniu miasta za pomnik, podkreślił że m. Grenchen to symbol wolności, a pomnik obecnie odsłonięty uzmysławia nie tylko wolę wolności narodu polskiego, ale potwierdza też od stuleci trwającą przyjaźń polsko-szwajcarską. Płk. Karolus odczytał listy z życzeniami prezydenta Szwajcarii prof. dr H. Tschudiego i gen. Władysława Andersa.

P. Z. Stankiewicz wręczył prezydentowi miasta pięknie wykonany na pergaminie akt erekcyjny pomnika.

W uroczystości, mimo wyjątkowo złej pogody, wzięło udział kilkaset osób, w tym najwyżsi przedstawiciele władz kantonu Solura, rada m. Grenchen oraz liczne grono Polaków i Szwajcarów.

Po części oficjalnej odbył się w pięknie udekorowanej sali hotelowej obiad dla około stu osób.

Przy deserze, jako pierwszy zabrał głos przedstawiciel władz Federacji



Pomnik ku czci gen. Mariana Langiewicza w wykonaniu art. rzeźbiarza Zygmunta Stankiewicza i przez niego ofiarowany gminie Grenchen w kantonie Solura w Szwajcarii

Światowej SPK z Londynu p. Stanisław Lis, który podkreślił, że uroczystości w Grenchen przypomniały nam hasło „Szwajcaria podaje rękę Polsce“, hasło, które przewija się wielokrotnie w historii, od czasów Kościuszki, po dzień dzisiejszy. Emigranci, którzy opuszczali własny kraj pod presją wroga znajdowali miejsce na wolnej ziemi Helwetów, mieli prawo do życia kulturalnego i możliwość prowadzenia prac narodowych. Po przytoczeniu szeregu przykładów gościnności Szwajcarów na przestrzeni ostatnich stu lat, p. Lis powiedział: „Obecna polska emigracja polityczna tak jak i poprzednie z Kościuszką, Langiewiczem i innymi na czele zrodziła się z pobudek ideowych. Pozostaliśmy na obczyźnie jako żywy protest przeciw narzuconemu Polsce siłą brutalnemu systemowi komunistycznemu. Wybierając pozostanie poza Krajem nie kierowaliśmy się chęcią polepszenia sobie warunków bytu, nie nosiliśmy na obiecywane nam udogodnienia, na żenujący kompromis z własnymi przekonaniami w przedświadczeniu, że poza granicami Kraju możemy lepiej i skuteczniej służyć narodowi polskiemu. Wielu z nas, b. żołnierzy ostatniej wojny, korzysta z życzliwej i ciągle okazywanej przyjaźni tego kraju. „Szwajcaria zawsze podawała rękę Polakom“ — o tym starym, a nadal aktualnym powiedzeniu Polacy pamiętają i zawsze będą pamiętać“.

Z kolei gen. Wieczorkiewicz, po ogłoszonym z dużą swadą przemówieniu,

w którym dał krótki historyczny zarys polskich dążeń niepodległościowych, wręczył prezydentowi gminy Grenchen dla tejże gminy Złoty Krzyż Zasługi. Również udekorował gen. Wieczorkiewicz Złotym Krzyżem Zasługi płk. S. Karolusa i p. Z. Stankiewicza.

Po przemówieniach polskich zabierali jeszcze głos gospodarze, prezydent Gminy Obywatelskiej p. R. Eschwin, szwajcarski płk. brygadier von Erlach, którego przodek walczył w powstaniu 1863 roku i prezydent rządu kantonowego Solura dr Hans Erzer. Na sali czynny był kiermasz Książki Polskiej.

Całość uroczystości nagrywały telewizja i radio szwajcarskie, a prasa poświęciła temu wydarzeniu dużo miejsca.

POLSKI DZIEŃ LISTOPADOWY W TIELT

Tielt, jedno z miast Flandrii, leżące na szlaku walk 1 Dywizji Pancерnej przybrało w dniu 11 listopada uroczysty charakter. Po złożeniu wieńców i oddaniu hołdu poległym w obu wojnach światowych dalsze uroczystości odbyły się na ratuszu, z którego powiewały flagi polska i belgijska.

Przed wejściem do ratusza burmistrz miasta powitał delegację polską w osobach pp. S. Zajdenbajtla i S. Merły. Na sali obrad burmistrz miasta dr Henry Cools w przemówieniu wygłoszonym po flamandzku i francusku dał wyraz wdzięczności miasta Tielt dla Polaków za uwolnienie w roku 1944. „Jesteśmy wam wdzięczni i nigdy tego nie zapomnimy“. W odpowiedzi inż. Zajtenbajtel podkreślił zasługi dr Coolsa, który w czasie walk 1 Dyw. Panc. o Tielt opiekował się gorliwie rannymi żołnierzami. W dowód uznania jego zasług został on odznaczony przez gen. Andersa Złotym Krzyżem Zasługi. Odznaczenie to zostało mu wręczone w obecności pełnego składu rady miasta, przy hucznych oklaskach zebranych na sali kombatanów belgijskich.

Dr Cools powiedział: „W dniu wyzwolenia było 'gorąco'. Pamiętam, że była to godzina 7 rano dnia 8 listopada 1944 kiedy pierwszy czołg polski zatrzymał się na ulicy przy wejściu do miasta. Z czołga zeskokzył żołnierz i zbliżył się do mnie. Rozmawialiśmy przez jakieś 15 minut. Następnie on oddalił się w boczną ulicę. W tym momencie seria strzałów buchnęła z ulicy, w którą wkraczał czołgista. Widziałem jak padł. Ja leżałem również. Widząc, że się nie podnosi, przycołgałem się do niego... był ranny. Schwyciłem go w ramiona i nie wiem, jakim sposobem znalazłem się w mojej klinice. Natychmiast go operowałem, niestety, było za

późno. St. strzelec Stanisław Radomski — nie żył. Tak się nazywał. Miałem ponad setkę rannych polskich żołnierzy. Z kliniki nie wychodziłem. Wiem, że generał Maczek zatrzymał się u mojego ojca, ówczesnego burmistrza. Ale go nie widziałem, nie byłem w domu... nie miałem czasu". Dr Cools zakończył swoje opowiadanie ze łzami w oczach. Były to wspomnienia wdzięczności dla Polaków.

Ulica, na której padł żołnierz polski została nazwana ulicą św. Stanisława, patrona Polski i tego co oddał życie za wolność.

Po uroczystościach na ratuszu delegacja polska była podejmowana obiadem.

WALNY ZJAZD S.P.K. W NIEMCZECH

W notatce pod tym tytułem zamieszczonej w grudniowym nrze „Orła Białego“ opuszczono część zdania, które powinno brzmieć:

„W zakresie spraw organizacyjnych postanowiono znieść istniejącą jeszcze w tym ogniwie Radę SPK, ożywić działalność kół, zacieśnić kontakty między kołami a Zarządem Krajowym, zaktualizować okresowe informowanie społeczności polskiej w Niemczech o działalności Stowarzyszenia“.

Prostujemy również brzmienie dwóch nazwisk członków nowoobranego Zarządu SPK w Niemczech. Są to S. Krzosa i M. Litwiniak.

WYSTĘPY CHÓRU Z LES AGEUX W NIEMCZECH

Chór Gimnazjum Polskiego z Les Ageux we Francji odwiedził w listopadzie ub. roku kilka ośrodków polskich, dając występy z okazji uroczystości listopadowych.

9-go listopada Chór był główną atrakcją akademii w osiedlu Dortmund—Eving, gdzie wystąpił dwukrotnie: dla dzieci i osobno dla starszych. Dyrektor Gimnazjum M. Jurkiewicz wygłosił na tej akademii referat, pt. „Niepodległość i wielki jubileusz Tysiąclecia Chrztu Polski“.

11 listopada Chór śpiewał dla Grupy Transportowej 617 w Hamm, a wieczorem tego samego dnia w Steyerberg w Grupie polskiej 621. Następnego dnia młodzi śpiewacy dali występ w Fallingbostel dla Grupy 612, a 13 listopada w Bielfield na akademii, na której było 300 dzieci.

Dwa gimnazja angielskie, żeńskie i męskie w Hamm dowiedziawszy się o pobycie Chóru młodzieży polskiej, za-



Chór Gimnazjum Polskiego w Les Ageux pod dyktando prof. M. Waszaka na akademii święta 11 Listopada i Tysiąclecia Chrztu Polski w Hamm w 617 Grupie Transportowej Oddziałów Wartowniczych w Niemczech

prosiły go wraz z grupą taneczną „Syrrena“ z Dortmund do swych szkół, podejmując z wielką gościnnością swych polskich rówieśników.

Kierownikiem sympatycznego Chóru Gimnazjum w Les Ageux jest prof.

Waszak. Podkreślić należy z uznaniem serdeczną atmosferę, jaką otaczała młodocianych śpiewaków we wszystkich ośrodkach Oddziałów Wartowniczych, z których posypały się także hojne ofiary na Les Ageux.

ŻYCIE KULTURALNE POLSKIEGO LONDYNU

PROCES CHRYSTUSA: obraz życia kulturalnego nie byłby pełny, gdyby nie uwydatniono ożywienia i pogłębienia elementów intelektualnych w życiu religijnym. Znajduje to swój wyraz zarówno w systematycznych zebraniach, jak i w ruchu wydawniczym.

Z zebrzań rekordowym powodzeniem cieszył się odczyt prof. dr ks. Eugeniusza Dąbrowskiego, wybitnego biblisty, nt. „Proces Chrystusa w świetle badań współczesnych“. Odczyt był zorganizowany przez P.K.S.U. „Veritas“ i odbył się w wypełnionej sali sztandarowej Instytutu Polskiego i Muzeum im. W. Sikorskiego oraz sali sąsiedniej i niemal w całym hallu. Dzięki dobrze działającej instalacji głośnikowej i dobitnej dykcji prelegenta oraz popularnemu ujęciu wykładu wszyscy mogli wysłuchać

omówienia formalnej strony procesu Chrystusa przed sanhedrynem żydowskim w Jerozolimie i przed rzymskim namiestnikiem Ponckim Piłatem. Powołując się na bogatą literaturę przedmiotu prelegent podniósł okoliczności, wskazujące na winę czynników żydowskich, zwłaszcza saduceuszów, jak również na te, za które odpowiedzialność ponoszą rzymskie czynniki polityczne i wymiaru sprawiedliwości w ówczesnym Izraelu. Spór ten stanowi wciąż ciekawe i nawet roznamiętniające pole do dociekań i z uwagi na odległość epoki jest sprawą wciąż ostatecznie nie wyswietloną i nie zamkniętą.

Zaktualizował ją ostatnio Sobór Watykański przez wydanie deklaracji, która oczekuje na uzyskanie podpisu Papieża. Według niej nie wolno obarczać odpowiedzialnością za proces i śmierć Chrystusa wszystkich Żydów z czasów procesu, jak również nie wolno uważać ich za naród przeklęty, ani też dawać w nauce kościelnej upustu przejawom antysemityzmu. Jednocześnie wyrażone zostało ubolewanie, że takie przejawy miały miejsce w przeszłości. Po wykładzie prelegent odpowiadał na liczne pytania słuchaczy, dotyczące tematów mniej lub bardziej związanych z odczytem.

SPOTKANIE SOBOROWE: Kolejne spotkanie soborowe poświęcone było

wrażeniom z ostatniej sesji, przedstawionym przez czterech polskich obserwatorów, którzy niedawno powrócili z Rzymu: pp. A. Pospieszalskiego, L. Czosnowskiego, J. Tokarskiego i J. Płoskiego. Po zagajeniu wieczoru przez p. M. Kleczyńskiego zebranie przybrało formę wywiadu prowadzonego przez przewodniczącego p. A. Pośpieszalskiego z pozostałymi członkami zespołu. Zaczęto od najciekawszego pytania dotyczącego organizacji służby informacyjnej na Soborze, do czym rozważano kilka ważniejszych zagadnień rozpatrywanych przez ojców soboru, zwłaszcza związanych z Schematem XIII, dotyczącym stosunku kościoła do zagadnień świata współczesnego. Wywody zamknięto wypowiedziami w sprawie ogólnej oceny wyników Soboru, podnosząc jego szczególne znaczenie.

PRZEKŁAD SUMY: Katolickiemu ruchowi wydawniczemu przewodzi wciąż publikacja przekładu Sumy Teologicznej św. Tomasza z Akwinu na język polski. Ostatnio pojawiły się dwa dalsze tomy: tom 17 pt. „Roztropność” i tom 11 pt. „Sprawności”. Oba należą do Sumy podstawowej dla filozofii działania, tj. tej strony życia z której składa się głównie bytowanie ludzkie.

„Roztropność” tłumaczył ks. dr S. Belcha, „Sprawności” — o. F. W. Bednarski, O.P., dominikanin. Oba przekłady, zachowując pewne odrębności formalne w podawaniu przekładu, wprowadzają terminologię możliwie zrozumiałą dla człowieka nowoczesnego. Każdą, komu leży na sercu szczególnie ta sfera zagadnień dotyczących działania, będzie wdzięczny tłumaczom za podjęty przez nich trud. O tym, jak praca ich jest bliska temu, czym — w coraz większym stopniu — żyje człowiek współczesny, zaświadczyć może fakt bardzo znamienny. Oto prof. T. Kotarbiński, twórca teorii sprawnego działania zwanej prakseologią, w przekładzie angielskim swego „Traktatu o dobrej robocie” wymienia w bibliografii „Sumy” św. Tomasza z Akwinu, doceniając w ten sposób olbrzymi wkład Doktora Anielskiego do prakseologii, pomimo, że sam jest niewierzącym materialistą, ateistą. To wymowny przyczynek do atmosfery stworzonej przez inicjatora II Soboru Watykańskiego, papieża Jana XXIII.

PRACE HISTORYCZNE: Działalność ks. dr S. Belcha nie ogranicza się do zajęć duszpasterskich i kierowania wydawnictwem przekładu „Sumy”. Od dawna prowadzi badania historyczne związane zwłaszcza z dziejami Pawła Włodkowica (1370-1435) z Brudzewa. Przygotował on wydanie dzieł zbiorowych i monografię o tym pisarzu. Na marginesie tego głównego tematu ks.

dr Belch zajmuje się innymi zagadnieniami historycznymi, jak o tym świadczy świeżo wydany, pierwszy tom jego „Prac Historycznych” (K. O. W. „Veritas”, Londyn 19655 str. 160). Na tę pierwszą serię składają się rozprawy o Bitwie pod Grunwaldem, omawianej na jednym z wieczorów Polskiego Towarzystwa Historycznego oraz o przyczynie śmierci św. Stanisława, biskupa krakowskiego, wielokrotnie omawianej przez polskich pisarzy i historyków. Stąd powstała sposobność do skrzyżowania polemicznej szpady z wieloma z nich. Spośród emigracyjnych wymienimy tylko Pawła Zarembę i Karolinę Lanckorońską, których pracom ks. Belch poświęca specjalną uwagę. Ostatnia rozprawa dotyczy rezygnacji Kadiubka z biskupstwa i jego wstąpienie do zakonu. Tom ma wybitnie charakter polemiczny i kontrowersyjny. Autor stara się dać rozwiązanie zagadnień dotychczas tylko częściowo wyświetlonych i spornych. Stąd można się spodziewać dalszej szermierki badawczej między autorami prac historycznych na poruszone w „Pracach...” tematy. Głos teraz będą mieli oponenci.

RELIKWIARZ NARODOWY: Zaczęło się ukazywać zeszytami oczekiwane od dawna wydawnictwo pt. „Polonica na wyspach Brytyjskich”. Dwa pierwsze zeszyty ujrzały już światło dzienne, dwa dalsze są jeszcze w czełściach drukarnianych, ale ich pojawienie się nastąpić ma w najbliższym czasie. W ten sposób realizacja tego rozumowanego inwentarza polskiego dorobku artystyczno-historycznego będzie mogła nastąpić w ciągu najbliższego roku. Nikt, kto nie miał możliwości przyjrzeć się tej pełnej poświęcenia i wytrwałości pracy, jakiej wymagało zebranie materiału informacyjnego i jego odpowiednie skomentowanie i graficzne ujęcie, nie może mieć pojęcia o ogromie wysiłku i oddania jakiegoś zadanie to wymagało. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że wydawca i redaktor „Polonica...” postawił sobie maksymalne wymagania w zakresie reprodukcji i druku oraz precyzji w omówieniach. W ten sposób red. B. O. Jeżewski, wspomagany przez dr A. Ciechanowieckiego oraz zespół specjalistów z różnych dziedzin muzealnictwa i historii sztuki, dobrze zasłużył się sprawie polskiej, oddając czytelnikom i zainteresowanym instytucjom ten jeden więcej przyczynek do uczczenia Millennium kultury polskiej w roku Tysiąclecia Chrześcijaństwa i państwowości Polski.

RUCH ODCZYTOWY: Mgr. Antoni Michalek mówił na temat „Zejścia zalogi polskiej z Kremła i konfederacji Cieklińskiego (1612)”, mgr. Janusz

Tomiak o „Szkołę rycerskiej” (zał. 1765), płk. A. Sawczyński o „Zagadnieniu doktryny wojennej u progu II wojny światowej”. Wojna z literaturą połączona była na wieczorze poświęconym książce L. Sapiehy „Wojna z wysokości siodła”, w którym brali udział: M. Hemar, A. Sawczyński, i gen. K. Rudnicki. L. Fidler mówił nt. „Gry wojennej jako hobby”, na wieczorze zorganizowanym przez redakcję „Broni i barwy”. Staraniem Instytutu Badania Zagadnień Krajowych Barbara Kasińska wygłosiła referat pt. „Młodzież akademicka i licealna w Polsce”. Z odczytów technicznych zanotować należy referat inż. R. Sidorowicza pt. „Ogólna charakterystyka przemysłu elektrycznego”.

Na szczególną uwagę zasługiwała pogadanka asa prelegentek polskich Marii Leśniakowej, poświęcona jej wrażeniom z Ameryki i ze współżycia wśród Amerykanów, z którymi spędziła pełne 10 lat. Wróciła na stałe do Londynu urzeczona wielkością kraju amerykańskiego i sposobem życia z jakim się zetknęła osobiście. Mówiła barwnie i z wielką bezpośredniością.

REWOLUCJA W PTN.: Doroczne zebranie publiczne Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie otwierał nie dotychczasowy prezes prof. B. Hełczyński, ale nowowybrany prof. Jakub Rostowski, b. dziekan polskiego wydziału medycznego w Edynburgu, a funkcję sekretarza pełnił nie prof. J. Bujnowski, który ostatnio zrezygnował z tego stanowiska, ale właśnie b. prezes prof. B. Hełczyński. Zmiany te dokonane zostały na walnym zebraniu Towarzystwa, w dniu 25 listopada 1965. Tym conajmniej niespodziewanym, jeśli nie wręcz rewolucyjnym, zmianom, w których kulisy nie będziemy tutaj wglądać, towarzyszyły zapowiedzi budzące lepsze nadzieje na przyszłość, jeśli idzie o dotychczas najslabszy punkt w działalności Towarzystwa — działalność wydawniczą.

Zagajając zebranie prezes, prof. Rostowski kurtuazyjnie odstąpił przyśługujący mu tradycyjnie przywilej wygłoszenia mowy b. prezesowi prof. Hełczyńskiemu, który z kolei, również odbiegając od ustalonej tradycji, zamiast mówić na tematy sytuacji nauki w Kraju, przedstawił działalność Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie, wydawcy „Elementa ad Fontium Editiones” i „Antemurale”. Asumpt do tego dała pomoc, jakiej przyrzekli udzielić Towarzystwu powiernicy fundacji Karola Lanckorońskiego w postaci wydawania corocznie jednego tomu rozpraw naukowych członków Towarzystwa.

Przedzierzgnąwszy się potem znów w sekretarza generalnego prof. B. Heł-

czyński złożył sprawozdanie z działalności Towarzystwa za rok 1964-1965 do lipca włącznie, obejmujące długą listę zmarłych członków, których pamięć uczczono chwilą skupienia, długą listę nowych członków, obecny stan członkostwa, wybór nowych członków honorowych, sprawozdanie finansowe itp. dane, które będą ogłoszone w kolejnym XV Roczniku Towarzystwa, oddanego już do druku. Gdy się ukaże, będzie można wrócić do tych spraw bardziej szczegółowo. Do niepowodzeń tegorocznej działalności zaliczyć należy nieuzyskanie środków finansowych na wydanie 2-go tomu bibliografii obcojęzycznych prac naukowych uczonych polskich, przebywających poza Krajem. Nie została też udzielona pomoc na wydawnictwa — przyrzeczona z Polskiego Funduszu Kulturalnego.

Na zakończenie zabrania odbył się odczyt prof. dr B. M. Śliżyńskiego pt. „U podstawy życia“, poświęcony najnowszym odkryciom z zakresu mikrobiologii i genetyki.

MUZYKA I TANIEC: Muzyka i taniec to są dwa działy polskiego życia artystycznego, które z trudnością zdobywają się na pierwszoplanowe wystąpienia. Z koncertów muzyki poważnej odbył się tylko recital H. Karpowej w Wigmore Hall, wypełniony utworami Prokofiewa i Chopina. Obok tego postawiłby można tylko występ Kwintetu Warszawskiego w Royal Festival Hall'u z skrzykiem Bronisławem Gimpelam na czele. Grano Brahmsa, Boccheriniego i Szostakowicza w ramach koncertów kameralnych BBC, spotykając się z dodatnią oceną krytyki angielskiej.

Nieprzerwanie czynny był w dwutygodniowych odstępach Klub Piosenki R.W.E. przez którego wieczory w Klubie Lotników urządzane przez W. Budzińskiego przewinęły się talenty takich pieśniarek, jak Renata Bogdańska, S. Horwat, Z. Terné oraz pieśniarzy, jak T. Valdi, Z. Pomorski, A. Poznański. Akompaniował zespół S. Norberta. Na indywidualnym wieczorze Pawła Prokopieniego, wprowadzonego przez Irenę Delmar, akompaniował w „Ognisku“ B. Czaplicki. Poza tym Prokopieni nakręcał swój historyczny film na tle pamiętek w Polskim Instytucie.

Odbył się też koncert jubileuszowy Chóru Wojska Polskiego, obecnie Chóru im. Chopina, pod kier. Z. Nawrota. Jako soliści wystąpili na nim S. Boja-

nowski, S. Pieczora, akompaniowali pp M. Drue, Coughlan i Czaplicki.

Obok tych, niewątpliwie okazalszych wystąpień, odbył się pokaz o niemałym udziale przeszło 70 osób. Mowa tu o urządzonym w sali Klubu Lotników „Popisie fortepianowym“ uczniów znanej i bardzo popularnej wśród młodzieży akompaniarki i pedagoga muzycznego, p. Barbary Dulebiny. W bogatym programie, w którym popisowała się cała dwunastka młodych pianistek i pianistów in spe, od 7 letnie: Helenki Mikusińskiej do 17-letniej Dzikki Mandziarówny, która sięgała już kiedyś do amatorskie laury sceniczne, nie brakło momentów wzruszających. Żaden jednak nie dorównał napięciu, jakie powstało w drugiej części koncertu, gdy kolejno zasiadali do fortepianu przedstawiciele, względnie przedstawicielki 4-ech pokoleń muzycznych, a wszystkie członkowie jednej i tej samej rodziny. Najpierw grał prawnuk — 14-letni Jerzy Ostapko, potem jego matka p. Danuta Ostapko, wreszcie jego babcia p. Barbara Duleba a po niej jeszcze jej matka 86-letnia p. Maria Stamirowska-Starkel, córka powstańca z 1863 roku. Wszystkie trzy panie grały utwory Chopina. Naprawdę budujący przykład kultywowania tradycji artystycznych w jednej i tej samej rodzinie. Zebrana publiczność oklaskiwała gorąco koncertujące panie i obdarzyła je hojnie kwiatami.

Wspomnieć jeszcze należy o dwóch wystąpieniach tanecznych: „Kawalkadzie polskich pieśni i tańców narodowych“ oraz scen tradycyjnych zespołu Polskiej YMCA „Mazury“ urzędzonej w Sali Ratusza Aktońskiego. Obfity program przygotowany był przez kierowniczkę zespołu p. Irenę Różycką i znalazł silny oddźwięk wśród publiczności. Do najpopularniejszych tańców, wykonywanych coraz sprawniej przez zespół, należy Hucułka, Tańce Śląskie, Kujawiak i Góralskie oraz obrazek Dożynkowy. Solistką w pieśniach ludowych jest p. Kalina Włodarczyk o pięknym alcie.

Drugim był występ publiczny zespołu im. O. Kolberga, pod kierownictwem p. O. Żeromskiej. Koncert ten urządzony był w 150-tą rocznicę urodzin i 75-tą rocznicę śmierci patrona zespołu O. Kolberga (1815-1890), jednego z najbardziej zasłużonych etnografów polskich. Zespół posiada oryginalne stroje spod Krakowa. Program zawierał tańce z różnych dzielnic Polski w układach kierowniczkę zespołu. Jako soliści występowali pp. J. Hryniewicz, S. Pieczora i J. Sulikowski. Akompaniował Z. Gedl.

Brak miejsca zmusza nas do odłożenia sprawozdań z ostatnich wystaw plastycznych do następnego numeru.

Jan Ostrowski

MILENIJNY WALNY ZJAZD ZJEDNOCZENIA POLSKIEGO

W dniach 8 i 9 stycznia 1966 r. odbędzie się w Londynie Milenijny Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego.

Zjazd ten odbędzie się pod „znakiem milenijnym“ w tym sensie, iż przyspieszyliśmy o przeszło miesiąc termin rocznego Walnego Zjazdu a następnie i dlatego aby właśnie ten Zjazd, ta największa coroczna impreza społeczna, zwana także Sejmikiem Społecznym, odbyła się możliwie na samym wstępie Roku Milenijnego. Jest to o tyle ważne, iż pozwoli z miejsca wszystkim czołowym organizacjom społecznym w W. Brytanii włączyć się w Rok Milenijny a swoim normalnym pracom organizacyjnym nadać specjalny charakter — właśnie pod znakiem milenijnym.

W ten sposób ponad 40 organizacji z samego Londynu — a uwzględniając lokalne Komitety Porozumiewawcze w Bradford, Derby, Leicester i Manchester do których należy w sumie ponad 60 organizacji — łącznie dobrze ponad 100 polskich organizacji niepodległościowych spotka się w tych dwóch dniach poprzez swoich delegatów, by radzić — razem z nowoprzyjętym Kolem Polskim w Slough — nad najważniejszymi i najpilniejszymi problemami społecznymi.

Ponieważ Walny Zjazd będzie miał charakter milenijny tegoroczna ceremonia otwarcia Zjazdu będzie szczególnie uroczysta:

po Mszy św. w kościele św. Andrzeja Boboli w dniu 8 stycznia o godz. 9-tej rano, nastąpi o godz. 11-tej otwarcie w sali teatralnej „Ogniska Polskiego“ z udziałem czołowych osobistości naszego życia politycznego i społecznego. Na wstępie uczestnicy odczytają wspólnie najstarszą polską pieśń religijną: „Bogu Rodzicę“, po czym — po krótkim powitaniu gości przez prezesa P. Hęciaka — ks. inf. Wł. Staniszewski odmówi modlitwę milenijną. Następnie przedstawiciele trzech pokoleń: gen. M. Kukiel — jako najstarszy historyk polski na emigracji wygłosi przemówienie o znaczeniu Millennium w naszych dziejach, z kolei sekretarz generalny Komitetu Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej w Londynie a jednocześnie członek Zarządu Zjednoczenia Polskiego p. J. Płoski zabierze głos jako przedstawiciel pokolenia średniego, wreszcie w imieniu pokolenia młodszego zabierze głos p. A. Stawecka — prezes Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie i wiceprezes Zarządu Zjednoczenia Polskiego.

Zjazd zakończony będzie wspólnym odśpiewaniem hymnu narodowego.

Otwarcie Zjazdu w „Ognisku“ będzie miało charakter publiczny. Zapraszamy na nie społeczeństwo polskie oraz zarządy wszystkich organizacji społecznych, jak również wszystkich uczestników Zjazdu.

Za Zarząd:

Stefan Kolańczyk
Sokr. generalny

Paweł Hęciak
Prezes

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ**

DRZEWO HEPZIBAH

Klara Evans

PRZERZUCIŁ sznur przez konar. Ściągnął pętlę mocno w dół ku sobie, aż zachybotwały pomniejsze gałęzie. Konar oliwny rzucał mu pod nogi długi cień. O tej porze roku zmierzch szybko zapadał w Galilei, szybciej aniżeli w zimowych miesiącach. Gdy wychodził ze sklepiku słońce stało jeszcze wysoko na horyzoncie, gdy doszedł tu — pod drzewo Hepzibah — było już niemal ciemno, choć droga od sklepu na wzgórze nie była daleka.

TO DRZEWO oliwne upatrzył sobie dawno, jeszcze w dzieciństwie, gdy uciekał by skryć się w cieniu jego powykręcanych gałęzi przed skwarem dnia, czy też przed gniewem ojca. Ale wtedy drzewo nie miało jeszcze swego imienia, nie było jednym z codziennych elementów życia; to stało się dopiero później — gdy spotkał Hepzibah.

SPOTKAŁ ją po raz pierwszy niedaleko stąd. Szła z dzbanem napełnionym wodą, wlokła się pod górę powoli i znużenie, w samo południe. Tam gdzie stała chata jej ojca nie było studni ani najędźniejszego choćby źródła. Hepzibah latami więc schodziła przez przypruszoną wapiennym kurzem ścieżkę w dół ku studni pośrodku miasteczka. Inne dziewczęta tak samo chodziły dzień po dniu, kołysząc na głowach gliniane naczynia. Zbiegały z domostw, wykutych w skałach wapiennych ponad miasteczkiem, podobne jedna do drugiej jak czarne muchy w rozpalonej żarem godzinie. I chociaż wszystkie trzymały się prosto i miały chód jakiegoby im pozazdrościć mogły rzymskie kurtyzany — Hepzibah najpiękniej stąpała ze swym wodnym ciężarem na głowie. Taka była drobna, taka maleńka, iż zdałoby się mogło, że się załamię zaraz pod naporem dzbana. Przystawała często na ścieżce wiodącej ku chacie ojca-owczarza. Inne, starsze dziewczęta wyprzedzały ją często i śmiały się, że taka delikatna jakby na jerozolimskie pałacowe komnaty rodzili ją matka, a nie na jałową ziemię ojcowskiego obejścia.

Pod tym drzewem właśnie spotkał ją kiedyś bez dzbana, odpoczywającą. Tu w cieniu tego właśnie konaru, przez który teraz przewiesił sznur, dotknął jej ręki po raz pierwszy. Dotknął jej ręki, ale nie śmiał pod-

nieść oczu na świętość jej urody — kimże był bowiem? Jakała, a oczy miał kose, rozbiegane każde w inną stronę i chyba czarniejsze od oczu szakala. Więc — aby nie obrazić urody jej swą krzywą żrenicą — spoglądał w dół ku jej ręką smagłym i drobnym jak ręce dziecka. Chciał coś wyjąkać szybko w podziwie, w pokorze, ale nie umiał. Nieprędko jeszcze powiedziec mu było danym o swojej wielkiej ku niej miłości.

Trudna to była bowiem sprawa. Czyż nie napiętnowany był, przeklęty od chwili poczęcia? Jakież szanujący się pośrednik małżeński zechciałby ofiarować go nawet najniższej urodzeniem dziewczynie? Czyż nie przyszedł na świat już z góry pohańbiony, przeznaczony na śmiech i drwiny od pierwszego swego krzyku — od samej kołyski?

Jedynym był dzieckiem, jedynym synem. Cóż w tym dziwnego, że jedynym w domu napiętnowanym grzechem? Czyż ojciec nie wołał smutkich niedorostków z jerozolimskiego targu od żony swojej — żółtkiej, rozzechranej Ruty? Czyż jego służba w rzymskim legionie zamiast oglady i poznania niekończących się horyzontów wielkiego cesarstwa rzymskiego — nie wniosła największej hańby, najstraszliwszego upokorzenia w domu Ruty i męża jej Szamecha, czy nie razila jak plagą ich obejścia, które ubogie było, ale stateczne, otwarte na codzienną godność życia w trudzie i znoju — na tę samą godność jaką w sobie nosili inni mieszkańcy miasteczka?

Ludzie z rasy Szamecha i Ruty wiedzieli czym jest trwoga Boża i nie obrażali rozpustą swych czynów Tego, Którego Imienia nie było wolno wymawiać. Ale Szamech? Szamech odszczepieniec od korzenia swej rasy surowej i prostej, poprzez służ-

bę w szeregach zwycięzców — przejął od nich żądze nowego porządku. Wołał jerozolimskich opryszków, młodych żebraków, złodziejaszek jarzyn ze straganów od prawowitej swej żony Ruty; od tej godnej niewiasty, która mu sklep wniosła w wianie i żyłaste, skore do pracy ramiona.

Dlatego chłopcy na rynku przy studni nie bawili się z nim w wyścigi kwadryg, nie grali w patyki, ani w rzucanie kamieniami o cembrowinę. Wskazywali go sobie palcami zdaleka już, gdy wybiegał ze sklepu żądny radości ruchu i śmiechu równo-latków.

Na podwórku za sklepem ojciec pośredniczył bogatym kupcom syryjskim w sprzedaży owiec, czy ziarna, a potem pił z nimi. A jeśli nie upił się na umór, dosiadał osła i włókł się za ich karawaną w pokornym dystansie. Na drodze prowadzącej do Jeruzalem znał rozmaite pieczary, zajazdy, oberże, gdzie przejezdni kupcy mogli za tani grosz zabawić się z niedorosłą prawiczką, albo pod brudnym łachmanem prostytutki odkryć niespodziewanie piękne judejskie ciało — twarde, kute z brązu, takie jakiego próżnoby im szukać było w swoich odległych pustynnych domostwach.

GDY Szamech był w sklepie, gdy wracał z wypraw jemu tylko znanych, od spraw tak ciemnych, że nieraz sam wołał o nich nie myśleć goniony resztką trwogi przed Panem — to wtedy, no cóż? Bił syna i Rutę. Bił za to, że byli, bił za sklep, za wygórowane ceny młodych ciał jerozolimskich nieponi. Bił mocno, Bił za Rzym i jego kohorty i za to, że Ruta straciła wszystkie zęby i za to także, że gdy czas służby wojskowej przeminął, powrócić musiał tu, między swoich.

Więc jakież szanse na szczęście miał syn Szamecha — kosooki Juda?

Jednak to szczęście przyszło. Tam właśnie pod drzewem Hepzibah — bo tak je nazywał od jej najśłodziej brzmiącego imienia. Przyszło to szczęście wieczorem, gdy dotknął jej ręki, a ona mu jej nie umknęła. A gdy za chwilę uciekła, spłoszona jak górską przepiórka, w górę ku skalnej chacie ojca — został sam pod gwiazdami.

Patrzył na gwiazdy nawisłe ponad głową jakby je dojrzał po raz pierwszy. Schylały się ku niemu ogromne i świetliste jak oczy Hepzibah. I w gwiazdach tych zobaczył naraz swego Boga.

TEJ nocy leżał pod drzewem aż do świtu. Tej nocy, gdy na dłoni czuł jeszcze dotyk długich palców Hepzibah, a na firmamencie stworzonym przez Jahwe migotały mu tysiące gwiazdzistych źrenic — dusza wysunęła mu się z powijaków ciała i uniosła ku Bogu tak jak w świątyni ręka kapłana unosi na chwilę zasłonę przed Świętym Świętych.

Z góry, od zwiast-oczu, z ciemności nieba spłynęła ku niemu miłość gorąca i wdzięczna, tak wdzięczna, że aż się jej siły przeraził. W tym co czuł nie rozumiejąc, było coś z dopiero co odkrytej ziemskiej miłości do Hepzibah ale było też i coś więcej. Nie, nie rozumiał, czuł tylko rozpierające go szczęście odkrycia jakiejś wielkiej, podwójnej tajemnicy. Przytulił twarz do pnia oliwnego, wyszeptał ku górze: „Boże Proroków moich, a więc jesteś i ze mną...“ Potem oderwał wzrok od nieboskłonu i wsłuchał się w noc. Tyle nocy już przespał pod gołym niebem, czy to na dachu ojcowskiego sklepu, czy na wzgórkach za miastem, ale ta noc była inna. Gdzieś z dali, za nagimi wierzchołkami wzgórz, które bielily się teraz w świetle księżycowej pełni jak surowy srebrny kruszec — dawał się słyszeć bek owczy jeden i drugi niosący echem aż ku najwyższemu szczytom. Ptak w liściach oliwnych zasunął niespokojnym snem, w trawie krzyknęła cykada i zmlkła. Jahwe błogosławił nocy, jej echem i jemu — jemu także, chociaż oczy miał kose i czarniejsze od innych.

W niespełną tydzień po owej nocy Pan zesłał mu jeszcze jeden znak Swjej boskiej przychylności. Oto ojciec siedzący na podwórku za skle-

pem zwał się nagle do stóp targującego z nim kupca i nie wstał więcej.

Wolny od strachu częściej mógł teraz zachodzić pod drzewo Hepzibah. Aż wreszcie nastąpił dzień, w którym sprowadzono mu ją z góry od ojca-owczarza do niego — na zawsze.

Teraz kosztował innych nocy i innego szczęścia aniżeli tamto, gdy pierwszy raz dotknęli się rękoma jak łątki w przelocie. Teraz udziałem jego były noce tak przemożne pragnieniem, że bał się o nich myśleć podczas dnia. Była w tych nocach zawarta i burza i cisza. Była w nich słodycz i jakiś lęk przed tym, że istnieje szczęście przewyższające niemal możliwość ludzkiego doznania. Nieraz nad ranem odkrywał lekką chustką bielejące w mroku ciało śpiącej Hepzibah, i wybiegał do swego drzewa. Pod jego koroną zasypiał do świtu nie wiedząc, że swym znużonym, kamiennym snem składał dziękczynną ofiarę Najwyższemu.

Kiedy dojrzała do dnia rodzenia — przestał spać. Nadarmo niewiasty zebrane wokół łoża rodzącej prawiły, że nie tu jego miejsce, że oby czaj odwieczny nakazywał inaczej. Nie odszedł od swej niewiasty ani na chwilę przez cztery dni i cztery noce kiedy rodziła mu syna.

UMARŁA na przełomie nocy piątej. Już nie krzyczała, już leżała bez bólu, zsunęła się tylko z łoża w jego ramiona, a włosy miała tak sklejone potem, jakby wylała się na nie cała woda ze dzbana, który tak pięknie nosiła nad wysokim czołem. Wzdęty brzuch pod białym gnieźmem zafalował raz i drugi, jakgdyby ostatnim wysiłkiem dziecko mu chciała przekazać z głębi swoich trzewi. Potem westchnęła leciutko — i już jej nie było między żywymi.

W chwilę potem z jej umarłego łona — także bez krzyku i bez westchnienia — wypłynął krwawym strzępem na klepisko łożnicy ich syn — syn Hepzibah.

Kumoszki w kącie izby cofnęły się i zwały ku sobie jak spłoszone na polu stado wron. Stały uciszone na chwilę, a potem zaczęły zawodzić i ruchami palców odczytniać złe uroki, strwożone do głębi własnych łon, że oto martwa urodziła.

Ujął w ręce swego syna — syna Hepzibah — i przez dumny otwór w

pułapie dojrzał znowu nad głową niebo pełne gwiazd. W nędzy swej strasznej wykrzyknął ku temu niebu skomleniem na poły zwierzęcym, a na poły ludzkim. W dłoniach czerwonych od krwi Hepzibah trzymał swego syna.

Położna precisnęła się przez tłum zawadzających kobiet i podbiegła ku niemu, wyjęła mu z ramion bezgłośne i nieruchome ciało. Było martwe.

Wyrwał nieżywego syneczka z rąk położnej i unióśł go ku otwartemu na niebo pułapowi. „Panie — wyjąkał — Panie, coś Ty mi zrobił?”

Gwiazdy milczały w ciemności nieba, a niebo nie kryło już w sobie żadnej tajemnicy. Było puste, było bez Boga Judy.

Kobiety w rogu izby zakryły twarze chustami. Stał z martwym dzieckiem na ręku wyniosły, czarny, łamiący się własnym cieniem po ścianach izby, stał jak Abraham, który dokonał na Izaaku największej ofiary, gdyż Pan nie wyciągnął ku niemu ostrzegawczej prawicy. Pan nie istniał.

Przez długie tygodnie mówiono potem przy studni na rynku, że zmysły postradał owej nocy. Że śmiał się i płakał na przemian i mówił do kogoś, zadzierając głowę do góry, lecz to nie była prawda: nie miał do kogo mówić ani tam w górze, ani tu na dole.

DWIE zimy minęły nim matka znalazła mu Rachelę. Wdowa była od lat, ale resztki młodości tliły się w jej mocnym ciele. Czasami przez jej chmurną, pokorną twarz przelatywał cień uśmiechu, jakby ptak rajski musnął swymi skrzydłami to twarde oblicze. Była spokojna, milcząca, silna.

Gdy wprowadził ją w dom przez te same odrzwia, przez które niegdyś wprowadzał do łożnicy Hepzibah, matka zaśmiała się w uciesze bezzębnymi ustami, że wreszcie odpocznie, widoczne bowiem było iż z nastaniem Racheli nadeszła godzina jej wypoczynku. Szerokoramienna i szerokobiodra Rachelę — to dopiero była prawdziwa synowa. Stara Ruta zamlaskała wargami po działach, aj, jak już czuła w zwiotczających ramionach rozgrzane ciała swych przyszłych wnucząt, silnych wnucząt, dorodnych chłopców, jakgdyby z nasienia Machabeuszów poczętych.

W łożnicy czekała Rachel. Stała przy łożu, opuściwszy oczy. Mężczyzna nie był jej obcy — nie czuła ani radości, ani lęku. Wiedziała, że biodra jej czekają jak pusta kołyska na nasienie nowego życia. Kobięcy był to los, nie więcej — tak właśnie czekać na męża w łożnicy.

Wszedł za nią, ale nie spojrzął ku jej rozpuszczonym warkoczom, patrzył na łoże.

Wydało mu się, jakgdyby odcisk wiotkiej postaci wypełnił ogniem wgłębienia pościeli. Niewiadomo dlaczego przyszedł mu na myśl kwiaty lilii wodnych w ogrodach jerozolimskich bogaczy, wilgotnych, delikatnych kwiatów drżących na wietrze w nieublaganej posusze okalającej je przyrody. Zwarł zęby, nacisnął dłońmi skronie aż do bólu, żeby nie myśleć i nie wspominać i poszedł ku Racheli.

Ale i owej nocy i nocy następnych próżno męczył jej mocne ciało. Przekłęty od chwili poczęcia, kosooki, osierocony — jak pies parszywy, którego pan na drodze porzucił bo się o ochłap napraszał — leżał oto teraz w niemocy męskiej i w bezsilie, pozbawiony nawet tego przywileju, którym się cieszyć na wiosnę mógł najmarniejszy robak: nie mąż, nie ojciec, na hańbę narodzony i na pośmiewisko.

Z nadejściem Racheli poprawiło się w sklepie z utargiem. Wstawiała przed świtem, liczyła wory, pilnowała dostawców, targowała się zajadle o każdy kosz cebuli, o każdą miarkę oliwy. Nie był już w sklepie potrzebny. Rachela dawała rady wszystkiemu, a on — hańbiony codziennie jej spojrzeniem pełnym pogardy umykał chyłkiem coraz to częściej, coraz to dalej na wzgórze za miastem. Uciekał pod drzewo Hepzibah. Wydawało mu się, że konary rozrosły się bardziej w ostatnich latach tak aby mu przysporzyć więcej cienia. Było to chyba jednak złudzenie, gdyż wiedział jak wolno rośnie twarde drzewo oliwne, a poza tym tylko to było ważne, że w cieniu tego drzewa miał nieco spokoju.

Leżąc wyciągnięty w ożywym kręgu szarych liści oliwnych wspominał Hepzibah i swego syna i pytał się. Pytał uparcie i nieskończenie cierpliwie, dlaczego tak się stało, Spoglądał na swe długie, mocne nogi, na ruchliwe palce u nóg, macał się po wklęsłym brzuchu, po zarosnię-

tych czarnym włosom ramionach. Serce mu biło w piersi, w skroniach się tłukły puls, oczy miał jak sokół, widział najdalsze szczyty dokładnie jak dłoń — był młody, mocny, taki sam jak inni. Więc dlaczego? Dlaczego?

I dlaczego także tamtej jedynej, niezapomnianej nocy poczuł jakąś ogromną bliskość płynącą od gwiazd, jakąś obecność, która za niego brała odpowiedzialność. Uwierzył wtedy — dlatego może, iż w czubkach palców czuł jeszcze chłód dłoni Hepzibah — wierzył, że oto Pan pochylił się nad nim, że z rąk Pana odbierał nagrodę za smutek dzieciństwa, za kose oczy, za nieufność, nieśmiałość, nienawiść do ojca, pogardę dla matki. Ale Pan — jeżeli nawet istniał — nie rozdawał nagród w hojności swojej takim jak on. Dlaczego takim się właśnie musiał narodzić — dlaczego jemu to właśnie przypadło w udziale owo gorzkie ziarno życia, któremu wszystko jest odebrane przed tym jeszcze nim się spełniło? Dlaczego?

Zachodni wiatr poruszał czasami koroną liści nad głową, ale częściej spiekota dnia, czy upał wieczoru stały nad nim bez ruchu, a usta pękały z pragnienia. I często gdy gwiazdy podobne oczom Hepzibah wysuwały się nieśmiało z niezupełnie jeszcze granatowej nocy — wyciągał pod drzewem pięść zwinętą w twarde kulek i groził gwiazdom i Panu.

Biegły tygodnie, miesiące i lata aż zbiegły się naraz z tygodniami, miesiącami i latami innych ludzi, bo wiadomo przecie, że każdy ma swój własny czas i swoje własne przeznaczenie i tylko zrzadka nastaje taki wspólny dzień, jedyny wśród tysięcy innych dni, który jest rdzeniem przeznaczenia nie dla jednego, ale dla wielu.

DZIEN taki nastał dla Judy gdy usłyszał podczas wędrówki swoich w coraz to dalsze okolice o Nazarejczyku, o którym mówiono, że jest Mesjaszem.

Przystał do niego tak samo jak pies bezdomny przystaje do karawany spotkanej na swoim szlaku. Poszedł za nim hienie podobny, co wlecze się zdala za podróżnymi, nieufna i niezauważona.

Lecz On go zauważył. Na skraju drogi, w godzinie południowego od-

czynku: dłoń Nazarejczyka spoczęła na jego głowie. Od tej chwili zaczął słuchać uważnie Jego słów. Słuchał w milczeniu, ze zmarszczoną brwią, jakby nie rozumiał. Słuchał i wspominał Hepzibah, słuchał i dowiadywał się tego co niegdyś prawie że sam z siebie rozumiał. Słuchał o miłości, o miłosierdziu, o odkupieniu. O wywyższeniu maluczkich. O królestwie dla wszystkich, które — nie z tego świata będące, nie zamknięte w granicach jego dalekowzrocznych oczu — kryło być może w sobie i ją, Hepzibah i ich syna. Słuchał o Królestwie w którym była cisza. I zrozumienie.

Zrozumienie. Lecz jakże zrozumieć mógł sens tego wszystkiego co mu się przydarzyło? Nie tylko to przed tym — ale teraz, gdy Go spotkał? Jakiż miał dowód na to, że teraz słyszał prawdę, że nie był oszukiwany? Czy w tym, że on — jąkała i kosooki, odmężczyźniony i załknięty od kolebki — został teraz jednym z Dwunastu Jego wybranych — czy w tym także nie było tylko pozoru i fałszu — nowego, niezrozumiałego podstępu?

Szedł za Nim, starał się stąpać zawsze zaraz za Nim, aby iść w cieniu Jego cienia. Szedł i słuchał, szedł i milczał, szedł i kochał. Na nowo; coraz silniej, coraz goręcej. I bał się tych sił tak boleśnie mu znanych, które od nowa rozpieierały mu serce jak olbrzymia fala potopu. Czasami przestawał słuchać i tylko patrzył. Kierował wzrok ku zakurzonym stopom Wędrowca — podobnym jego własnym stwardniałym i pokaleczonym — i nie chciał niczego innego jak tylko Mu te nogi obmyć własnym potem, przytulić do nich wargi i podjawszy w silne ramiona to niewielkie Ciało nieść je przez pustynie i drogi, wykroty i jary i słuchać bicia Jego serca.

Ale czy to co On mówił było Prawdą?

TEGO świtu po Wieczery, gdy leżąc na sianie w szopie zasnąć nie mógł ani przez jedno mgnienie — zdecydował się ostatecznie na najwyższą próbę. Myślał o tym od dawna. Jeżeli jest Synem Bożym — to zdradzony — uratuje się. To uratowany zrozumie podwójną intencję najmarniejszego z Jego dwunastu. To przez najmarniejszego z Dwunastu świat dowie się o znaku bo-

skości, którego On dać nie chciał Faryzeuszom.

A jeśli nie uratuje się?

To u dna ludzkiego cierpienia spotkają się w śmierci samotnej i niepotrzebnej, która żadnemu z nich nie dowiodła niczego. W godzinie śmierci swojej spotka się z Nim po raz ostatni, zabierze w nicość wspomnienie Jego twarzy uspokojony, że z nędzy tego świata nie ma wybawienia, a przebaczenie nie jest potrzebne, bo nie ma kto zbawiać. W tym właśnie będzie ich ostatni, być może, jedyny punkt styeczny, gdyż inne były tylko złudzeniem.

„Kochałem Cię Panie, och, jak Cię kochałem... westchnął i wypuścił na chwilę sznur z ręki.

Od chwili tamtej straszliwej burzy sprzed dwóch nocy kiedy On konał i ciemność tak przeraźliwa zakryła świat jakiej nie pamiętali najstarsi nawet ludzie — od tamtej chwili gdy szedł oddać srebrniki, które nie dowiodły Prawdy, bo On się nie uratował — spadła na niego jeszcze jedna plaga, chyba ostatnia. Oto na rękach i nogach i w boku obolałym przy każdym oddechu jakaś straszliwa choroba zaczęła nagle drażnić jego ciało: krwawe ślady, jakby zadane lancą czy ostrzem sztyletu opuchłe i bolesne, gorsze od trądu i zarazy, spadły na niego w tej ciemności i burzy, w której On umierał.

NA TRZECI wieczór wrócił pod drzewo Hepzibah. Stał pod nim i znowu uchwycił pętlę sznura. Z za najwyższych wierzchołków drzew, wśród białosrebrzystych pagórów wyszła srebrzysto-złota gwiazda, zwana przez Rzymian Venus.

Uniósł ku petli ręce, spojrzał ku gwieździe, która podobno spłynęła nisko nad ziemię w dniu Jego Narodzin, powtórzył: Kochałem Cię Panie. Niech wspomnienie o Tobie na opuszcza mnie w godzinie śmierci której się boję, bo za jej progiem nie ma Ciebie, bo jej pokonać nie umiałeś, Panie mój, którego kochałem, bracie mój, którego zdradziłem...

Podciągnął sznur. Wdrapał się po gałęziach na sam wierzchołek drzewa. Okolił głowę pętlą. Gwiazda wieczorna zwana Venus świeciła mu teraz prosto między oczy.

Po raz ostatni spojrzał w dół ku pniu oliwnemu, gdzie kiedyś we

wgłębieniu między szarymi naroślami kory spoczywała głowa Hepzibah. Zalała go fala przemożnej miłości do tego smutnego świata, który dał mu tak mało, porwał go strachem bezmiernym a jednocześnie ostatni płomień nadziei zachybił się krwią żywą w sercu i zaraz zgasł. Rozczapierzył ręce na tle coraz to głębszego granatu nieba — z dłoni, z płam brunatnych na nogach i z lewego boku zaczęła ciec krew.

„Kochałem Cię“ — westchnął raz jeszcze, ale nie usłyszał już własnych słów. Skoczył w dół ku pniu Hepzibah jak w łono Stwórcy.

Sznur się wyprężył i zakotyłał pod ciężarem. Nasienie odzyskanej mę-

skości zrosiło wytryskiem trawą wokoło pnia. Świat rozdarł się na dwie czarne połowy tak jak w księgach prawili Prorocy: ciemność i miliony światów wybuchły koło posiniałej śmiercią twarzy. Kose oczy, szeroko otwarte, nie dojrzały już blasku gwiazdy zwanej Venus.

* * *

Tego samego świtu Niewiasty znalazły odwalony kamień i wieść poszła po Galilei, że człowiek o którym mówiono, że jest Mesjaszem na trzeci dzień ze Swego grobu zmartwychwstał gdyż Synem Bożym będąc — przełamał śmierć.

Klara Evans

SOMERSET MAUGHAM

Zmarły niedawno w wieku lat 91 Somerset Maugham, doskonale znany czytelnikom polskim z szeregu powieści, opowiadań i sztuk, był prawdopodobnie najbardziej popularnym autorem XX wieku. W ubiegłym roku sprzedaż jego książek przekroczyła 80 milionów egzemplarzy. Ale mimo tak kolosalnego powodzenia Maugham nie był człowiekiem szczęśliwym. Zawsze trzymał się na uboczu i chociaż miał bardzo wielu znajomych — i to wśród najwybitniejszych postaci naszej epoki, jak np. Winston Churchill — sam przyznawał, że właściwie nie ma przyjaciół. Do końca życia pozostał kimś, kto chociaż bierze żywy udział we wszelkich przejawach życia, mimo to stoi na uboczu. Może ta specyficzna właściwość dała jego utworom wielką ostrość i bezkompromisowość obserwacji?

Maugham często uważany był za autora cynicznego, jego książki i sztuki raziły wiele osób konkluzjami, stwierdzającymi przemożną siłę ludzkiego egoizmu, przejawiającego się w ogromnym bogactwie form i przebrań. W pewnym sensie był pionierem, prekursorem wielu nowoczesnych kierunków, chociaż nigdy do tego tytułu nie pretendował, uważając siebie samego za pierwszorzędnego pisarza drugiej klasy. Trudno się z nim na temat sprzeczać; niewątpliwie jego powieści w większości wypadków wydają się już trochę staromodne i nie zawsze tak bogate psychologicznie, jakby tego wymagał temat. Sztuki teatralne, najwcześniejsze źródło jego sławy, należą dzisiaj właściwie do historii teatru; ale dziedziną, w której był niedoścignionym mistrzem i w której do dziś należy zdecydowanie do najwybitniejszych pisarzy świata, są opowiadania. Opowiadania Maughama, zwarte konstrukcyjnie, fascynujące fabularnie, trzymające czytelnika do ostatniej chwili w napięciu zaskakującymi zwrotami akcji, zamkniętej niespodziewanym rozwiązaniem,

na długo pozostaną wzorem dla młodych nowelistów, a dla tych czytelników, którzy — jak ja — nie wstydzą się przyznać do tego, że lubią interesującą lekturę i cenią dobre rzemiosło, będą na zawsze źródłem przyjemności i głębokiego zadowolenia.

Maugham był niezmiernym podróżnikiem i jego utwory wiernie odbijają jego zainteresowania. Dociekania psychologiczne, doszukiwanie się wewnętrznej prawdy o człowieku nie pociągały go. Starał się odtwarzać, chwycić na gorącym uczynku fakty i tłumaczyć ich motywację tak, jak ją rozumiał. Być może, że możnaby mu postawić zarzut nadmiernego upraszczania psychologicznego, nadmierny pośpiech w posuwaniu naprzód akcji, nadmierną — niemal że prestidigitatorską — zręczność techniczną w zaskakiwaniu czytelnika nieoczekiwanym, ale zupełnie przekonującym rozwiązaniem; o tym wszystkim sam Maugham wiedział doskonale. Wypowiadane przez niego samego opinie o swoich utworach były zdumiewająco skromne; zdawał się rozmyślnie kłaść nacisk na to, że jest w gruncie rzeczy pisarzem rozrywkowym, że celem jego jest zainteresowanie i zabawienie czytelnika. I, jak wielu pisarzy o tychże samych celach, pozostawił po sobie utwory, których trwałość na pewno przewyższy dzieła tych, którzy o sobie mają znacznie bardziej wygórowane mniemanie.

Za wcześniej jest jeszcze na formułowanie ostatecznego sądu o twórczości Somerseta Maughama, ale jedno przewidzieć można na pewno: bez względu na osąd historyków literatury utwory Maughama, a przede wszystkim jego opowiadania, będą ciągle jeszcze czytane przez miliony wdzięcznych czytelników, kiedy na książkach jego wyżej przez krytykę ocenionych współczesnych osiadzie pył zapomnienia.

S. Wóycicki

WŁOCHY W HOŁDZIE DANTEMU

DANTE jest jednym z nielicznych poetów w literaturze światowej, którego twórczość, a specjalnie **Boska komedia**, z każdym wiekiem znajduje coraz więcej wielbicieli. Dziś, w siódme stulecie urodzin poety, bibliografia o nim stała się tak ogromna, że krytyk, badacz a nawet uczony dantolog z trudem przedziera się przez mrowisko publikacji, Dante bowiem stał się własnością nie tylko swojej ojczyzny, ale całego cywilizowanego świata. Jego pozycja oddziałuje sugestywnie, prawie magicznie, na wszystkich czytelników bez różnicy wiary i przekonań politycznych. Niektórzy czytelnicy więc, w swoim uwielbieniu, pragnęli go wynieść na ołtarze, inni widzieli w nim odstępce od wiary katolickiej, a jedni i drudzy ulegli jednakowo urokowi jego arcyzmu. Dzieła Dantego są bowiem niby encyklopedią wiedzy średniowiecznej i zamykają swoją epokę, ale równocześnie zawierają w sobie myśl ogólnoludzką, które są trwałe i w każdym wieku aktualne. Przecież niektóre powieдения Dantego stały się dziś własnością wszystkich narodów wychowanych na kulturze europejskiej i posługują się nimi zarówno osoby wykształcone jak często i ludzie, którym wyraz Dante zupełnie jest obcy.

Słusznie więc Włosi czczą siódme stulecie jego urodzin jak najbardziej uroczyste. Dzieje się to już po raz drugi od zjednoczenia kraju, a pierwsza rocznica, w 1865 r., obchodzona była we Florencji, naówczas stolicy państwa, bo Rzym stał się nią dopiero po upadku Państwa Kościelnego.

DZIEJE znajomości i kultu Dantego we Włoszech ulegały, w różnych stuleciach, fluktuacjom. Już w XIV wieku, a więc wkrótce po śmierci poety (1321) ukazały się komentarze **Boskiej komedii**, komentarze często obszernie, naświetlające dzieje ówczesnej Florencji. Do komentatorów należą również, między innymi, dwaj synowie poety Iacopo i Pietro oraz Giovanni Boccaccio, autor nieśmiertelnego **Deca-**

meronu. Boccaccio komentował **Boską komedię** z punktu widzenia artystycznego, dlatego stał się prekursorem dla tych wszystkich późniejszych badaczy, którzy w utworze wielkiego florentczyka widzieli przede wszystkim dzieło sztuki.

Okresem, w którym po raz pierwszy rozgorzała polemika wokół twórcy **Boskiej komedii**, stał się wiek XVI. W polemice wysunęła się na pierwszy plan sprawa języka.

Dzieło było napisane w języku włoskim, więc w lingua volgare, jak naówczas nazywano język narodowy. Wtedy szanujący się poeta, uczony czy polityk pisał po łacinie, ale i lingua volgare znalazła licznych naśladowców, a z czasem jak wiadomo, zajęła przodujące miejsce. Wiemy, że i u nas w Polsce wiek XVI stał się złotym wiekiem literatury tworzonej właśnie w języku ojczystym.

Wielkie zainteresowanie poezją Dantego przyniósł ze sobą dopiero jednak romantyzm, przypadający we Włoszech na okres Risorgimenta, zafakcjonowanego zjednoczeniem kraju. Otóż Dante nie tylko jako poeta, ale i jako człowiek, wygnaniec z własnej ojczyzny, stał się dla ludzi owej epoki ideałem. Bojownicy o wolność i o zjednoczenie kraju, poeci, pisarze, politycy więc Ugo Foscolo, Cesare Balbo, Vincenzo Gioberti, Giuseppe Mazzini i wielu innych zajmują się ubocznie Dantem, upatrując w nim prekursora idei niepodległościowej, a w każdym razie wygnańca z własnej ojczyzny jak niektórzy z wymienionych. Możliwość mówić o globalnym zainteresowaniu się wielkim poetą, zainteresowaniu, które odtąd nie miało zahamowania we własnej ojczyźnie i udzieliło się również obcym narodom.

* * *

Nic więc dziwnego, że gdy Włochy po długim okresie walk zjednoczone w jedno państwo, uczciły jak najbardziej uroczyste sześćsetlecie urodzin poety. Stolica państwa znajdowała się wówczas we Florencji, święto przeniesiona z Turynu, a Rzym

razem z Lazio stanowiły jeszcze ostatnie terytorium Państwa Kościelnego.

Na uroczystości przybył król Wiktor Emanuel II, przybyły delegacje ze wszystkich prowincji kraju, reprezentanci państw obcych oraz instytucji naukowych. Oto jak pisze o tych uroczystościach **La Civiltà Italiana**-literacki periodyk florencki tego czasu z dnia 21 maja 1865 r.: „Manifestacje, jakie odbyły się we Florencji, w dniach 14, 15, 16 maja, na cześć boskiego Poety nie mają równych w naszej pamięci; a jednak Dante nie był ani księciem ani świętym. Ludność włoska zbiegła się z najdalszych ziem półwyspu, ze wzgórz, dolin i odległych wysp, by ucześć swojego poetę... Tak uczyniły miasta włoskie, które wysłały swoich przedstawicieli do Florencji, tak związki robotnicze, do których był zapisany boski poeta w swojej ojczyźnie, tak Brescia, której Lożę Arnaldo reprezentował doktor Odicini, tak w końcu cała ludność toskańska, która wzięła udział w manifestacji ku czci największej swojej sławy... Godni pamięci tej uroczystości są: pomnik Dantego dłuta Enrico Parri, który zadziwiająco umiał odtworzyć i miłym uczynić wyraz twarzy boskiego poety; zbiór codzieli danteschi...; tłumaczenie **Boskiej komedii** ofiarowane miastu Florencji przez znakomitego poetę amerykańskiego Longfellow; przedstawienie Franceski z Rimini w cudownym i brawurowym wykonaniu naszych największych artystów dramatycznych Adelaide Ristori, Ernesto Rossi i Tommaso Salvini; Publikacje na cześć Dantego...“

Na innym miejscu, we wspomnianym artykule, jest wzmianka o udziale przedstawicieli państw obcych w uroczystościach. Figurują tam ministrowie, poeci, uczeni, krytycy i inni. Naturalnie Polska była obecna. Nie znajdowała się wówczas na mapie Europy. W dodatku uroczystość przypadła na najsmutniejszy okres epoki porzobiorowej, bo po powstaniu styczniowym. Nie oznacza to, by Dante był postacią obcą społeczeństwu polskiemu. Zna-

li go już nasi poeci złotego wieku zwłaszcza ci, którzy się zaznajomili z literaturą włoską, ale wpływ Dante wywarł dopiero na naszych romantyków nade wszystko na Słowackiego i Krasińskiego. Za pierwszego naszego dantologa należy uznać jednak J. I. Kraszewskiego. Nie tylko przetłumaczył on **Boską komedię**, chociaż jej nigdy nie wydał, ale i napisał studium o Dancie niestety w języku niemieckim (J. I. Kraszewski, **Dante, Vorlesungen ueber Goetliche Komödie**, gehalten in Krakau und Lemberg 1867 Dresden 1870). To studium było zebraniem odczytów, wygłoszonych w Krakowie i Lwowie i wydanych w formie książkowej. Nie tu miejsce na zastanawianie się dlaczego Kraszewski nie wydał swojego tłumaczenia **Boskiej komedii** lub dlaczego studium opublikował w języku niemieckim. Warto tylko podkreślić, że Dantem zajmował się nasz pisarz na długo przed wyjazdem do Włoch, jeszcze w czasie pobytu w Żytomierzu oraz usilnie pragnął, aby w sześćset-lecie urodzin wielkiego florentczyka nie brakło nauki polskiej.

Kiedy już mowa o znajomości Dantego w Polsce, w ubiegłym wieku, trzeba dodać, że zajęło się nim, równocześnie z Kraszewskim, wielu innych autorów. I wtęry właśnie ukazało się pierwsze całkowite tłumaczenie **Boskiej komedii** Juliana Korsaka (1860), potem Antoniego Stanisławskiego oraz częściowe C. Norwida, L. Kamińskiego i innych.

OD tamtej rocznicy dzieli nas dzisiaj sto lat. Wiedza o Dancie ogromnie wzrosła. W ostatnim stuleciu przybyła taka ilość publikacji, że trudno jest o dokładną ich bibliografię. We Włoszech ukazuje się też specjalny periodyk poświęcony studiom o poecie.

Siódme więc stulecie jego urodzin obchodzi się jeszcze bardziej uroczysto od poprzedniego. Pierwszą z inicjatywą wystąpiła Florencja. Odbyły się tam, w drugiej połowie kwietnia (20-23) „Dni dantejskie“, na program których złożyły się: kongres studiów dantejskich; wystawa dokumentacyjna druków dantejskich, poczynając od najdawniejszych, w tym także wydań ilustrowanych; koncerty najstarszych kompozycji muzycznych, wykonanych na dawnych instrumentach.

W kongresie wzięli udział dantolodzy, krytycy i poeci różnych krajów. Odczyty wygłosili, między innymi, Saint-John Perse laureat Nobla, prof. Saepeno z Rzymu, Gilles G. Meerseman z Fryburga, Charles Singleton z Baltimore, Etienne Gilson-członek Akademii Francuskiej i inni. Wymieniam kilku dla przykładu. Najliczniej była reprezentowana, co jest zrozumiałe, nauka włoska. Uniwersytet florencki nadał, w związku z uroczystościami, niektórym obcokrajowcom laura ad honorem. Otrzymali ją, wymieniam w porządku alfabetycznym; Fränkel, Kägi, Kotarbiński, Middeldrof i Perelmann.

Kongres przeniósł się następnie, razem z wystawą, do Werony i Rawenny. Bez wątplenia to spotkanie specjalistów jak i wygłoszone przez nich odczyty będą miały swoje echo w późniejszej dantologii.

Wśród całego społeczeństwa włoskiego większe jednak echo od uroczystości florenckich wywołał obchód urządzony na Kapitolu w Rzymie, w dniu 11 maja b.r. Wzięli w udział: prezydent Giuseppe Saragat, marszałek sejmu Bucciarelli Ducci, premier Aldo Moro, wielu ministrów, przedstawiciele instytucji naukowych, korpus dyplomatyczny w komplecie, reprezentanci Kościoła: kardynałowie Traglia, Cento i Bacci oraz prezydenci miast Rzymu, Florencji, Rawenny i Werony.

Wśród przemówień na uwagę zasługuje przemówienie prezydenta, który nawiązał czasy obecne do okresu Risorgimenta, kiedy to Dante, o czym wspomnieliśmy uprzednio, stał się jakby symbolem zjednoczenia kraju. Saragat zwrócił się również do całego narodu, by czytał dzieła największego swego poety zaś do uczonych i wydawców, by uprzystępnili to czytanie przez wydania popularne, dostępne dla wszystkich, ze skromnymi objaśnieniami i bez szerokiego aparatu naukowego. „I nie przejmujcie się — mówił — jak rozumie go czytelnik i czy go rozumie lub źle rozumie. Chociaż mylnie pojmie jakiś szczegół, rozumie jednak całość“.

Wydawcy rzeczywiście przyczynili się wiele do spopularyzowania Dantego. Ważniejsze domy wydawnicze starają się dostarczyć czytelnikowi poszczególne utwory lub

wszystkie dzieła po cenach możliwie niskich. Wśród wydawnictw znalazły się i dwa wydania okazywane **Boskiej komedii**. Jedno zaprezentował Aldo Martello, drugie Istituto Poligrafico dello Stato. Pierwszy z nich, miłośnik sztuki drukarskiej, wydał dzieło w trzech tomach dużego formatu i na specjalnie w tym celu wyprodukowanym papierze, ale tylko w 500 egzemplarzach. Tekst jest podany bez komentarzy natomiast zdobią go ilustracje wykonane przez 51 najwybitniejszych współczesnych malarzy i grafików włoskich, wśród których figuruje także światowej sławy Giorgio De Chirico. Cena jednego egzemplarza wynosi pół miliona lir włoskich, za tę samą sumę można nabyć wóz Fiat 500. Na zakup jego mogą sobie pozwolić więc ważniejsze biblioteki, bibliofile i amatorzy rarytasów.

Boska komedia wydana przez Istituto Poligrafico dello Stato, słowem przez państwo, jest nieco mniej kosztowna, także bez objaśnień w tekście, natomiast z ilustracjami „kodeksów dantejskich“.

Wiedza o Dancie ciągle wzrasta i poszerza się. By zdać sobie sprawę z ogromnej ilości publikacji, w tym tłumaczeń, komentarzy, monografii, przedruków dzieł, wystarczy przeglądnąć **Studia dantejskie w latach 1950-1965** (Gli studi danteschi dal 1950-1965, Centro Editoriale Internazionale, Roma 1965), które przygotował Enzo Esposito. Figuruje tam, zawsze na przestrzeni 15 lat, 2,438 pozycji, w tym samych wydań **Boskiej komedii** i studiów o niej aż 1,372.

A JAK się przedstawia polski dorobek naukowy w dziedzinie dantologii? Oprócz wymienionych wyżej tłumaczeń **Boskiej komedii** Korsaka i Stanisławskiego i fragmentarycznych innych autorów przybyło następne całkowite, najznakomitsze i dotychczas nie prześcignione — E. Porębowicza. Tenże sam tłumacz dał też pierwszą monografię o poecie, opracowaną w sposób naukowy („**Dante**“, Lwów-Warszawa 1906). W ogóle na przełomie XIX i XX wieku wzrosło ogromnie zainteresowanie się Dantem w społeczeństwie polskim. Cały nasz dorobek w tej dziedzinie przedstawił, w bibliograficznym studium, W. Preisner (**Dante i jego dzieła w Polsce**, Toruń 1957).

Za najlepsze pozycje okresu powojennego należy uznać, obok pracy Preisnera, nowe tłumaczenia **Boskiej komedii** A. Świderskiej; obszernie i wnikliwie studium K. Morawskiego (**Dante Alighieri**, Warszawa 1961); oraz ostatnie wydanie **Boskiej komedii** (1965) w tłumaczeniu Porębowicza, ilustrowane, przy czym ilustracji dostarczyło 33 artystów malarzy. Jest to wiele, chociaż w dantologii światowej nasz dorobek przedstawia się raczej skromnie.

Obecnie w Rzymie, w Palazzo Venezia, została otwarta „Narodowa wystawa dantejska“, gdzie, w ostatnich salach, pokazano „Losy Dantego w świecie“. Są to publikacje różnych narodów, wśród których figurują i polskie, niestety prawie niewidoczne. Te publikacje pochodzą, również niestety, nie z bibliotek polskich, lecz zostały wypożyczone z Fundacji Marco Besso. A szkoda. Wprawdzie nie możemy się wykazać takim dorobkiem jak Niemcy, Hiszpania czy Anglia, by wymienić tylko niektóre narody, imponujące ilością publikacji, ale przecież wiele dokonaliśmy i to dokonanie przez czyjąś opieszałość nie zostało uwidocznione.

Stanisław Piekut

CZESŁAW DOBEK

B.D.I.C.

Z NOTATNIKA SZYDERCY

RASIŚCI

— No i co pan myśli o Rodezji? Pytanie to zadał siedzący po mojej lewej ręce łysy pan, panu siwemu, siedzącemu naprzeciw trochę na skos ode mnie, w polskim (naturalnie) lokalu aprowizacyjnym.

— Bo ja panu powiem — nie dając czasu na odpowiedź ciągnął łysy — że to skandal. Taki Smith robi sobie, co chce i nikt mu nie zrobić nie potrafi. Bo, szanowny panie, w żadne sankcje ekonomiczne nie wierzę. Postraszą, na chwilę zagrożą dostarczanie benzyny i wykup tytoniu i koniec. Będzie jak chce ten faszysta, ten dyktator, ten...

— Panie! Panie! — przerwał wreszcie siwy. — Nie wolno obrażać głowy państwa.

— Panie — krzyknął łysy — jaka to głowa? Zamieszania w całym świecie naczynił i Rosjan do Afryki zaprasza.

— Panie, Panie — znowu hamował łysego siwy. — Tylko bez takich insynuacji. Nie słyszał pan, co Smith mówił na konferencji w Londynie? To ta czarna opozycja zbuntowanych kacyków komunikuje się z Moskwą i broń stamtąd otrzymuje.

— Nie znoszę tego — palnął w stół pięścią siwy — najłatwiej wszystko na czarnych zwałać.

— A pan znaczy filo...tego...filonegroidalny?

— Ja jestem za sprawiedliwością — dumnie wypiął się łysy. — Bez względu na kolor.

Siwy uśmiechnął się złośliwie i przez chwilę mieszał w wysokiej szklance tak zwanej „Russian tea“, gdzie woreczek z fusami herbacianymi Bondsa gonil wyschniętą skórę cytryny.

— A czy to pan — powiedział niby obojętnie — dał to ogłoszenie do kiosku w poszukiwaniu lokatora: European only?

— Co to ma do czego? — obruszył się siwy. — To jest byznes.

— Jeżeli pan za Murzynami, to trzeba z nimi mieszkać.

— A pan mieszka?

— Ja nie złorzeczę na Smitha i jego rząd. Ale pan taki sprawiedliwy, a biednego Murzyna z domu gna jak psa.

— Wcale nie jak psa. Tylko muszę tak urządzić się, żeby mi lokatorzy nie uciekali z domu. Mam dwóch Anglików, jednego Duńczyka i bardzo porządną panienkę z ambasady amerykańskiej. Czy pan pozwoliłby na to żeby wśród takich lokatorów zamieszkał dziki człowiek z Kenii?

— A więc widzi pan — tryumfalnie zawołał siwy — tu pogrzebali psa.

— Pan znowu z psem. Ale ja panu powiem wyraźnie, że pan jest rasistą. I to nie z powodu byznesu tylko z zamiłowania.

— Panie! Panie — siwy aż przypowstał z przejęcia. — Tego mi pan nie zarzuci. Należę do demokratycznego zgrupowania emigracji i jestem raczej na lewo. Jeżeli uważam, że Smith miał prawo ogłosić niepodległość to zupełnie inna rzecz. Sprawa skóry, uważa pan jest mi zupełnie obojętna, tu chodzi o edukację. Poduczy się ich należycie i wtedy proszę: równouprawnienie na całego, ale teraz niech czekają.

— Ja panu coś powiem — zapeczył się łysy — umie pan mówić po angielsku?

— No — obraził się siwy — wystarczająco. Porozumię się w sklepie i nawet w urzędzie.

SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
wykonują

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Biuro Podróży: ANGLOPOL TRAVEL, 38, Thurloe Pl., London, S.W. 7.

— Duka pan ledwie, ledwie — śmiał się łysy. — Ja wiem jak pan jest z angielskim. Czy pan nie musiał w sądzie mieszkaniowym zapłacić trzy funty dwanaście szylingów? W gazecie o tym pisano.

— Co innego w sądzie, ale w życiu dają sobie radę.

— No właśnie, ledwo, ledwo, i pan powiada o edukacji. Panie Mizronek, czy panu jeszcze żaden Anglik nie powiedział, że gadasz pan po angielsku jak Murzyn? As a black man from Kilimandżaro?

— Mnie tego nikt nie powiedział i nie powie.

— A to dlaczego?

— Bo jestem, panie, biały. Rozumie pan? Biały.

Naturalnie wstałem natychmiast i wyszedłem. Nie potrafię siedzieć przy jednym stoliku z rasistami. Zwłaszcza, gdy mogą każdej chwili pobić się i mnie potem ciągać po sądach jak świadka.

PREZENT Z OJCZYZNY

Nie jeżdżę do Polski na urlopy i nie wożę prezentów przez granicę, ale mając sporą garść krewnych przyjeżdżających tu z wizytą mam dom zastawiony polskimi kryształami, ściany zawieszono wypalankami z gliny na tematy Warszawy, stoły zarzucone albumami o bohaterkich dziejach Polaków i ich wstającej z popiołów architektury. Angielski kurz osiada na kolorowych krakowiakach i łowiczankach stojących na szafie, półki uginają się po pełnych wydaniach Słowackiego, Sienkiewicza i Dobraczyńskiego.(!).

Nie, nie jestem niewdzięczny. Pamiętam jak płakałem ze wzruszenia nad pierwszym talerzem malowanym, zawinięty w papier firmy Cepelia, jak ze wzruszeniem jadłem nieco zmurszałą czekoladę Wedla.

Jednak należy mieć serce, nawet tu na emigracji i należy oceniać właściwie dobre chęci i trud z jakim nasi rodacy zwożą tu dla nas nadwyrężające budżet i naciągające ręce ciężkie kryształy i pudowe tomska literatury pięknej.

Oceniamy.

Wypadek pierwszy: Pani Z. przysłała pani F. wielki kosz — pięć kilo wagi — świeżych, w oczyszczonym lesie zebranych czarnych porzeczek. Wyobraźcie sobie jak napracowała się panna B., która ten prezent dzwigała

kilkaset mil. Nie mogła się z nim rozstać nawet w samolocie, bo nie uważni tragarze gotowi byli by wycisnąć z jagódek ostatnią witaminę.

Wielkie było zdziwienie spracowanej panny B. gdy zobaczyła jak wiele tu „black currant“ i to we wszelkiej postaci, w płynie, w konfiturze, w pigułkach. Naturalnie nie ma tu owych czarnych witamin w takim pięknym koszyku lubianym.

Wypadek drugi: Pani K. przywiozła siostrze pierzynę. Bardzo praktyczny podarunek i przyznam że wspomniały na zimę. Ile pani K. napłakała się na komorze celnej, ile bojów stoczyła w obronie wielgaśnego stworu napelnionego puchem z kuprów gęsich, to tylko jej współpasażerowie wiedzą. Klęli ją, bo zatrzymała całą odprawę celną o dwie godziny. Nie chciała za dwie poduchy i za pierzynkę zapłacić iluś tam tysięcy złotych cła wywozowego.

Wypadek trzeci: Pani M. zaproszona do rodziny przywiozła całą szynkę, pięć pętek kiełbasy i worek kaszy gryczanej.

Wypadek czwarty. śmietana i placiki kartoflane.

Wypadek czwarty: śmietana i placiki. Na te jedzeniowe prezenty gniewają się nasi sklepikarze, tak zwani „delikatsiarze“. Nikt, naturalnie, nie gniewa się na alkohol. Ten w dużych ilościach przywożą praktyczniejsi i trzeźwiejsi z natury rzeczy panowie. Wódka wyborowa, luksusowa, jarzębiak i Sopllica cieszy się zawsze naszym uznaniem jako prezent godny obłania i to natychmiastowego. Najbardziej trzeźwi z gości sprzedają, czyli upłynniają miłą walutę w butelkach.

Nie mówiłbym nic o tych prezentach, przyjmowałbym je nadal w pokorze i cieszyłbym się razem z przyjaciółmi je otrzymującymi, gdyby nie super-wypadek, który właśnie się zdarzył.

Pani D. przywiozła swemu siostrzeńcowi, który zdał ostatnie egzaminy na lekarza autentyczną czaszkę i piszczele. Były one niegdyś ozdobą gabinetu lekarskiego dziadka, czy wujka, a teraz niby buławy i berło i jabłko miały stanowić insygnia władzy doktorskiej spadkobiercy.

Wyobraźmy sobie, co to było za zamieszanie, gdy celnicy Polski Ludowej otworzyli walizkę pani D. i ujrzeli smutne szczątki ludzkie

Czyje to? — zawołali drżącym głosem.

Jakie znaczenie polityczne mają te kości? Czy to nie głowa Bieruła wieziona na użytek czarnej magii emigracyjnej? Czy to nie szczątki jednego z królów mających pocieszać monarchistów z Ogniska w Londynie? Czy to nie pozostałości po aferze mięsnej?

Ileż złego może wyrządzić czaszka i piszczele wywiezione na zgnily Zachód? Może z podniesionymi do góry kośćmi męczenników władzy komunistycznej czarna reakcja będzie szła do boju z prawdziwą władzą ludową? Może wystawią te szczątki w gablotkach na pokazie mającym uświadamiać świat o terrorze komunistycznym?

Celnicy pocili się przez kilka godzin debatując między sobą, dzwoniąc do Warszawy, wachając kości i starając się określić ich wiek, rasę, płeć, przekonania polityczne.

W jaki sposób zostali przekonani nie wiadomo. Prawdopodobnie działał tu strach przed duchem byłego właściciela kości, który nie wypuszczony na wolność na Zachodzie mógłby straszyć celników do siódmego pokolenia.

Najważniejsze było to, że nigdzie, żaden kodeks nie przewidywał embargo na kości mające za sobą kilkadziesiąt lat przebywania w gabinecie lekarskim. Nawet w Trybunie Ludu nie napisano, że takowe podlegają zakazowi wywozu, albo oeleniu.

Zwyciężyła tradycja i odważna pani D., która zapakowawszy piszczele i czaszkę na dno walizy ruszyła wreszcie w dalszą drogę.

Jaki był dalszy los tego makabrycznego prezentu należałoby zapytać młodego doktora. Jeżeli we właściwym czasie kupił sobie plastikowy szkielet u T. Gerrarda za kilka funtów, to może zawiąził szczątki na cmentarz, albo używa czaszkę do przechowywania tytoniu fajkowego, a piszczele jako pogrzebaczki przy sztucznym elektrycznym „fire“.

I jedno i drugie byłoby wielkim występkiem wobec świętych prezentów z ojczyzny.

Ja otrzymaną trzy lata temu kaszę gryczaną przechowuję do dziś w skrzynce z pachnącej sośniny znad jezior mazurskich.

Czesław Dobek

Druga wojna światowa na placówce w Turcji

„Dziennik ankarski 1939-1943“ Michała Sokolnickiego *) to widziana, przez kalejdoskop zapisków osobistego dziennikarza ambasadora II wojna światowa, od chwili jej wybuchu 1 września 1939 do śmierci gen. W. Sikorskiego w lipcu 1943. Bezpośrednio przed gibraltarską katastrofą autor spędził z gen. Sikorskim kilka dni w Libanie na długich rozmowach i konferencjach, podczas których snuto plany na dalszy bieg wojny i formułowano program działania. Na tle, w ten sposób odmalowanym, końcowy akcent książki nabiera szczególnie tragicznego wyrazu.

Michał Sokolnicki został ambasadorem w Turcji na wiosnę 1936 r., czyli blisko rok po śmierci Józefa Piłsudskiego, ale — jak to na wstępie podkreśla z oczywistą dumą i o czym go zawiadomił przy nominacji min. J. Beck — przewidziany był na to stanowisko jeszcze przez zmarłego Marszałka Polski. Świadomość tego towarzyszy mu też stale pracy ambasadora na placówce tureckiej i nazwisko Piłsudskiego pojawia się w „Dzienniku ankarskim“ niejednokrotnie we wspomnieniach, porównaniach historycznych i politycznych rozważaniach, którymi autor hojnie wzbogaca swoje notatki.

Chodzi w tym zresztą nie tylko o sentyment wychowanka i żołnierza do zmarłego Komendanta. Turcja w naszej polityce, zmierzającej do zapewnienia Polsce, zagrożonej od zachodu przez Niemcy i od wschodu przez Rosję samodzielności i bezpieczeństwa, musiała odgrywać poważną, choćby potencjalnie rolę. Nie będącą już mocarstwem, ale posiadającą również stanowczą wolę samodzielności i również zagrożoną od północy przez imperializm Moskwy, wystawiona wreszcie na rozmaite międzynarodowe naciski z powodu znaczenia cieśnin, leżących w jej granicach, Turcja posiadała z Polską szereg punktów zbieżnych i otwierających widoki konkretniejszego współdziałania na przyszłość. Wybuch wojny we wrześniu 1939, dalej pojawienie się Niemiec Hitlerowskich na Bałkanach w sąsiedztwie Turcji i tak już sąsiadującej z Sowietami, czyli zagrożenie jeszcze podobniejsze do polskiego, wszystko to pogłębiło niepokojące analogie zarazem i wspólnotę politycznego rozumowania. Z tego amb. Sokolnicki w miarę możliwości próbował umiejętnie kuć trwałą kapitał polityki międzynarodowej.

Taka rola Turcji, podczas ostatniej wojny nadaje „Dziennikowi ankarskiemu” większe znaczenie ogólne, niż neu-

ZDZISŁAW STAHL

tralność tego państwa i jego siła mogłyby zapowiadać. Skrzyżowanie wysiłków dyplomacji niemieckiej i sowieckiej z jednej strony, a brytyjskiej i następnie amerykańskiej — z drugiej, wszystko to dokonywało się na terenie stolicy tureckiej i jest w zapiskach autora książki przedstawione. Dla czytelnika polskiego ponadto, niezależnie od wspomnianej roli Turcji w naszej polityce zagranicznej, diariusz Michała Sokolnickiego daje pogląd na Turcję, Bałkany i cały Środkowy Wschód, jako na obszary wprawdzie tragicznego eksodusu z granic okupowanej Polski, a później formowania się polskich oddziałów zbrojnych Brygady Karpackiej i następnie 2 Korpusu. Ten bogaty w historię obszar, zwany kiedyś Azją Mniejszą, a następnie Środkowym i Bliskim Wschodem stał się dla nas po roku 1939 istotnie „bliski“. „Dziennik ankarski“ fakt ten barwnie i na szerokim tle ilustruje.

TURCJA, JEJ PRZYWÓDCY I POLITYKA

Dzieło amb. Sokolnickiego maluje nam też główne postacie rządowej tureckiej i międzynarodowej, dyplomatycznej sceny kraju Kemala Attatürka. Zmarły przed wybuchem wojny sam dyktator, dalej jego następcą prezydent İsmet İnönü, z kolei minister spraw zagranicznych i następnie premier Sükrü Saraçoğlu, potem Menevcoglu Numan, sekretarz generalny ministerstwa spraw zagranicznych i potem minister tegoż resortu, ambasadorowie i generałowie, dziennikarze i politycy, wszyscy oni żyją na kartach „Dziennika ankarskiego“, scharakteryzowani z życzliwym obiektywizmem i literackim talentem przez naszego ambasadora. Turcja z jej trudnymi do wymówienia i poprawnego napisania nazwiskami, z jej dla nas egzotykiem, staje się, dzięki Sokolnickiemu, zrozumialsza. Zdajemy sobie też lepiej sprawę po przeczytaniu tego diariusza, dlaczego śmiertelny w ciągu wieków wróg, przedstawia się nam dziś w świetle jasnym, przyjaznego partnera i potencjalnego sprzymierzeńca.

Wnikliwie scharakteryzowana przez Autora, międzynarodowa polityka turecka staje się też dla nas pouczająca. Sokolnicki pokazuje, jak chęć współdziałania z mocarstwami zachodnimi łączyła się u przywódców nowoczesnej

Turcji wychowanych przez Kemala, ze stanowczą wolą zachowania zarazem własnej linii politycznej, nie stania się satelitą żadnego z nich. Obroniwszy się przed intrygami ambasadora III Rzeszy, von Papena, wytrzymując naciski ambasadora Moskwy, Weinberga-Winogradowa, tureccy mężowie stanu nie dawali się jednak uwodzić interesom W. Brytanii czy Stanów Zjednoczonych, o ile mocarstwa te próbowały skłaniać ich kraj do zboczenia z linii własnego interesu narodowego, który pojmowali w II wojnie światowej, jako neutralność.

Cała ta dyplomatyczna gra i główni jej aktorzy zachodni, brytyjski Sir Hughe Knatchbull-Huggessen czy L. Steinhardt, ambasador Stanów Zjednoczonych, z plejadą przedstawicieli państw mniejszych, europejskich czy azjatyckich lub pld. Ameryki są przedmiotem zapisków Sokolnickiego. I wszystko to składa się na wojenny teatr korpusu dyplomatycznego w ważnym kraju neutralnym, korpusu którego dziekanem jest Autor, ambasador państwa okupowanego w pierwszej fazie wojny, lecz walczącego dalej zbrojnie z wrogami, a politycznie także ze sprzymierzeńcami oraz ich, zarysowującą się już w atmosferze, przyszłą zdradą. Ankara w notatkach Sokolnickiego przestaje być bowiem tylko bożym torem czy „prowincją“ polityki międzynarodowej. Wszystkie ważne fakty i posunięcia Paryża, czy następnie Londynu i Waszyngtonu znajdują odbicie na scenie tureckiej i w diariuszu naszego bystrego i czujnego tam ambasadora, który ogarniał cały horyzont polityczny wojny.

RONCALLI — DE GAULLE

Wśród sylwetek, pojawiających się w „Dzienniku ankarskim“ znajdujemy też osobistość, które owego czasu odgrywały rolę drugoplanową i dopiero później wysunęły się na czoło polityki światowej. I tak, w bezpośrednich stosunkach osobistych byli, ambasador i pani Sokolnicka z Delegatem Apostolskim w Turcji, A. G. Roncalli'm, z którym widzimy go w towarzystwie państwa Sokolnickich na jednej z ilustracji 14, skorowidz nazwisk.

*) Opracowanie płk. T. Schaetzla, wydawnictwo Instytutu Józefa Piłsudskiego, Londyn-Nowy York, nakładem Gryf-SPK, Londyn 1965, stron 576, ilustracji 14, skorowidz nazwisk.

cji. Ostatnim załącznikiem książki jest też, pełen słów miłosierdzia wobec Polski, list tego przyszedłego Papieża Jana XXIII do Autora. Arcybiskup Roncalli zorganizował po wrześniu komitet pomocy uchodźcom z Polski i uczucia swoje pokojowe wyraził też w zanotowanej przez Sokolnickiego rozmowie (str. 86), sugerującej — zapewne z inicjatywy Papena — ewentualność pojednania z III Rzeszą. Widzimy stąd, jak dostoyny ten arcybiskup już wtedy kierował się również w polityce przede wszystkim sercem i zbyt ufną chrześcijańską miłością.

Drugą postacią historyczną, występującą na łamach omawianej książki, która w latach 1940-43 odgrywała mniej znaczną rolę, niż następnie i teraz, jest generał de Gaulle. Dowodząc wierności pierwotnym zapiskom ze strony Autora, „Dziennik ankarcki“ pod datą dnia 18 czerwca 1940, ani w dniach następných nie zawiera nawet wzmianki o londyńskim wystąpieniu twórcy „Francji Walczącej“. Kapitulacja Francji zanotowana jest pod 19 czerwca (str. 97), ale w dwa dni później obok Petain'a, który za nią odpowiadał, czytamy jedynie nazwisko Weygand'a i zdumienie, że się zaimała. Sprawa Francuzów, zdecydowanych na dalszą walkę z Niemcami, pojawia się dopiero następnie, jako bliski geograficznie problem formujących się na terenie, francuskiej wówczas, Syrii zaczątków przyszłej Brygady Karpackiej pod dowództwem gen. Kopańskiego.

Wtedy, aż 19 lipca pada nazwisko de Gaulle'a i to w związku z ambasadorem Francji w Ankarze, R. Massig'li, o którym zanotowane mamy na str. 116 uwagi Papena, że „reprezentuje obecnie raczej generała de Gaulle'a, niż istniejący rząd francuski“. Nie docenił także de Gaulle'a gen. Sikorski, który pod koniec grudnia 1942 mówi Autorowi w Kairze, że „przewiduje w końcowej fazie wojny udział Francuzów przeciwko Niemcom“, ale dodaje: „mielśmy niedawno zgłoszenie dwóch generałów, ruch o wiele poważniejszy od de Gaulle'a“. Podobnie zresztą zapatrywano się współcześnie na personalia francuskie w Londynie i Waszyngtonie. Przypisanie w 1940 roku nieznanemu przedtem na terenie międzynarodowym, stosunkowo młodemu generałowi francuskiemu większej roli było by antycypacją, a nie oddaniem rzeczywistości historycznej tego czasu.

Trudne i dramatyczne w swojej istocie zagadnienie stosunku Polski do Sowietów, po wybuchu wojny 22 czerwca 1941 r. wojny z ich poprzednim sprzyrzeniem niemieckim, znajduje też w „Dzienniku ankarckim“, ogarniającym zresztą swoimi horyzontami nieprzerwaną całość sprawy polskiej, sil-

ne oraz indywidualne echo. W Londynie kapitalny ten problem polityki międzynarodowej związał się, chyba aż nazbyt ściśle z wewnętrzną kontrowersją rządu i opozycji, ale ze swojej placówki w Ankarze Autor „Dziennika“ widział tę sprawę inaczej. Choć związany ideowo z obozem, który stanowił główny człón ówczesnej opozycji przeciw rządowi Sikorskiego, Sokolnicki w ocenie układu z 30 lipca 1941 r. zachowuje rezerwę, daje wyraz stanowisku obiektywnemu i na str. 255-6 wylicza szczegółowo argumenty za i przeciw jego zawarciu.

UKŁAD POLSKO-SOWIECKI Z 30 LIPCA 1941

Przeciwnicy układu, wychodzili ze stanowiska zasadniczej nieufności do Sowietów i o tyle mieli słusność. Osobiście, gdybym był wówczas w Londynie, byłbym prawdopodobnie także przeciw lipcowemu układowi, ponieważ ideowo byłem również bliski opozycjonistom. Układ jednak zastał mnie z setkami tysięcy innych w niewoli sowieckiej i stał się deską ratunku. Wiąziono mnie latem 1941 r. z kilkudziesięcioma innymi w więzieniu kijowskiego transportem kolejowym na Daleki Wschód, przez Władywostok i Buchtę Nachodkę na Kołymę. Na dworcu około połowy lipca w Moskwie eskorta groziła nam jako „faszystowskim psom“ rozstrzelaniem, choć przez dwa lata współpracy sowiecko-hitlerowskiej zarzucano nam, że „wy paszli z Angliu“. W początku sierpnia, na dworcu w Irkucku usłyszeliśmy przez radio nazwisko Sikorskiego i potem w gazecie, której skrawek dostał któryś od strażnika na papierosa, odczytaliśmy wiadomość o układzie. Po przybyciu do załadowczego łagru Nachodki zostaliśmy, jako Polacy, wydzieleni na osobną zonę i nie dołączeni do transportu morskigo na Kołymę, który po paru dniach odszedł. Patrzyliśmy ze współczuciem, ale również z niewypowiedzianą ulgą, na tragiczny pochód stracenców, pędzonych z obozu do portu. Gdyby nie układ, byłibyśmy z nimi, bez większych szans przeżycia i powrotu.

Czy opozycja przeciw układowi była uzasadniona, kto miał wówczas w lipcu słusność? Myślę, że dziś, po blisko ćwierćwieczu można się kusić o sąd obiektywny, który wypada na korzyść ówczesnej decyzji gen. Sikorskiego, jako posunięcia taktycznego, które wyzyskało czasową koniunkturę międzynarodową. Układ lipcowy nie sprowadził polityki rządu polskiego na drogę uległości wobec Moskwy i nie stał się w żadnym stopniu argumentem za późniejszymi postanowieniami Teheranu i Jałty, które pozbawiły Polskę ziem wschodnich i niepodległości. Ani Sta-

lin, ani jego zachodni partnerzy, ani nikt inny nie powołał się nigdzie, o ile mi wiadomo na tekst z 30 lipca 1941, jako rzekomo osłabiający nasze prawa do granicy ryskiej, co było przeciw układowi wysuwane.

Układ, nie wypaczywszy w rezultacie kierunku naszej polityki, ani nie osłabiwszy naszych praw terytorialnych, przyniósł przecież wolność lub ulgę ludności polskiej wywiezionej do Rosji i wreszcie umożliwił utworzenie armii polskiej, która odegrała następnie doniosłą rolę w wojnie i po niej.

W tym punkcie zbyt pesymistyczny okazał się pogląd również amb. Sokolnickiego. Pisze on, wymieniając argumenty przeciw układowi: „3) Iluzoryczność i szkodliwość tworzenia wojska polskiego w Rosji: — iluzoryczność, gdyż materiał jest pod znakiem zapytania, skupienie jest nieprawdopodobne, a dobra wola komunistycznej Rosji w tworzeniu armii od komunistów niezależnej — bajką wierutną; szkodliwość, gdyż armia polska w Rosji, jeśli przypadkiem jednak zostanie utworzona, będzie się bić bez związku z Polską, a w obronie Rosji, w rezultacie ostatecznym — dla sprawy komunizmu...“ Otóż, mimo potwierdzenia się niektórych zastrzeżeń Autora, nie przewidział on, że armia nasza w Sowietach znajdzie na swoim czele w generale Andersie dowódcę, który natrafiwszy na złą wolę rządu sowieckiego, zdoła wojsko z granic ZSSR wyprowadzić.

WINOGRADOW SŁYSZY SŁOWA PRAWDY O KATYNIU

Czujny na wszystkie wydarzenia polityczne i przeżywający głęboko zwłaszcza ciosy, które, niestety, tak obficie spadały podczas II wojny światowej na nasz naród, Sokolnicki notuje już 17 kwietnia 1943 wiadomość o odkryciu pod Smoleńskiem grobów tysięcy oficerów polskich i odtąd śledzi pilnie rozwój tragicznej i brzemiennej w międzynarodowe następstwa sprawy. Katyń, co chciałbym tu dodać od siebie, z jednej strony potwierdził słusność pesymizmu w odniesieniu do perspektyw istotnego współdziałania polsko-sowieckiego, ale z drugiej strony — wykazał, jak bardzo trzeba było się spieszyć z ratowaniem wojska polskiego z niewoli sowieckiej.

Katyń był też głównym tematem półdyplomatycznej rozmowy, jaką notuje Autor na stronach 499-502 i która toczyła się między jego małżonką a ambasadorem ZSSR Winogradowem, Pani Irena z Podoskich Sokolnicka, jak wynika z „Dziennika“ dobrze była zorientowana w sprawach politycznych i cieszyła się dużym prestiżem oraz sym-

patią w ankarskim korpusie dyplomatycznym. Blżej zainteresowana dolą Polaków w niewoli sowieckiej, także z powodu tego, że brat jej Bohdan, b. wicemarszałek sejmu do nich należał, zapytała bez ogródek, spotkanego na przyjęciu, Winogradowa o przyczynę ataków sowieckich na rząd polski po jego zwróceniu się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o zbadanie grobów Katynia. Słusznie też, kiedy przedstawiciel Moskwy wytknął, że należało w pierw zapytać o wyjaśnienie wprost na Kremlu, pani Sokolnicka odpowiedziała przypomnieniem, ile razy próby te były ze strony polskiej od podpisania układu bezowocnie robione. Ostra wymiana zdań, o stosunkach naszych z Sowietami w ogóle, potoczyła się dalej w tonie nazywania rzeczy po imieniu, którego dyplomata: zwykle nie używają, ale w rezultacie którego Winogradow dowiedział się, co Polacy czują i myślą.

OSTATNIE ROZMOWY Z SIKORSKIM

Końcowym akcentem książki są długie rozmowy z gen. Sikorskim, albo raczej monologi, zapísane przez amb. Sokolnickiego, który na spotkanie z premierem i dawnym z czasów NKN oraz Legionów towarzyszem polityczno-wojskowej pracy, do Libanu z Ankary został wezwany. Rozmowy toczyły się między 20 a 28 czerwca 1943 i są zapisane na str. 533-544 „Dziennika“. Stanowią one w pewnym sensie polityczny testament, ponieważ gen. Sikorski w kilka dni później zakończył życie w gibraltarskiej katastrofie. Nadaje to szczególnej wagi zapiskom amb. Sokolnickiego, jako dokumentowi, któremu należały by się osobne rozważania i które zwrócą uwagę historyka wojny, czy polityki tragicznie zmarłego generała i męża stanu.

Tutaj chciałbym wskazać tylko na kilka punktów w zanotowanych wywodach gen. Sikorskiego. Przede wszystkim na pytanie Sokolnickiego, czy „nie miał pan generał trudności w wojsku?“, rozumie się podczas inspekcji armii pod dowództwem gen. Andersa i na odpowiedź gen. Sikorskiego, która brzmiała: „O nie, z wojskiem dam sobie radę. Przecież to naturalne, że wszystkie nastroje: ci ludzie są czwarty rok poza krajem, poza tym byli w Rosji i cierpieli; są także intrygi, ale to mniej ma znaczenia. Tyle o tym mówiono, tak mnie buntowano, ostrzegano (nie pan zresztą) — że w końcu musiałem im powiedzieć: dość tych gadań, żołnierz zrozumie się z żołnierzem...“

Tym żołnierzem jest, oczywiście, generał Anders i przytoczone słowa gen. Sikorskiego dowodzą, jak sprzeczna z prawdą jest komunistyczna propagan-

da, starająca się wyzyskać na swoją rzecz pamięć Zmarłego i przeciwstawić sobie obu tych wybitnych Polaków, szerzyć tak polityczne wśród nas rozbiecie. Potwierdzają one zarazem relacje gen. Andersa o osiągniętych wtedy porozumieniu, zawartą w jego wspomnieniach „Bez ostatniego rozdziału“ (str. 164, 3 wydanie).

Od innych plotek i intryg, robionych nieraz na rachunek premiera i naczelnego wodza, odcina się Sikorski podczas tych ostatnich rozmów jeszcze kilkakrotnie i bardzo ostro. Co najważniejsze wreszcie, ostatnie rozumowania gen. Sikorskiego dowodzą, jak bardzo rozczarował się do współdziałania z Sowietami i jak silna była jego ambicja utrzymania niezależności polskiej polityki i kontynuowania walki o niepodległość.

„JAK BURZA WIOSENN SPADA W DOLINY...“

„Dziennik ankarski“ ambasadora Sokolnickiego, to książka o wiele bogatsza w treść, niż znana i banalna rutyna dyplomatycznej codzienności mogła by zapowiadać. Świadczy ona, jak wiele kultury i ducha, inteligencji i nawet serca może włożyć w tę rutynę dyplomata, wartości te reprezentujący. Gdy dodać, że Michał Sokolnicki rozporządza również talentem literackim, w rezultacie piśmiennictwo polskie wzbogaciło się o książkę na poziomie najlepszych tego rodzaju wspomnień niektórych ambasadorów, zwłaszcza francuskich.

Książka jest wszędzie zajmująca i często fascynująca, ponieważ Autor, nie tylko notuje z codziennej rutyny, którą zresztą w kilku miejscach do wciwnie krytykuje, jedynie fakty ważne i streszcza przeprowadzane rozmowy, czy wymieniane noty, zwięzłe oraz interesująco. Ponadto, diariusz wydarzeń przeplata dwiema kategoriami osobistych wypowiedzi marginesowych. Są to, albo historyczne, lub raczej historyzoficzne rozważania dobrze wykształconego historyka i humanisty, prerażonego zdziwieniem ludzkości, ujawnionym w II-jej wojnie światowej, albo — opisy przyrody. Te ostatnie, do wódzace żywego jej odczucia, oddane poetycznym, pięknym językiem, to jakby wtychnienie artysty po codziennej pracy rzemieślnika-dyplomaty.

W tych wypowiedziach ujawnia się często również gorąca tęsknota za krajem i dumny patriotyzm Sokolnickiego. Na str. 489 np. czytamy opis przyjęcia, na którym ambasador nasz, jako dziekan korpusu dyplomatycznego, odpowiadał ministrowi spraw zagranicznych, Numanowi Menemencoglu, Po tej odpowiedzi orkiestra zagrała polski hymn narodowy. Sokolnicki pisze: „Wtedy, nad zebraniem przeszedł —

jak deszcz odżywczy przechodzi między drzewa, jak burza wiosenna spada w doliny — radosny, skoczny, chwytający, ponoszący, Mazurek Dąbrowskiego. Słyszałem go po raz pierwszy od dnia 1 września 1939“.

Zdzisław Stahl

PRZEWODNIK PO DROGACH I BEZDROŻACH EMIGRACYJNEJ MYŚLI POLITYCZNEJ

Z NATURY rzeczy publicystyka jest produktem niezmiernie przejściowym, nie nadającym się do przechowania na dłuższą metę. Pozbawiony historycznego dystansu, nie posiadający pełnego obrazu wydarzeń, silnie zaangażowany emocjonalnie publicysta pisze swoje artykuły dla celów natychmiastowego spożycia, gdyż po upływie bardzo nawet krótkiego czasu tracą one swoją aktualność, a z utratą aktualności — swoje prawo do życia. Publicystyka minionych okresów staje się polem badań dla specjalistów i bardzo cennym źródłem badań dla historyka danej epoki, ale dla przeciętnego czytelnika gazet czy tygodników artykuł publicystyczny rzadko żyje ponad kilka tygodni, a co najwyżej miesięcy. Jest to w pewnej mierze błogosławieństwem dla publicysty, bo mało kto — poza złośliwymi i nieprzyzwyczajonymi pamiętliwymi kolegami po fachu — pamięta jego błędne przepowiednie i mylne oceny sytuacji, które najlepszemu nawet dziennikarzowi politycznemu nierzadko się przytrafiają.

Tak wygląda sprawa w warunkach normalnych, w społeczeństwach osadzonych mocno w ramach własnego ustroju państwowego i mogących sobie pozwolić na luksus życia zwykłym codziennym życiem na własnej ziemi. My na emigracji odnosimy się do publicystyki nieco inaczej; w naszych warunkach oczekujemy od publicystyki czegoś więcej, niż ocen chwili obecnej. Nasza publicystyka musi nawiązywać zawsze do słynnej „sprawy polskiej“, aż do czasu, kiedy ta sprawa będzie w naszym zrozumieniu rozwiązana. Dlatego dobrze się stało, że praca p. Lidii Ciołkoszowej pt. „Publicystyka polska na emigracji 1940-1960“ zamieszczona pierwotnie w ramach pracy zbiorowej „Literatura Polska na obczyźnie“, wydanej staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, wydana została w formie osobnej odbitki. Pozwala to czytelnikowi, nieskłonemu do nabycia i czytania obszernego dzieła zbiorowego, na przypomnienie sobie streszczonych w ramach niedługiej broszury wytycznych, którymi kierowała się polska myśl polityczna na emigra-

eji. Naturalnie, wiele z cytowanych przez p. Ciołkoszową poglądów i wypowiedzi w pełni potwierdza fakt krótkotrwałość życia prac publicysty, ale nawet te przebrzmiałe i nieraz naiwne dzisiaj wyglądające stwierdzenia stanowią interesującą ilustrację rozwoju politycznej myśli emigracyjnej.

Praca p. Ciołkoszowej podzielona jest na rozdziały, obejmujące w formie chronologiczno-tematycznej wypowiedzi prasy emigracyjnej o najważniejszych zagadnieniach politycznych, dotyczących sprawy polskiej. Niektóre rozdziały dotyczą tematów, które z dziedziny publicystyki przeszły już dzisiaj do historii, jak np. sprawa odpowiedzialności za przebieg wojny 1939 r., kwestia powstania warszawskiego, problem wojennego ustosunkowania się do Rosji Sowieckiej, zagadnienie powojennego rozwiązania sprawy niemieckiej; inne zajmują się ciągle aktualnymi koncepcjami szukania przez Polskę dróg do wolności, założeniami federacyjnymi, rolą emigracji i jej stosunkiem do kraju, rozwiązaniem zawikłań polsko-niemieckich i polsko-ukraińskich i, naturalnie, podejściem do najtrudniejszego ze wszystkich problemu rosyjskiego. P. Ciołkoszowa, której przekonania nie są dla większości czytelników emigracyjnych tajemnicą, streszcza poglądy wszystkich odłamów myśli politycznej z podziwu godnym obiektywizmem, po-

ślugując się często umiejętnie dobranymi cytatami z utworów omawianych przez siebie autorów, które pozwalają nam ocenić oprócz poglądów także i styl indywidualnych publicystów.

Jakże w takim przeglądzie wypada polską publicystyką emigracyjną w porównaniu z poziomem publicystyki zagranicznej? Na pewno nie mamy powodu wstydzić się naszych publicystów; reprezentują oni bardzo obszerny wachlarz poglądów i temperamentów dziennikarskich. Na przestrzeni omawianych przez p. Ciołkoszową dwudziestu lat mieliśmy publicystę, mogącego pretendować do rangi emigracyjnej instytucji (Z. Nowakowski); mieliśmy prawdziwe „enfant terrible“ publicystyki (S. Mackiewicz); mieliśmy publicystów-romantyków (Matuszewski) i publicystów-ironistów (Słonimski); publicystów arbitralnych (Mieroszewski, W. Zbyszewski) i publicystów obiektywnych (A. Bocheński, Bregman); publicystów prawowicowych (Wasiutyński, Doboszyński) publicystów lewicowych (Ciołkosz, Z. Zaremba). Rozpiętość duża, różnice poglądów i metod publicystycznych ogromne, jak to słusznie podkreśla w zakończeniu swego ciekawego studium autorka. Musimy być wdzięczni p. Ciołkoszowej za tak umiejętnie zestawienie i sklasyfikowanie tego dorobku, który jakże łatwo mógłby być zapomniany.

S. Wóycicki

bohater nader interesująco grzeszy przez dziewięć dziesiątych powieści, ale z chwilą jego nawrócenia autor nie umie nam już nic więcej o nim powiedzieć i pośpiesznie zamyka swój utwór.

Niewątpliwie, zadania powieściopisarza i historyka sztuki nie są identyczne i pogodzenie ich w jednym utworze jest przedsięwzięciem ogromnie trudnym; dlatego na prawdę udanych w całej pełni powieściowych biografii artystów jest znikoma ilość. Powieść Wittlina do nich nie należy; posługując się metodą pokazania nam życia Modiglianiego w długim szeregu krótkich scen, które doskonale, chociaż trochę staromodnie, malują tło epoki i sypiąc, jak z rękawa, sylwetkami znanych artystów z odtwarzanego przez siebie okresu, Wittlin zapoznaje nas dokładnie z Modiglianem-człowiekiem, z jego charakterem, przyzwyczajeniami, usposobieniem, rodziną i otoczeniem; o Modiglianem-malarzu dowiadujemy się niewiele. W pewnej mierze ratują tu sytuację obfite ilustracje; niestety, wobec niskiej ceny książki nie mogą być one na takim poziomie graficznym, aby dać dobre pojęcie o sztuce Modiglianiego.

Mam wrażenie, że Wittlin zdawał sobie sprawę z jednostronności swego ujęcia życia Modiglianiego, o czym świadczą tytuły rozdziałów, nie nawiązujące do twórczości jego bohatera, a będące nazwami trunków i narkotyków. Ale chociaż prawdą jest, że Modigliani właściwie zapił się i zanarkotyzował na śmierć dokładną i barwną przedstawienie tej strony jego życia nie może w pełni wystarczyć temu czytelnikowi, który chciałby się czegoś dowiedzieć o jego sztuce.

Utwór Wittlina jest interesującym i żywo napisanym studium życia Modiglianiego na tle epoki, ale na pełną biografię włoskiego malarza, jako twórcy, w języku polskim będziemy jeszcze musieli poczekać.

S. Wóycicki

MODIGLIANI BEZ MALARSTWA...

Biografia raczej jednostronna

Tadeusz Wittlin: Modigliani, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1965.

NAPISANIE biograficznej powieści o artyście jest zadaniem bardzo trudnym i wymagającym ogromnej dyscypliny pisarskiej. Powieściopisarz, tworzący zupełnie fikcyjną postać, może zrobić ją taką, jaką ją chce mieć, i — przyjmując, że jest dobrym pisarzem — bohater jego będzie postacią pełną i psychologicznie przekonującą. Autor powieściowej biografii ma z góry zakreślone ramy, w których wolno mu się poruszać; jeżeli poza nie wyjdzie, może stworzyć bardzo ciekawą powieść, ale bardzo łatwo narazi się na zarzut nieściśłości biograficznej; jeżeli ich nie przekroczy, utwór jego będzie biograficznie bez zarzutu, ale bohater może się okazać postacią martwą i nieprzekonywującą.

W „Modiglianin“ Tadeusz Wittlin wyszedł obronną ręką z wyżej wspomnianych trudności, trzymając się ściśle historii życia swego bohatera, a równo-

ześnie malując bardzo żywą sylwetkę lekkomyślnego, dobrego, nie dbającego o pieniądze młodzieńca o dużym powodzeniu wśród kobiet. Stopniowo rozpięcie się i znarkotyzowanie Modiglianiego i jego nieprzywyciężona samotność duchowa oddane są doskonale, natomiast sztuka bohatera Wittlinowskiej powieści wydaje się być jak gdyby przyklejona do barwnie zarysowanej postaci. Gdyby Modigliani był trzeciorzędny pacykarzem, a nie wybitnym talentem, powieść Wittlina właściwie mogłaby pozostać bez zmian. Autor nie ma nam prawie nic do powiedzenia o malarstwie Modiglianiego poza gołym faktem, że bohater jego stworzył takie, a takie obrazy których zresztą nie opisuje; nie zajmuje się wcale jego malarską techniką, jego kolorystyką, jego linią. Z chwilą, gdy Modigliani zabiera się do malowania, fragment opowiadania się kończy i autor przechodzi do następnej sceny. Przypomina to żywo powieści niektórych znanych pisarzy katolickich, w których

PERIODYKI KOMBATANCKIE

SPK W KANADZIE

W pierwszym tegorocznym numerze kwartalnika „SPK w Kanadzie“ czołowe miejsce zajmuje tematyka „Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej“. Przynosi on nast. artykuły: S. Bóbr-Tylingo — „Zaczęliśmy już drugie tysiąclecie“; W. Wasiutyńskiego — „Przyjęcie chrześcijaństwa i jego skutki“; K. Orłowskiej — „Innej ofiary w czasie pokoju od nas wymagają“; Bohdana Mincera — „Wojskowość dawnej Polski“; Stanisława Lisa — „Złudzenia Moczara“; A. Czułowskiego — „SPK w ro-

ku 1965"; ks. E. Malaka — kazanie z okazji poświęcenia sztandaru Koła SPK w Toronto. Całości dopełnia bogata kronika z życia kół SPK w Kanadzie.

„KOMBATANT W AMERYCE“

Grudniowy numer tego kwartalnika poświęcony jest prawie w całości sprawom organizacyjnym naszego Stowarzyszenia w Stanach Zjednoczonych.

„KOMBATANT W BENELUXIE“

Numer zawiera szereg sprawozdań i notatek z obchodów ku uczczeniu pamięci żołnierzy polskich walczących w Belgii i Holandii w czasie drugiej wojny światowej — w Lomel, Axel, Gandawie, Charleroi, Brukseli, Liege, Nieuwpoort oraz w Tiel.

ZAMIAST ŻYCZEŃ ŚWIĄTECZNYCH

Janina i Antoni Baranowscy złożyli na Liceum Les Ageux Fr.30.00

RZETELNE ŚWIADECTWO

— generała Kopańskiego „Moja służba w Wojsku Polskim“

Stanisław Kopański: „Moja Służba w Wojsku Polskim“, Nakł. „Veritasu“, Londyn 1965, str.320 z ilustracjami poza tekstem. Obwoluta: Jan Rómmel.

Jak nazwać tę książkę? Autor mówi o niej jako o wspomnieniach, gdziein-dziej używa słowa „pamiętnik“. W moty-wacji swego zamiaru, w przedmowie, stwierdza, że „pamiętnik nie jest hi-storią, ale stanowi mniej lub więcej wartościowe źródło historyczne. War-tość tego źródła zależy od wielu wa-runków“. Generał Kopański podkreśla z naciskiem dwa warunki:

„— prawdomówność. Niech każdy autor będzie w stanie uroczyscie po-twierdzić, że tak pamięta wydarze-nia, jak je opisał;
— współczesność. Niech piszący nie

wkłada do swych przeżyć, jako mło-dego człowieka swego obecnego do-świadczenia, wiadomości oraz umie-jętności. Niech raczej obecną ocenę poda oddzielnie“.

Rzadko się zdarza w pamiętnikarst-wie, by treść odpowiadała zapowie-dziom, chciało by się powiedzieć „wy-tycznym“, jakie autor sam sobie sta-wia. Książka generała Kopańskiego jest godnym podziwu wyjątkiem; rze-czywiście z każdego zdania przebija prawdomówność i każde tak jest skon-struowane, by oddawało myśli i przeżycia piszącego nie z perspektywy mądrości nabytej w późniejszym życiu, lecz by-ły odbitką myśli, które go nawiedza-ły, gdy opisywane doświadczenia prze-żywał.

Na podziw zasługuje także wstrze-mięźliwość ocen, jakie autor nam prze-kazuje pod odpowiednią datą swego ży-cia. Wstrzemięźliwość ta, wyrosła ze wstrętu do blagi, — znana jest każde-mu, kto się zetknął z generałem Kopańskim. W „Mojej Służbie w Wojsku Polskim“ stanowi dużą atrakcję książ-ki.

Nie znaczy to, by z lektury nie wy-pływała zachęta do wydania sądu lub do rewizji sądu, jaki czytelnik mógł mieć w stosunku do różnych sytuacji historycznych, obyczajów wojskowych, osób i urzędów. Suche fakty w opisie autora dostarczają obfitej pożywki dla myśli. A nie są to zawsze myśli rado-sne. Niejedna z postaci znanych w Pol-sce niepodległej zsuwa się, lub obsuwa, z piedestału, w świetle słów generała Kopańskiego. W innych wypadkach tak zwana tajemnica szeptana, o któ-rej każdy lub bardzo wielu wiedzało przestaje być tajemnicą szeptaną. Przy-kład: opis metody czystki w wojsku po roku 1926, której nie uzasadniała, ani potrzeba, ani sprawiedliwość.

Pisanie wspomnień przez wyższych wojskowych jest ulubionym tematem dowcipów w każdym nieomal społeczeństwie. Często są to albo apologie własne, albo przelany na papier dalszy ciąg sporów sztabowych. Zwykle, za przedmiot biorą lata wojny i własnego dowodzenia, zbywając karierę wstępną mało ciekawymi uwagami wprowadzającymi. Bywają pamiętniki do-brze napisane, bywają po prostu nud-ne i mało potrzebne. Bywają i takie, których można było w ogóle nie pisać. Lecz pamiętać warto, że pamiętniki wzbogacają wiedzę historyczną i są nie-odzownym źródłem historycznym. W wieku dziewiętnastym pamiętnikarstwo dopomogło na zachodzie powstaniu no-woczesnej historiografii. W Polsce pi-

„CZAS GŁODU“

Tom poezji Marty Reszczyńskiej-Stypińskiej

Ukazał się nakładem „Gryfu“ tom poezji Marty Reszczyńskiej-Stypińskiej w układzie graficznym Danuty Laskowskiej. Autorka nie potrzebuje wprowadzenia. Znana jest w kręgach intelektualnych polskich, zarówno ze swej twórczości literackiej jak i z działalności kulturalnej. „Czas Głodu“ jest zbiorem wierszy o tematyce dość rozległej. Doskonała forma oznacza się przy tym zadziwiająco dostępnością w czytaniu. Całość zbioru obejmuje 39 utworów. Poświęcimy im więcej uwagi na naszych łamach, ograniczając się dzisiaj do przedruku wiersza pt.:

KATEDRA W KIRKWALL

*Przesypują się wieki w klepsydrze kamiennej
wpartej w niebo strzelistym łukiem.
Po nagrobkach nicości i chwaly
śladem imion, dziejów zetlatych,
liszaj pleśni pelźnie powoli.
Strop gotycki, jak pajak, z wysoka
rzuca cień w pustkę nawy, gdzie nikt się nie modli.
Mury klaszczą głośno w takt kroków.
Może gdyby w to wnętrze szerniałe,
może gdyby w tę ciszę pokutną
wpadły pyzate aniołki
i jak wróble ćwierkając, fruwały —
to by Bogu nie było tak smutno...*

„Czas Głodu“ jest do nabycia w księgarniach polskich i u wydawców. Egzemplarze numerowane. Cena 12/6, \$ 1.50 lub 10 F.

sano pamiętników niewiele, może dlatego głównie, że nie było komu ich wydawać. W obecnych warunkach pamiętniki z lat niepodległości i walki o nią są niejako surogatem historii, a nie tylko źródłem historycznym, skoro historia w Kraju podlega kontroli politycznej.

Generał Kopański lata szczytowe swej kariery wojskowej opisał w książce poprzedniej. „Wspomnienia wojenne 1939-1946“ są dokumentem ostatniej wojny. „Moja służba w Wojsku Polskim“ jest dokumentem innego rodzaju. Najchętniej określiłbym go jako dokument obyczajowy, socjologiczny. Dotyczy przede wszystkim wojska i zawodowych wojskowych, lecz nie tylko. Daje nam bowiem kalejdoskop Polaków ze wszystkich niemal środowisk społecznych i geograficznych, pozwala zajrzeć im pod czaszki, by wysledzić jakimi operowali kategoriami myślenia, jakie mieli formalne przygotowanie do funkcji i zadań, które podejmowali z własnej woli lub z przypadku. Owa „różnorodność pochodzenia“ korpusu oficerskiego była przecież w gruncie odbiciem różnorodności kultury i obyczaju narzuconej narodowi polskiemu przez fakt życia w trzech zaborach przez okres ponad stuletni. Zacieranie się tych różnic następowało znacznie szybciej, niż by się można było spodziewać w najsmielszych marzeniach. Także i w wojsku, gdzie procesowi pomagał charakter organizacji wojskowej i, jeśli nie gorętszy, to na pewno łatwiejszy do uzewnętrznienia patriotyzm. Lecz proces ten, rzecz jasna, ukończony nie był w roku 1939, gdy w korpusie oficerskim, ludzie własnego, polskiego i tylko polskiego chowu, wspinali się dopiero na szczyble kapitańskie.

Stąd, by ćmoże, obraz wojska w Polsce niepodległej w opisie generała Kopańskiego ma więcej cieni, niż miejsc jasnych. A może tylko miejsca ciemne, czytając, łatwiej zapamiętać? Daleko w tym wszakże od świadomego pesymizmu. Nawet na gorycz miejsca nie ma. Jest za to, w stosunku do autora, miejsce na wdzięczność za prawdomówność.

Pomimo bardzo ostrożnego doboru słów i starannego unikania stylistycznego patosu narracja książki ma duże walory literackie. Nie siląc się na to osiąga autor miejscami efekty porównawcze. Do tych zaliczyć należy rozdziały poświęcone wojnie 1918-20 roku, na przykład „Wyprawa wileńska“, który kiedyś, w szkicach, drukowany był w „Orle Białym“.

W pierwszej części swej książki opowiada autor o swym dzieciństwie i młodości. Daje drzewo genealogiczne swej rodziny. Dobrze robi. Uplastycznia się nam bowiem raz jeszcze atmosfera i warunki życia polskiej szlachty kreso-

wej i polskiej inteligencji zarobkowej na terenie Rosji. Tym ludziom i tym sprawom, więcej niż czemukolwiek innemu, grozi zapadnięcie się w niepamięć pod naporem krajowej „historii kierowanej“. Dalsze części mówią o I wojnie światowej, o służbie w Korpusie Wschodnim, o wojnie polsko-bolszewickiej. Najwięcej miejsca zajmują dzieje służby w czasach pokojowych, służby przygotowującej do wojny.

Książkę kończy krótki rozdział zatytułowany „Refleksje i Rozważania“. W nim, zgodnie z zapowiedzią we wstępie, autor daje swój sąd „dojrzały“. Patrzy na swe doświadczenia z perspektywy namysłu. Sąd ten jest beznamiętny, lecz surowy. Reasumuje rezultat pracy wojska w Polsce niepodległej w postaci przebiegu kampanii wrześniowej. Brak doktryny, widoczny i gdzieindziej, nawet czy przede wszystkim we Francji, która była wielką nauczycielką sztuki wojennej także dla generała Kopańskiego; brak planowania wojny. Małe to może sprawy wobec ciężaru takich przyczyn przegranej, jak układ geopolityczny, przewaga materialowa Niemiec i zaniedbania Zachodu, nie mówiąc już o sojuszu niemiecko-sowieckim. Konkluduje swą książkę generał Kopański: „Kłęska była bodaj nieunikniona, głównie z przyczyn od nas niezależnych, ale przy lepszych wynikach przygotowani mniej katastrofalny przebieg kampanii mógłby podnieść jej znaczenie polityczne“.

I zdanie ostatnie. „Jakiegokolwiek jednak były przyczyny naszej klęki, nie umniejszają one uznania dla ofiary złożonej na ołtarzu Ojczyzny przez Polskie Siły Zbrojne“.

Sąd autora nie jest nieodwołalnym wyrokiem. Jest jego zdaniem. Lepiej zapewne uzasadnionym, niż wiele innych zdań, często z jego zdaniem niezgodnych. Polemika z nim, czy uzasadnianie słuszności wykraczały by poza ramy tych uwag.

Więc w zakończeniu o czym innym. O sylwetce autora wypatrzonej na stronicach jego książki. Generał Kopański życie swoje poświęcił służbie wojskowej. Poświęcił mu swe siły, swe zdolności, walory swego charakteru, swą pracowitość, swe wykształcenie, także niewojskowe. Ukazuje się nam, jako żołnierz z powołania, przekonania i upodobania. Lecz ustrzegł się całkowicie cech kastowych, nie zaraził się nigdy militarystycznym psychizmem. Wojsko dla niego było pracą, było zawodem, było służbą. Nie było sumą zasług, ani pretensji.

Paweł Zaremba

ŚP. MICHAŁ GRAŻYŃSKI

10 grudnia 1965 zmarł w Londynie śp. Michał Grażyński, dr filozofii i dr praw UJ. w Krakowie, ppłk. W. P., w latach walk o niepodległość Zarzewiak, żołnierz Drużyn Strzeleckich i P.O.W. Odszedł człowiek, którego nazwisko zostanie utrwalone na kartach najnowszej historii Polski i pozostanie na nich na zawsze. Nie ze względu na stanowiska i godności, jakie piastował, ale ze względu na to, jak je piastował.

Wszystko, co czynił w swym życiu Michał Grażyński miało głęboki podkład ideowy i wynikało z najszlachetniejszych pobudek. Twardy, nieustępliwy, gdy chodzi o cele, które sobie stawiał, ogarniał jednocześnie synowską miłością tę, której wiernie i oddanie służył całe życie — Polskę.

Trzy były okresy w działalności tego wszechstronnie wykształconego humanisty, żołnierza i polityka, które zasługują na szczególne podkreślenie. Walka Orężna o Górny Śląsk, długofalowa praca nad przywróceniem ziemi śląskiej jej prawnemu polskiemu obliczu, walka polityczna na emigracji o przywrócenie Polsce prawdziwej niepodległości i wolności.

W każdym z tych trzech okresów Michał Grażyński odgrywał rolę czołową — magna pars fuit. Jest duszą trzeciego powstania śląskiego i jednym z jego głównych organizatorów i uczestników. — Jest przez lat 13 wojewodą śląskim, wódcą tej ziemi i poświęca jej i jej ludowi wszechstronną działalność we wszystkich dziedzinach, pochtaniającą mu cały czas, nawet ten przeznaczony na wytchnienie i odpoczynek. Po 1945 pozostaje na emigracji i oddaje się całą duszą pracy niepodległościowej. W 1950 obejmuje stanowisko prezesa Ligi Niepodległości Polski i piastuje je aż do zgonu. Jest jednym z niewielu czołowych polityków, którym Zjednoczenie Narodowe zawdzięcza swe powstanie. Rozumie doniosłość wysiłków gen. Sosnkowskiego, udziela mu pełnego poparcia i kładzie bez wahania swój podpis pod aktem Zjednoczenia. W toku niesłychanie trudnych rokowań występuje jedna z najpiękniejszych cech charakteru Michała Grażyńskiego. Broni z wielką siłą przekonania wyznawanych przez siebie zasad, starając się jednocześnie dogłębnie zrozumieć odmienny punkt widzenia strony przeciwnej. Jest lojalny lojalnością, która budzi szacunek. Jest bowiem nie tylko wybitnym politykiem, ale także wybitnym wychowawcą z powołania i wieloletnią powiązań z ruchem harcerskim, który obdarzył go w 1931 roku zaszczytną godnością przewodniczącego Związku Harcerstwa Polskiego. Piastował ją przez

ŚWIĘTO MEDYCYNY POLSKIEJ W EDYNBURGU

W roku bieżącym (1966) upływa 25 lat od założenia Polskiego Wydziału Lekarskiego przy Uniwersytecie w Edynburgu. Uroczystości otwarcia P.W.L. nadano świetną oprawę.

W lutym 1941 podpisana została umowa pomiędzy Rządem Polskim w Londynie, a Uniwersytetem Edynburskim, na podstawie której Polski Wydział Lekarski został powołany do życia. Po upadku Francji w czerwcu 1940 roku w szeregach Wojska Polskiego, które znalazło się na Wyspach Brytyjskich, było wielu profesorów i docentów z wykształceniem medycznym oraz pokaźna ilość studentów medycyny, którzy z chwilą wybuchu wojny dalsze studia musieli przerwać. I wówczas to ppłk. F. A. E. Crew, profesor medycyny Uniwersytetu Edynburskiego, wystąpił z jakże szczęśliwym projektem umożliwienia polskim studentom ukończenia zaczętych już studiów medycznych w Polsce i uzyskania pełnowartościowych dyplomów lekarskich.

Myśl szkockiego profesora przyjęta została przez władze polskie bardzo skwapliwie; odpowiednie rozmowy szybko sfinalizowano i już 22 marca 1941 roku Polski Wydział Lekarski został uroczystie otwarty. Otwarcia P.W.L. dokonał Prezydent R.P. Władysław Raczkiewicz, któremu asystowali ze strony polskiej: gen. dyw. dr Marian Kukiel, minister prof. Stanisław Kot i liczne grono wyższych wojskowych polskich i brytyjskich.

Pierwszym dziekanem P.W.L. został

SP. MICHAŁ GRAŻYŃSKI

lat 30. Rzeczpospolita nadała Michałowi Grażyńskiemu wysokie odznaczenia, na które w pełni zasłużył, Order Virtuti Militari, Krzyż Niepodległości z Mieczami, Komandorię z Gwiazdą Polски Odrodzonej.

Lud śląski zachował go we wdzięcznej pamięci na zawsze. Emigracja darzyła go powszechnym zaufaniem; żal powszechny wywołał jego zgon. Śmierć jego okryła żałobą nie tylko najbliższe mu istoty, żonę i syna, które tak bardzo kochał, ale także najbliższe mu ideowo organizacje, Ligę Niepodległości Polski i Związek Harcerstwa Polskiego. Pogrzeb śp. Michała Grażyńskiego odbył się w słotny dzień grudniowy. Tumny w nim udział społeczeństwa emigracyjnego i licznej młodzieży harcerskiej był wymownym hołdem, złożonym jego świetlanej pamięci.

Bohdan Podoski

prof. dr Antoni Jurasz, wybrany przez Radę Wydziałową i zatwierdzony na to stanowisko przez Prezydenta R.P. Chcąc uczcić osobę Prezydenta, Uniwersytet Edynburski nadał mu dyplom doktora praw Honoris Causa. Uroczystość oficjalna otwarcia P.W.L. zakończona została szeregami przyjęć, wydanych przez Lorda Provosta dla Prezydenta R.P. Raczkiewicza i przez studentów szkockich dla ich polskich kolegów. Dzień 22 marca 1941 roku był w Edynburgu „dniem Polski“. Tak ten dzień nazwała prasa szkocka, która przepełniona była sprawozdaniami i opisami tej uroczystości.

Okolice Uniwersytetu zaroily się od umundurowanych polskich studentów i tak już było stale, aż do zamknięcia P.W.L.

Polski Wydział Lekarski czynny był do 1949 roku. Co zdziałał w tym okresie czasu? Czy spełnił swoje zadanie? Na te pytania odpowiedziało bardzo dokładne cyfry. Na Wydziale prowadziło wykłady i zajęcia w pracowniach: 15 profesorów, 27 docentów i 37 asystentów; w tym okresie czasu na Wydziale studiowało 337 studentów, spośród których 228 uzyskało pełnowartościowe dyplomy lekarskie, a 15 — tytuły „doktora medycyny“. Stosunkowo nieznaczna część z nich powróciła do Polski, a pozostała olbrzymia większość rozproszyła się po całym świecie. Najwięcej osiedliło się w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, pokaźna grupa pozostała w W. Brytanii.

Przed oficjalnym zamknięciem Polskiego Wydziału Lekarskiego w 1949 roku, na wewnętrznej ścianie dziedziń-

ca Uniwersyteu została umieszczona pamiątkowa tablica bronzowa następującym napisem:

„In the dark days of 1941 when Polish Universities were destroyed and Polish Professors died in concentration camps the University of Edinburgh established the Polish School of Medicine. This memorial was set up by the students, Lecturers and Professors of the Polish School of Medicine in gratitude to the University of Edinburgh for the part it played in the preservation of Polish science and learning“.

Poniżej w języku polskim widnieje następujący napis:

„Jako wyraz wdzięczności dla Uniwersytetu Edynburskiego za utworzenie polskiej placówki naukowej w Edynburgu płytę tę ofiarowali studenci, wykładowcy i profesorowie Polskiego Wydziału Lekarskiego“.

Polski Wydział Lekarski został zamknięty pomimo, iż spora ilość studentów nie ukończyła jeszcze studiów. Zostali oni rozesłani do różnych Uniwersytetów brytyjskich, w których uzyskali dyplomy lekarskie.

Dla uczczenia 25-lecia otwarcia Polskiego Wydziału Lekarskiego odbędzie się w Edynburgu światowy rajd wychowanków i grona profesorów P.W.L. pod honorowym protektoratem prof. dr J. Rostowskiego, ostatniego dziekana Wydziału, o którym mówią, że „jest najlepszym rzeźbiarzem wśród lekarzy i najlepszym lekarzem wśród rzeźbiarzy“.

Ś. † P.

Dr Michał Grażyński

Przewodniczący ZHP w latach 1931—1960, odznaczony Virtuti Militari, Krzyżem Niepodległości z Mieczami, Krzyżem Walecznych i Krzyżem Śląskim, członek tajnych organizacji niepodległościowych, główny organizator III Powstania Śląskiego odszedł na wieczną wartę 10 grudnia 1965 roku w Londynie.

Wielki Wychowawca młodzieży, całym swym życiem służył Bogu, Polsce i bliźnim.

Cześć Jego pamięci!

ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO

ŚWIĘTO MEDYCyny

Kulminacyjnym punktem zjazdu będzie uroczystość jubileuszowa, przygotowana przez Uniwersytet Edynburski. W przeddzień tej uroczystości Uniwersytet Edynburski wyda przyjęcie dla wszystkich uczestników zjazdu. Osobne przyjęcie wydaje Lord Provost miasta Edynburga. Uczestnicy zjazdu wręczą Uniwersytetowi Edynburskiemu odpowiednie upominki. Tak, jak świętem polskiej medycyny w Edynburgu był dzień otwarcia Polskiego Wydziału Lekarskiego, tak ponownym świętem będą dni zjazdowe.

Zjazd odbędzie się w dniach 3-5 czerwca. Przygotowaniami do zjazdu zajmuje się specjalny Komitet Zjazdowy w Edynburgu. Chociaż do zjazdu jest jeszcze kilka miesięcy, już teraz napływają zgłoszenia z różnych stron świata.

Spośród b. wykładowców P.W.L. w Edynburgu osiedlili się na stałe: docent dr W. Tomaszewski, docent dr Br. Śliżyński, dr Wilhelm Lax, dr Kazimierz Durkacz. Ten ostatni jest wychowankiem P.W.L. i jednym z piętnastu, którzy na P.W.L. uzyskali tytuł doktora. Wychowankiem P.W.L. jest również dr Krystyna Munk.*

Szeregi b. wykładowców bardzo się przerzedziły — wielu z nich już nie żyje. Niewątpliwie odbije się to na ilości uczestników zjazdu, niemniej jednak zjazd zapowiada się bardzo dobrze.

St. Błaszczak

*) Między innymi wychowankiem P.W.L. jest Jadwiga Piłsudska.

NOWE WYDANIE

głośnej książki

STEFANA KORBOŃSKIEGO

„W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYF“ — 171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11.

TYSIĄCLECIE

(Dokończenie ze str. 3)

czasów przyszłych oceni zapewne, że bliżsi niż kiedykolwiek jesteśmy siły, jaką daje wiara i nadzieja. I nigdy chyba sprawa nasza nie była tak czysta i pragnienia tak szczerze. Zawdzięczamy to nie tylko hartowi wykuwanemu w przeciwnościach i doświadczeniach. Zawdzięczamy to także tysiącletnim związkom z kulturą chrześcijańską, właśnie w jej zachodnim wydaniu.

Kilka dokumentów, których reprodukcje drukujemy na tych stronach, obrazują charakter naszej kultury i kierunek naszej myśli. Strona z

rozprawy Włodkowica, w której wbrew wszystkim woła o sprawiedliwość w stosunku do obcych i głosi poszanowanie wolności ludzkiej bez względu na przekonania i obyczaje. Konstytucja 3 Maja — dokument stwierdzający, że nigdy na nic nie jest za późno. Wreszcie powstańcy Uniwersał Połaniecki.

Dokumentów podobnych jest wiele. Może patrząc na nie warto w naszym narodowym sumieniu uczcić Rok Tysiąclecia skrzeszeniem otuchy, która jest czymś większym niż zarozumiała pewność siebie.

Patrząc w przeszłość łatwiej nam będzie rozpocząć drugie tysiąclecie słowami „Nil Desperandum“.

KRZYŻÓWKA Nr 579/66

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) znój; 3) i 16) podejście; 5) aktor, ale nie na scenie?; 8) „Balladyna“ lub „Wesele“; 10) „Hrabia widział w nich obraz elizejskich...“; 11) lepiej ją mieć w palcu niż w sercu (wspak); 12) król polski (9, 6); 15) i 18) najślawniejszym Napoleonem; 20) i 22) wieczorowy upadek?; 21) przysłowiowa mama; 25) podniesienie; 26) modlitwy, które mogą zdobić strój? (wspak); 27) umiejętność zrozumienia.

Pionowe: 1) brak mu mądrości, choć ją obnosi; 2) i 6) udany; 4) gramatyczny gatunek? (wspak); 7) pełen wigoru; 9) kibić z 52 sztuk; 10) nie śpi tak jak wróż?; 13) rzeczny pieniądz? (wspak); 14) takie może być piwo lub wino (wspak); 15) gospodarskie naczynie (wspak); 16) dom dla służby; 17) pałac i mauzoleum królów hiszpańskich; 19) część kozackiego ekwipunku; 23) zawsze wracają; 24) jeszcze raz.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 578/65

Poziome: 2) omamienie, 6) i 8) wyrostek, 7) kaduk, 9) fagas, 10) Albin, 11)

czerw, 12) sójka, 14) ni pies ni wydra, 19) ZASP (wspak), 20) mrok, 21) Troja (wspak), 22) i 23) równanie, 24) Judyta, 25) Sikkim.

Pionowe: 1) zawołany, 2) osobnik, 3) jagódki (wspak), 4) ekstaza, 5) Makia-wel, 12) szelma, 13) adwent, 14) nastrój, 15) przewód, 16) napoły, 17) Dominik, 18) apogeum.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11, Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen, Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTynie: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

NAGRODA NOBLA DLA REYMONTA

W swoim doskonale ujętym artykule w numerze listopadowym „Orla Białego”: „Literatura Polska przebija się na Zachód”, p. Zbigniew Grabowski wspomniał o Nagrodzie Nobla przyznanej Henrykowi Sienkiewiczowi.

Pragnę niniejszym przypomnieć Czytelnikom „Orla Białego”, że drugą Nagrodę Nobla otrzymał w roku 1924 Stanisław Władysław Reymont za wspaniałą epopeję „Chłopi”.

Nagroda ta w głównej mierze została przyznana dzięki tłumaczeniu na język niemiecki, dokonанemu przed pierwszą wojną światową przez: Jana Pawła Kaczkowskiego, piszącego pod pseudonimem Jean Paul d'Ardechah.

Dla dokonania tego tłumaczenia Jan Paweł Kaczkowski osiedlił się specjalnie na okres dwóch lat w Niemczech, w okolicach Bremy, w których to okolicach dialekt chłopów niemieckich odpowiadałby najbardziej tłumaczeniu, nosiło ono tytuł „Die Polnische Bauern”.

Jan Paweł Kaczkowski po wojnie został mianowany Konsulem Generalnym w Rotterdamie na obszar Holandii i kolonii zamorskich. Będąc mianowany wice-konsulem w tymże Konsulacie, miałem możność zapoznać się z historią przyznania Nagrody Nobla — Stanisławowi Władysławowi Reymontowi i poznać go osobiście, gdy wracał do Polski via Holandia po przyznaniu mu tej nagrody.

Historia tłumaczenia na język francuski miała przebieg następujący.

Profesor Frank L. Schoelle, w czasie pierwszej wojny światowej jako jeńiec wojenny natrafił w bibliotece obozowej Oflagu, w którym przebywał, na tłumaczenie w języku niemieckim „Chłopów” Reymonta.

Zachwycony tym dziełem, po wojnie wyjechał do Polski, gdzie w ciągu roku studiował on język polski, oraz zaznajamiał się z życiem polskiego włościanstwa.

Po powrocie do Francji, tłumaczenie to na język francuski — jak podaje to prof. Franek L. Schoelle — „dokonane z języka polskiego za upoważnieniem autora” miało miejsce w 1925 roku i zostało wydane u Payot'a w roku 1926.

Bohdan Samborski
Paryż

* * *

„DRZAZGI“ DO „PLOTOK“

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Pozwoliłem sobie przesłać parę „drzazg” do świątecznego numeru „Orla”. Bardzo dziękuję za ujmujące i dowcipne słowa w „Plotce i Anegdocie” pod moim adresem, zrobiły mi wielką i prawdziwą przyjemność. W ogóle przepadam za Pańskimi „Plotkami”. I przede wszystkim je czytuję...

Klimat jest rozleniwiający, nie chce się pisać.

Łączę serdeczne pozdrowienia

St. Kotwicz
Hollywood, w grudniu 65

„Plotki” będą wznowione w następnym numerze (Red.).

B.D.I.C

LWÓW

1782

WIEN



J. A. BACZEWSKI

WÓDKI I LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

ST. BERNHARD

Likier ziołowy

KRUPNIK

WIŚNIAK

STARKA

WIŚNIOŹKA

J. A. BRUCE & CO.

9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W.7.

Tel. FRE 5808

(Kolo stacji kolejki podz. Gloucester Road)

— POPIERAJ FIRMY POLSKIE —

SZYBKIE



**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

T A Z A B

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W.7.

Tel. FRE 3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100 East 10th St., N. York 3. NY.

WE FRANCJI:

PACZKI do POLSKI i ROSJI

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

ELKA S.A.R.L.

20 rue Legendre,
Paris 17-e.



GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.

GRYP PUBLICATIONS LTD. I P.C.A. PUBLICATIONS LTD.

171, Battersea Church Road, London, S.W. 11. — Tel. BAT 1445
20, Queen's Gate Terrace, London, S.W. 7. — Tel. KNI 3500

ZAWIADAMIAJĄ O UKAZANIU SIĘ KSIĄŻEK:

Zygmunt Nowakowski — WIECZORY POD DĘBEM. Str. około 500. Ilustracje.
Cena: 42/-, \$ 6.00 lub F. 30.00.

Autor — niezrównany felietonista, publicysta, dramaturg i pisarz — występuje tym razem w roli historyka w znakomitym zbiorze gawęd z dziejów Polski. Gawędy są treścią i formą stanowią wspaniałą lekturę dla każdego czytelnika bez względu na wiek, smak literacki i zainteresowania. „Wieczory pod dębem“ to opowieść o naszej tysiącletniej przeszłości, wyzwolona ze sztywnych więzów pedanterii, błyskotliwa, potoczna, pełna humoru i przypieczętowana historyczną pointą. Każdy rozdział stanowi całość. W sumie książkę czyta się jak najlepsze felietony Nowakowskiego.

Michał Sokolnicki — DZIENNIK ANKARSKI. Stron 576. Ilustracje i indeks.
Cena: 52/6, \$ 7.00 lub F. 32.00.

Senior historyków i dyplomatów polskich, współpracownik Józefa Piłsudskiego sprzed I wojny światowej i w czasie czynu zbrojnego Legionów, autor „Roku 1914“. Druga wojna światowa zastaje go na placówce polskiej ambasady w Ankarze, gdzie przebywa do dziś. Autor pamiętnika przedstawia panoramę wojenną Europy, widzianą oczyma wnikliwego dyplomaty z ważnego i interesującego punktu obserwacyjnego.

UKAZĄ SIĘ W NAJBLIŻSZYM CZASIE

Mina Tomkiewicz — BOMBY I MYSZY. Str. 336. Cena: 35/-, \$ 5.00 lub F. 24.00.

Powieść mieszczańska, obejmuje schyłkowy okres współżycia Żydów i Polaków w Warszawie, okupowanej przez Niemców. Nie jest to powieść bohatera. W piekle warszawskiego getta toczy się w niezwykłych warunkach życie przeciw normalnych ludzi, zwykłych mieszczan — toczy się nieubłagane w kierunku śmierci. Trafność psychologicznych obserwacji, szczerść ekspresji oraz styl czynią z książki wartościową pozycję w literaturze tego okresu. Przed kilku laty ukazała się ona w przekładzie hebrajskim i została przyjęta pochlebna krytyką.

Kazimierz Klochowicz — CZTERY NEDOTRZYMANE PAKTY. Str. około 220.
Cena: 21/-, \$ 3.00 lub F. 15.00.

Związły i syntetyczny przegląd czterech paktów, zawartych przez Polskę, celem ratowania pokoju w Europie. Żaden z nich nie został dotrzymany wobec Polski: pakt nieagresji z Sowietami i Niemcami oraz pakt o wzajemnej pomocy z Francją i Wielką Brytanią. Autor obiektywnie omawia skutki niedotrzymania tych umów nie tylko dla Polski ale i dla całej Europy.

MIEDZY LONDYNEM I WARSZAWĄ

to tytuł nowej książki

Józefa Garlińskiego

poświęconej bardzo mało znanym
fragmentom działalności Armii
Krajowej.

*Książka, uzupełniona fotografiami
i szkicami, ukaże się już w nie-
długim czasie.*

W przedpłacie można ją nabyć po
niskiej cenie, bo tylko za 14 szyn-
lingów lub za 2 dolary.

GRYP PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11.



BIURO PODRÓŻY



ANGLOPOL TRAVEL

tuż przy stacji SOUTH KENSINGTON
(róg Exhibition Road — na szlaku Daquise—Ognisko)

38, THURLOE PLACE
LONDON, S.W. 7 — Tel.: KENSington 3223

WSZELKIE BILETY, SPROWADZANIE KREWNYCH, WIZY, KUPONY
BENZYNOWE, BONY HOTELOWE, WAKACJE, PRZEKAZY PIENIĘŻNE.

PRZEJAZDY SAMOCHODEM NA KONTYMENT.